cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #219 12/2024–01/2025

Jakub A. Maciejewski
KONCEPCJA DUSZY W STARCIU Z NOWOCZESNOŚCIĄ

Piotr Lisiewicz
ROKITNIAŃSKI SZWOLEŻER UKRYTY NA ZAKŁAMANEJ ZIEMI

Krzysztof Wołodźko
CZARNE ŁABĘDZIE I STARE MODLITWY. PRZEDZIWNA ŚLEPOTA EUROPY

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

TRUMP 2.0
czyli Make Poland Great Again

OKŁADKA. MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. ERIK S. LESSER/PAP/EPA, NORTH KOREA-RUSSIA/PAP/AP, CHINA RUSSIA DIPLOMACY/PAP/EPA, ARTYOM GEODAKYAN/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA, ADOBE STOCK (6)

ISSN 1895-5967

eprasa.pl ceedbe6b4d

TEMAT NUMERU ▼ 4–17



Człowiek z planem. Jak Trump skompletował drużynę / 4

IDEE ▼ 18–36



Koncepcja duszy w starciu z nowoczesnością / 18

HISTORIA ▼ 38–67



Rokitniański szwoleżer ukryty na zakłamanej ziemi / 38

KULTURA ▼ 68–75



W uścisku gorsetu / 68

ŚWIAT ▼ 80–97



„Dziś Ukraina, jutro Azja". Zbójecki sojusz Kima z Putinem / 80

Spis treści

TEMAT NUMERU

Maciej Kożuszek
Człowiek z planem. Jak Trump skompletował drużynę 4

Piotr Grochmalski
Trump 2.0, czyli Make Poland Great Again 8

Hanna Shen
Trump to koszmar dla Chin 14

IDEE

Jakub A. Maciejewski
Koncepcja duszy w starciu z nowoczesnością 18

Krzysztof Wołodźko
Czarne łabędzie i stare modlitwy. Przedziwna ślepota Europy 22

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Tylko rozumiejąc zostaniecie wyzwoleni". Święty Andrzej Bobola upomina się o swoich 28

Małgorzata Matuszak
Między pięknem tradycji a pokusą nowoczesności 34

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Rokitniański szwoleżer ukryty na zakłamanej ziemi 38

Dariusz Jarosiński
Karol Zbyszewski od przodu 44

Agnieszka Kowalczyk
Skrzydlate Polki na wojennych szlakach 50

Tomasz Gromadka
Angielski miecz na determinizm historyczny 56

Tomasz Łysiak
Zostawcie to Polakom! 62

M.L.L.
Paderewski. Gra z Ameryką w imię niepodległości Polski 65

KULTURA

Łukasz Czarnecki
W uścisku gorsetu 68

Krzysztof Karnkowski
O „Napadzie", który się nie udał 74

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
„Dziś Ukraina, jutro Azja". Zbójecki sojusz Kima z Putinem 80

Stefan Czerniecki
Pusty koszyczek na koniec Adwentu 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Wojna na Ukrainie. Co zrobi Trump? 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Tusk rozpoczął reset 2. Wybory prezydenckie zdecydują...
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... spokój
KATECHIZM INTELIGENTA 27



Marek Kalinowski
Wspólnota śpiewu
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 37



Krzysztof Wołodźko
Kurt Cobain. Wstęp do sławy i śmierci
DZIENNIK LEKTUR 76



Marcin Wolski
Aby Ameryka rosła w siłę, a obywatele żyli dostatniej
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Ta cholerna demokracja
OSTATNIE SŁOWO 99

OD GRUDNIA 2024
„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl ceedbe6b4d



Katarzyna Gójska

Tusk rozpoczął reset 2.

Wybory prezydenckie zdecydują, czy go zrealizuje

Donald Tusk opowiada głodne kawałki o sile Europy, ale poza propagandą uzasadniającą osłabienie kontaktów z Waszyngtonem nic z tych opowieści nie wynika, bo wyniknąć nie może. Nie ma żadnej siły Europy.

Na nowe wielkie otwarcie Polska nie tylko nie jest przygotowana, lecz także rząd zachowuje się tak, jakby chciał wykorzystać powrót Donalda Trumpa do Białego Domu jako pretekst do kompletnego osłabienia relacji z USA. Wysyłanie Bogdana Klicha do Waszyngtonu wygląda na akcję wręcz prowokacyjną, a sam premier po swoich licznych popisach kłamstwa i chamstwa wobec 47. amerykańskiego prezydenta będzie jednym z ostatnich, z którymi nowa administracja będzie chciała rozmawiać. Polskim kapitałem na dziś są zatem wyłącznie świetne kontakty prezydenta Andrzeja Dudy, ale nimi nie uda się wywalczyć dla Polski zbyt wiele, jeśli wszelkie rozmowy na pozycji głów państw będą sabotowane przez rząd koalicji 13 grudnia. A tak to właśnie się zapowiada. Tusk opowiada głodne kawałki o sile Europy, ale poza propagandą uzasadniającą osłabienie kontaktów z Waszyngtonem nic z tych opowieści nie wynika, bo wyniknąć nie może. Nie ma żadnej siły Europy. Nie ma żadnej odpowiedzialności Niemiec (odkładając na bok jej przydatność dla Polski). Jest za to NATO – silne armią Stanów Zjednoczonych – i jest potężny amerykański potencjał gospodarczy, z energetycznym na czele, z którym my winniśmy wchodzić w jak najgłębsze relacje, bo im więcej Ameryki – w jakiejkolwiek odsłonie: wojskowej, biznesowej, energetycznej – w Polsce, tym mniejsza szansa na atak ze strony Federacji Rosyjskiej. Jednak widać gołym okiem, że Tusk dziś idzie w kierunku polityki resetu 2. W nowych okolicznościach, więc inaczej opowiadanej i inaczej tłumaczonej. Kiedyś mowa była o otwarciu na współpracę i rzekomych korzyściach z tego płynących, a dziś snuje się opowieści o Europie, która wstaje z kolan i staje się samowystarczalna pod każdym względem. Sęk w tym, iż Europa bez silnej amerykańskiej obecności oznacza dla Polski osłabienie naszego bezpieczeństwa. Nic więcej. Donald Tusk przed laty pozbawił – skutecznie – nasz kraj ochrony unikalnego systemu obrony USA, pierwotnej wersji tarczy antyrakietowej. Dziś, w obliczu pełnoskalowej wojny i gróźb ze strony swojego dawnego kompana – Putina, wzywa do budowania potencjału UE bez USA, co oznacza radykalne obniżenie bezpieczeństwa RP, którego żaden inny sojusz w przewidywalnym terminie nie zrekompensuje. Trzeba mieć świadomość, iż polityka pierwszego resetu Tuska z Rosją zakończyła się dla nas tragicznie: spenetrowaniem naszych zdolności kontrwywiadowczych przez Rosję, rozłożeniem na łopatki naszych zdolności obronnych, drenażem gospodarki paraliżującym szybki proces zbrojeń, uzależnieniem energetycznym od Rosji, eliminacją ogromnej części klasy politycznej i dowódców wojskowych oraz podłączeniem polskiej dyplomacji pod krwiobieg celów Moskwy. Twórca tego totalnego upadku nie daje najmniejszych gwarancji na budowanie bezpieczeństwa państwa, a przeciwnie – łączy się z wielkim prawdopodobieństwem powrotu do tej sprzecznej z interesem RP polityki. Zresztą to już się dzieje. Reset 2 staje się faktem. Wynik wyborów prezydenckich albo będzie jego przypieczętowaniem – dokładnie jak wybór Komorowskiego, albo próbą zahamowania tego niszczenia polskiego bezpieczeństwa, jak to było w czasach śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. ■

> Trzeba mieć świadomość, iż polityka pierwszego resetu Tuska z Rosją zakończyła się dla nas tragicznie.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Trump chce realnie zmienić Amerykę i świat. Jego nominacje pokazują, że stawia na ludzi, co do których wie, że są w stanie mu w tym pomóc. W przeciwieństwie do pierwszej kadencji, ma też dużo szerszy społeczny mandat, by to zrobić. Jego druga kadencja ma stać pod znakiem mniejszej ilości chaosu i awantur, a większej ilości konkretów.

Maciej Kożuszek



CZŁOWIEK Z PLANEM

Jak Trump skompletował drużynę

eprasa.pl ceedbe6b4d



FOT. SARAH YENESEL/PAP/EPA

Na początek fakt, który może być symbolem głębokiej zmiany zachodzącej w amerykańskiej, a może i światowej polityce. Według sondażu CBS/YouGov z 24 listopada 6 na 10 Amerykanów (59 proc.) pozytywnie ocenia działania tego, co Amerykanie nazywają „transition team" Trumpa, czyli to, jak prezydent elekt i jego ludzie przygotowują się do przejęcia władzy w Białym Domu. To zmiana wprost tektoniczna. Klątwa nałożona przez mainstreamowe media na Trumpa miała być wieczna, a on na zawsze miał być politykiem, którego negatywny elektorat będzie większy niż ten pozytywny. Ten wynik pokazuje nie tylko realną nadzieję, którą Amerykanie wiążą z tą prezydenturą, lecz także bardzo dużą sprawność, z jaką Trump skompletował swoją drużynę. W zapomnienie odszedł chaos z 2016 i 2017 roku, gdy hulała giełda nazwisk, a rozmowy z kandydatami w Trump Tower przypominały kolejny odcinek reality show „The Apprentice". Trump wyciągnął wnioski, wie, jaki ma plan, i wie, co jest mu do tego potrzebne. Zrozumiał też swoje błędy, o czym sam szczerze mówił, jeszcze przed wyborami, w podcaście Joego Rogana, gdzie stwierdził, że na początku poprzedniej prezydentury „nie do końca wiedział, co robi", a jego największym błędem było „wybranie niektórych ludzi, których nie powinienem wybierać".

Nie oszukujmy się, Trump dalej ma plan wstrząśnięcia systemem, chce jego radykalnej reformy. Ale jego nominacje pokazują, że jego celem jest realna zmiana. Dlatego potrzebuje ludzi, którzy nie tylko będą lojalni, lecz będą także w stanie wykonać zadanie, a nie tylko dolewać oliwy do ognia medialnych kontrowersji wobec propozycji, które nigdy nie wejdą w życie. Co ważne, potrzebę tych zmian widzi też spora część Amerykanów.

Koalicja, stare i nowe

Na pierwszy rzut oka „team Trump" jest przede wszystkim bardzo zróżnicowany. Mamy tu Tulsi Gabbard i Roberta Kennedy'ego Jr – antysystemowców, ale przeszłością bliższą amerykańskiej lewicy. Mamy Toma Homana, który ma być „carem od migracji", a jego twarde podejście wobec deportacji i ochrony granicy jeży włos na głowie niejednemu liberałowi z Nowego Jorku. Mamy sekretarza stanu Marco Rubio – mimo wszystko przedstawiciela „starej gwardii" Partii Republikańskiej, który sam zbierał cięgi od Trumpa na scenie prawyborów w 2016 roku. Mamy wreszcie sekretarza skarbu Scotta Bessenta – miliardera i inwestora, który w swojej karierze biznesowej związany był z George'em Sorosem, a jego kandydatura została przyjęta z wytchnieniem na Wall Street.

Ta różnorodność nie oznacza wcale, że mamy do czynienia z patchworkową zbieraniną, a jedyny element łą-

eprasa.pl edbe6b4d

czący to długi wobec różnych grup, które Trump zaciągnął podczas kampanii, a teraz spłaca je za pomocą nominacji. Trumpa do władzy wyniosła naprawdę szeroka koalicja, ale jego wyborami zawiedzeni będą zarówno ci, którzy spodziewali się powtórki z 2016 roku, czyli obsadzenia kluczowych stanowisk republikanami z partyjnego establishmentu, jak i popularni w mediach społecznościowych radykałowie MAGA, którzy marzyli o totalnej rewolucji i ostatecznej rozprawie ze wszystkimi, których od lat nazywali RINO – republikanami tylko z nazwy (ang. Republicans in name only).

Skąd wziął się ten balans? Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: Trump nauczył się Waszyngtonu i wyciągnął z tego dwa podstawowe wnioski. Po pierwsze: wcale nie zrezygnował, pokazuje to przykład Rubio, ze współpracy z ludźmi z partii, którzy mają doświadczenie w Waszyngtonie. Zrozumiał jednak, że ta współpraca musi się opierać na nowych zasadach. Trump 2.0 wymaga elementarnej lojalności. Po 2016 roku spora część republikanów, w tym członków jego własnego gabinetu, uznawała fenomen Trumpa za chwilowe zakłócenie, po którym system powróci do normy. Członkowie jego pierwszego gabinetu, tacy jak John Bolton czy Mark Esper, pisali w swoich pamiętnikach wprost o tym, że swoją rolę postrzegali jako ograniczanie szkód, które może wyrządzić Trump. Byli więc w istocie „wewnętrznym ruchem oporu". Wielu z tych ludzi zaliczało się do grona tzw. jastrzębi, wierzyli w kluczową rolę sojuszniczych zobowiązań, na przykład w ramach NATO, siłą rzeczy więc w Polsce pozytywnie myślimy o ich wpływie. Ale trudno się dziwić Trumpowi, że współpracy z takimi ludźmi sobie nie wyobraża. Podobnie byłoby zresztą z każdym prezydentem, który rozumie, że jego konstytucyjnym obowiązkiem jest realizacja mandatu, który dali mu wyborcy, a konstytucyjnym obowiązkiem członków gabinetu jest pomagać prezydentowi w osiągnięciu tego celu.

Tu jednak jest kluczowy drugi wniosek Trumpa. Zawód establishmentem nie oznacza wcale, że ten zajdzie wyżej, kto był bardziej ultralojalny wobec Trumpa, kto bliżej jest twardego centrum ruchu MAGA. Bo drugi wniosek jest taki: choć lojaliści są niezbędni w kampanii, to ich użyteczność w rządzeniu może być ograniczona. Paradoks, który instynktownie wyczuwa Trump, polega na tym, że zajadli antysystemowcy mogą być bardzo nieskutecznymi sojusznikami w realnej zmianie systemu. Jako outsiderzy nie znają systemu od środka. Jako ludzie, których popularność zasila konflikt, nie są zdolni do współpracy tam, gdzie może ona okazać się niezbędna. Jako zawodowe ofiary nie boją się też klęsk, bo każdą można przekuć na dowód na to, jak „potężne siły" sprzymierzyły się przeciwko nim. To, że Trump zdaje się to rozumieć, idealnie obrazuje sytuacja związana z nominacją dla Matta Gaetza.

Eksperyment Gaetz

Gaetz, który przez chwilę był nominatem do funkcji Prokuratora Generalnego, zdawał się być idealną nominacją dla radykałów. Walczący z systemem, zyskujący popularność dzięki filmikom z ognistych konfrontacji podczas komisji kongresowych, tak bezkompromisowy, że trudno powiedzieć, czy więcej wrogów ma wśród demokratów czy republikanów. Kandydat tych, którzy uważają Waszyngton za zgniłe bagno, w którym przynależność do tej czy innej partii nie ma większego znaczenia. Wydawało się też, że to kandydat idealny dla samego Trumpa, którego Departament Sprawiedliwości Bidena przeczołgał przez wiele sal sądowych, otwierając sprawy i stawiając kryminalne zarzuty wszędzie, gdzie to możliwe. „Ja będę waszą zemstą" – mówił Trump podczas słynnego przemówienia na CPAC, Matt Gaetz miał być jego zemstą na upolitycznionym amerykańskim wymiarze sprawiedliwości.

Tu jednak pojawiły się problemy. Za Gaetzem ciągnęły się sprawy obyczajowe, Kongres prowadził na jego temat śledztwo. O tym, że zarzuty nie były bagatelne, świadczyć może fakt, że gdy tylko ogłoszono jego kandydaturę, Gaetz pospiesznie zrezygnował z mandatu w Izbie Reprezentantów, by uniknąć publikacji raportu na swój temat. Nominacja nie była też w smak sporej części republikanów, którzy nie tylko zarzucali Gaetzowi brak realnego doświadczenia prawniczego, lecz przede wszystkim mieli mu za złe operację usunięcia spikera Izby Kevina McCarthy'ego. Gaetz dokonał przewrotu z kilkoma buntownikami, ale McCarthy został odwołany w większości głosami demokratów. Co więcej, długie targi o to, kto ma być nowym spikerem, kosztowały partię całkiem sporo, bo na długi czas sparaliżowały jedyny organ konstytucyjny, który był w rękach republikanów. Cała akcja pozostawiła spory niesmak, a jedynym, który coś na niej zyskał, był profil Gaetza, który na chwilę obsadził siebie w roli głównego rozgrywającego.

Prokurator Generalny, by zacząć pełnić obowiązki, musi zostać konfirmowany przez Senat, a po nominacji Gaetza zaczęto mówić, że nawet 10 republikańskich senatorów może zagłosować przeciwko niemu. I tu kluczowa jest reakcja Trumpa. Spora część radykałów w mediach społecznościowych już ostrzyła noże na ostateczną konfrontację z senatorami. Zaczęto proponować, by Trump wykorzystał mechanizm zapisany w konstytucji, ale zupełnie nieadekwatny do sytuacji i uznawany za „anachronizm" choćby przez legendarnego, konserwatywnego sędziego Antonia Scalię. Trump miałby wymusić na spikerze Izby wniosek o przerwę w działaniu Kongresu, na nią nie zgodził się Senat, a wtedy to prezydent ogłasza przerwę, tak długą, jak uzna za konieczne. Wobec przerwy w pra-

eprasa.pl ceedbe6b4d

cach Kongresu Trump mógłby wówczas obsadzić swój gabinet bez oglądania się na Senat.

Ale stało się inaczej. Po ośmiu dniach od nominacji Gaetz sam wycofał swoją kandydaturę. Wiedza nieoficjalna, ale powszechna w amerykańskich mediach mówiła, że do takiej decyzji „nakłonił" kandydata sam prezydent Trump, stwierdzając: „w Senacie po prostu nie ma głosów". To wiele znaczy, bo Trump mógł pójść na wojnę o Gaetza, ale tego nie zrobił. Radykałowie i sam zainteresowany byliby pewnie zachwyceni, bo w takich bitwach z systemem się spełniają, ale prezydent elekt stwierdził, że zawieszenie działania Kongresu, który przecież jest w rękach republikanów, nie byłoby dobrym początkiem urzędowania. Senat będzie potrzebny Trumpowi nie tylko do obsadzenia gabinetu, lecz także do realizacji jego ambitnego programu. A pójście senatorom na rękę w sprawie Gaetza mogło być sprytną (niektórzy uważają, że z góry zaplanowaną) zagrywką do wykorzystania w przyszłości. Znaczące było też to, jak szybko pojawiła się nowa kandydatura: była prokurator generalna Florydy – Pam Bondi. Bondi jest kolejną kandydatką środka: tak jak może być on postrzegany w realiach drugiej prezydentury Trumpa. Z jednej strony politycznie stawiała na miliardera z Florydy już w 2016 roku. Z drugiej ma spore doświadczenie i niezłe relacje w establishmencie republikańskim. Wystarczy powiedzieć, że na początku swojej kariery blisko współpracowała z Jebem Bushem. Jeszcze jedno jest istotne w przypadku Bondi: za jej kandydaturą stać miała Susie Wiles, która ma być szefową personelu Białego Domu Trumpa. O Susie Wiles warto powiedzieć więcej.

Pani szara eminencja

„Od momentu gdy Susie Wiles została szefową gabinetu Trumpa, proces nominacji przyspieszył i przebiega sprawnie" – głosiły nagłówki większości konserwatywnych portali na początku listopada. Choć Wiles będzie odgrywała kluczową rolę w nowej administracji, większość Amerykanów wie o niej bardzo niewiele. Podczas wieczoru wyborczego w Mar-a-Lago, gdy Trump był już pewny zwycięstwa, zapraszał ważne osoby do podejścia do mikrofonu. Jedną z nich była elegancka pani w średnim wieku, o wyraźnie siwych włosach i wyglądzie nie bardzo pasującym do wypełnionej testosteronem sceny, na której ruch MAGA święcił swój triumf. Prezydent elekt mówił o Susie w samych superlatywach, podkreślając, jak kluczową rolę odegrała w kampanii. Ale sama zainteresowana odmówiła podejścia do mikrofonu.

Gdy Trump zaczął kompletować swój gabinet, Wiles szybko zyskała miano „znanej z tego, że nie jest znana". Jej kariera w pewnym sensie jest przeciwieństwem drogi, która dziś jest tak powszechna wśród młodych polityków: najpierw popularność, a dopiero potem pytanie: jak przekuć swoje zasięgi w mediach społecznościowych na ważne stanowisko. Jest żoną Lenny'ego Wilesa, człowieka od zakulisowych układów Ronalda Reagana. Pierwszą kampanię prowadziła w 1995 roku. W 2010 roku zyskała trochę rozgłosu, gdy dzięki niej gubernatorem Florydy został Rick Scott, któremu niewielu dawało szansę. To ona stała za zwycięstwami Trumpa na Florydzie w 2016 i 2020 roku. W 2018 roku uratowała kampanię Rona De Santisa, który dopiero później stał się dominującą siłą w stanie. Wpływ Wiles na kampanię był tak duży, że po zwycięstwie żona gubernatora elekta wymogła na nim, by ten zwolnił doradczynię. Ta historia pokazuje też zresztą, że pomimo pozorów i wyglądu, Susie Wiles bardzo daleko do stereotypowej „miłej pani". Gdy w 2023 roku Ron De Santis postanowił wystartować w prawyborach prezydenckich Partii Republikańskiej, to Wiles miała zadbać o to, by z 14 kongresmenów wybranych na Florydzie w 2022 roku, De Santis otrzymał tylko jeden głos poparcia dla swojej kandydatury.

Wiles może być dobrym barometrem wskazującym, jak wyglądać może druga prezydentura Trumpa. Z jednej strony pokazuje lekcje, które wyciągnął sam prezydent. Potrzebni są ludzie nie tylko lojalni, lecz także znający się na swojej robocie i przede wszystkim skuteczni. Ale jest też druga strona: Trump nauczył się Waszyngtonu, ale i ludzie od wielu lat działający w republikańskiej polityce nauczyli się Trumpa. O Wiles mówi się, że jedną z jej największych zalet jest umiejętność „kontrolowania impulsów prezydenta". Przykład z Pam Bondi, która od początku była faworytką Wiles, pokazuje, że czasem lepsze od twardego oporu jest danie prezydentowi szansy, by sam przyjrzał się i ocenił sytuację.

Szereg nominacji w polityce zagranicznej: od Marco Rubio, przez Michaela Waltza w roli doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, po Johna Ratcliffe'a na czele CIA pokazuje to samo podejście. To kandydaci, którzy zgadzają się z Trumpem w kluczowych kwestiach, ale prezydent elekt nie postawił wcale na tych, którzy będą się z nim zgadzali we wszystkim. W książce Waltza „Hard Truths" czytelnik znajdzie wiele fragmentów, na przykład tych dotyczących wojny w Afganistanie, które twardego izolacjonistę przyprawiłyby w apopleksję. Ale Waltz, podobnie jak Pete Hegseth, kandydat na sekretarza obrony, zgadzają się z Trumpem, że siła i wiarygodność USA i jej sił zbrojnych wymagają reformy i odbudowy.

To będzie oczywiście administracja pełna napięć. Antysystemowcy i establishment, izolacjoniści i „jastrzębie", wolnorynkowcy ze stajni Elona Muska i zwolennicy gospodarki „dobra wspólnego", z którymi trzyma wiceprezydent elekt J.D. Vance. Ale póki co Trump pokazuje, że chce tymi napięciami zarządzać i ma swój plan. Ameryka ma być znowu silna – to coś dużo więcej niż tylko chwytliwe hasło wyborcze. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

„Dzisiaj napisaliśmy historię" – powiedział Donald Trump w swoim pierwszym wystąpieniu, gdy było już oczywiste, że odniósł oszałamiające zwycięstwo w wyborach prezydenckich i obronił USA przed lewactwem. Będzie też miał w ręku silne atuty wzmacniające jego polityczną sprawczość. Bo republikanie utrzymali większość w Izbie Reprezentantów i odbili Senat. A w Sądzie Najwyższym dominują konserwatywne wartości. Amerykanie rzeczywiście dokonali historycznego wyboru, który wywoła duże, globalne zmiany. Władzę w najważniejszym państwie Zachodu przejmuje bowiem prawica. To może wyrwać też Europę z komunistycznego szaleństwa, jakie forsowały niemieckie elity, i zatrzymać odbudowę w Polsce postsowieckiej rzeczywistości.

Piotr Grochmalski



Trump 2.0

czyli Make Poland Great Again

eprasa.pl ceedbe6b4d



ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. ERIK S. LESSER/PAP/EPA, KOREA NORTH/KOREA, RUSSIA/PRAWA, CHINA RUSSIA DIPLOMACY/PAP/EPA, ARTYOM GEODAKYAN/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA, ADOBE STOCK (4)

To miało swoją moc – w Narodowe Święto Niepodległości Andrzej Duda przekazał informację o swojej rozmowie z prezydentem elektem USA. Donald Trump złożył narodowi polskiemu życzenia z okazji tego wyjątkowego święta. Obaj przywódcy uzgodnili też wspólne spotkanie jeszcze przed oficjalnym zaprzysiężeniem w styczniu 2025 roku nowego lidera Stanów Zjednoczonych. Tego samego dnia Donald Tusk nie pojawił się na uroczystościach, bo miał „planowy zabieg medyczny". To kwintesencja jego podejścia do Polski.

Silny proatlantycki impuls

Nie ma chyba w Europie drugiego polityka, który tak konsekwentnie wagarowałby przy okazji narodowych obchodów, jak Donald Tusk. Zniknął w Dzień Flagi 2 maja. Wyparował też przy okazji święta Konstytucji 3 maja. Nie znalazł również czasu, aby pojechać na obchody 80. rocznicy bitwy pod Monte Cassino. Sam więc Tusk wyłączył się z owej wspólnoty, do której skierowane były życzenia prezydenta Trumpa. Lider wolnego świata przy okazji podkreślił, że ma świadomość, iż głosy Polonii odegrały kluczową rolę w jego wyborczym zwycięstwie, które już zmienia świat. Ale też zdecydowanie wzmacnia na Starym Kontynencie pozycję prezydenta Andrzeja Dudy, który był jedynym politykiem Unii Europejskiej potrafiącym zachować otwarte opcje działania wobec kandydatów demokratów i republikanów. Podczas pierwszej kadencji Trumpa zbudował specjalne, strategiczne relacje z jego administracją. To przygotowało nas na przyszłą wojnę – wzmocnienie obecności amerykańskiej armii, kontrakty na zakup nowoczesnego uzbrojenia, osobisty udział Trumpa w megaprojekcie geopolitycznym Trójmorza, skuteczne zablokowanie Nord Stream 2. Realizowały się wielkie marzenia premiera Jana Olszewskiego, marszałka seniora Antoniego Macierewicza i ministra Piotra Naimskiego, którzy jako pierwsi, jeszcze w czasach głębokiej komuny, uważali, że przyszła suwerenna Polska musi zbudować mocne, strategiczne relacje z USA. A potem dwóch prezydentów, śp. Lech Kaczyński i Andrzej Duda, dało Polsce silny impuls proatlantycki.

Z historycznej perspektywy łatwo będzie dostrzec, że istotą prezydenckiej misji Andrzeja Dudy, a także rządów koalicji Zjednoczonej Prawicy, było zbudowanie silnej, amerykańsko-polskiej strategicznej więzi. Nigdy dotąd w historii nie mieliśmy tak świetnej prosperity we wzajemnych relacjach z najważniejszym i najsilniejszym na świecie państwem. Historyczne doświadczenia ukazują nam, że zarówno Niemcy, jak i Rosjanie wielokrotnie dążyli do zniszczenia polskiej państwowości i naszej narodowej tożsamości. Nawet w ramach Unii Europejskiej Berlin gotów był, kosztem relacji z Warszawą, budować silną oś z Moskwą. To pokazuje, że nadal występują wielkie różnice interesów między Warszawą a Berlinem i Moskwą. Nigdy w ciągu ostatnich stuleci nie mieliśmy dobrych, strategicznych relacji z dominującą potęgą globalną. Prezydent George W. Bush zaproponował nam udział w gigantycznym projekcie Tarczy Antyrakietowej, najważniejszym dla strategicznego bezpieczeństwa USA. Stany Zjednoczone przeznaczały na niego 1,2 bln USD. Jego elementy miały się mieścić jedynie w USA i Polsce, pod Redzikowem, a radar miał powstać w Czechach. Niemcy i Rosja uważały, że ogromnie wzmocni to rolę naszego państwa. W konsekwencji Tusk storpedował projekt. Ostatecznie został on skończony w 2018 roku, ale bez udziału Polski. Obiekty tego systemu powstały jedynie na terytorium Stanów Zjednoczonych. Obecna baza US Navy w Redzikowie nie ma nic wspólnego z projektem Busha.

Trump i Trójmorze

Zaledwie w sierpniu 2015 roku rozpoczął swoje urzędowanie Andrzej Duda, a już miesiąc później, w Nowym Jorku, ruszyła inicjatywa Trójmorza. Po zwycięstwie wyborczym Zjednoczonej Prawicy, prezydent dostał silne wzmocnienie od rządu Beaty Szydło. W 2017 roku w Warszawie, z udziałem lidera USA Donalda Trumpa, odbył się drugi szczyt Trójmorza, inicjatywy, która miała zmienić całą europejską geopolitykę. Lider wolnego świata powiedział wówczas: „Stoimy ramię w ramię z krajami Trójmorza". Zaproponował swoisty sojusz energetyczny i wsparcie państw tworzących ten projekt dostawami nowoczesnych technologii zbrojeniowych. Ale równocześnie zdecydowanie i skutecznie zablokował Nord Stream 2, który był symbolem osi Berlin–Moskwa wymierzonej w bezpieczeństwo państw tego regionu. Największy niepokój projekt Trójmorza wywołał w Moskwie. Klub Izborski, blisko związany z Kremlem, opracował już na początku 2016 roku raport, w którym ostrzegał, że inicjatywa Trójmorza jest wyjątkowo niebezpieczna dla imperialnych celów Rosji. Bo jest próbą zbudowania sojuszu grupy państw odcinających Rosję od Niemiec i Zachodu. Zdaniem autorów raportu państwa Europy Wschodniej, na czele z Polską, tworzą unię polityczno-wojskową, której zadaniem jest zniszczenie „rosyjskiego świata". Autorzy opracowania postulowali, iż Rosja musi zrobić wszystko co w jej mocy, aby zniszczyć projekt Trójmorza.

Prawdziwą histerię w Moskwie wywołało wsparcie Trumpa dla Trójmorza. To nadało projektowi od razu wymiar inicjatywy geostrategicznej, a zapowiedź energetycznego, technologicznego i militarnego wsparcia dla Trójmorza ze strony Stanów Zjednoczonych pokazywała, iż Waszyngton gotów jest mu patronować i wpisuje go jako element swej globalnej strategii. Wywołało to se-

eprasa.pl ceedbe6b4d

rię bardzo agresywnych działań ze strony FR. Także RFN z rosnącym niepokojem obserwował usamodzielnianie się państw Trójmorza. Większość inwestycji lokowanych w infrastrukturę Europy Środkowej wpisywało się w traktowanie tego obszaru jako peryferyjnego wobec gospodarki niemieckiej. Polska miała być swoistym pasem transmisyjnym między dopełniającymi się ekonomikami RFN i Rosji. Koncepcja Trójmorza miała zasadniczo zmienić logikę transformacji całego kontynentu. Linia horyzontalna UE, rozpięta między Paryż, Berlin i Moskwę, miała być wsparta o oś pionową, która ma wzmacniać gospodarczą i geopolityczną rolę „Trzynastki", obszaru generującego ponad 20 proc. unijnego PKB i zajmującego jedną trzecią terytorium UE.

Ale Biden za swej prezydentury wyhamował wsparcie dla Trójmorza, wsparł Berlin i dał zielone światło dla Nord Stream 2, co przyspieszyło agresję Rosji na Ukrainę. Teraz prezydent Duda chce wykorzystać czas, aby do końca swej kadencji przekonać Trumpa, by przywrócił patronat USA nad Trójmorzem. Gdyby obecny szef IPN dr Karol Nawrocki wygrał w nadchodzących wyborach prezydenckich, miałby przetartą drogę do Trumpa w tej kluczowej dla Polski sprawie. W wywiadzie dla TV Republika Trump powiedział: „Jak wiecie, zamknąłem Nord Stream 2. Zamknąłem go. Było po wszystkim. A kiedy przyszedł Biden, natychmiast pozwolił im budować [...] Otworzyli go i dali Rosji wszystkie te pieniądze, aby mogła toczyć wojny, robić z nimi, co chcą. Musimy wiercić, wiercić, wiercić („drill, baby, drill"). [...] Będziemy wiercić w poszukiwaniu ropy. Zamierzamy obniżyć ceny energii dla ludzi w ciągu 12 miesięcy od 20 stycznia o połowę, 50 procent. [...] A ja zrobię to z łatwością. Jeśli będę w stanie, zrobię więcej. Myślę, że to bardzo ważna rzecz. To duża część mojego programu. Mam wiele elementów programu, które pomagają Polakom". Tania amerykańska energia dla Trójmorza wysadzi w powietrze niemieckie projekty dominacji nad regionem i da kolejny silny impuls dla rozwoju gospodarczego tych państw. Tego obawia się Berlin i to próbuje blokować Tusk. Najnowszy szczyt Trójmorza odbędzie się w Polsce. Udział w nim Trumpa znów nada dynamiki temu projektowi, tym bardziej, że także Japonia i Korea Południowa są zainteresowanie aktywną współpracą z tą organizacją.

▶ Trump i polska prawica napiszą nową historię Europy Środkowej

„Dzisiaj napisaliśmy historię" – powiedział Donald Trump w swoim pierwszym wystąpieniu, gdy było już oczywiste, że odniósł oszałamiające zwycięstwo w wyborach prezydenckich i obronił USA przed lewactwem. Będzie też miał w ręku silne atuty wzmacniające jego polityczną sprawczość. Bo republikanie utrzymali większość w Izbie Reprezentantów i odbili Senat. A w Sądzie Najwyższym dominują konserwatywne wartości. Amerykanie rzeczywiście dokonali historycznego wyboru, który wywoła duże, globalne zmiany. Władzę w najważniejszym państwie Zachodu przejmuje bowiem prawica. To może wyrwać też Europę z komunistycznego szaleństwa, jakie forsowały niemieckie elity, i zatrzymać odbudowę w Polsce postsowieckiej rzeczywistości. Na tej fali zmierzać będzie do wyborów prezydenckich Karol Nawrocki. Trump staje się równie sprawczym politykiem wobec Europy Środkowej jak Ronald Reagan. Bo wielkim, cichym wygranym w kampanii wyborczej jest amerykańska Polonia. Jej głosy przesądziły w swing states. Bezcenny udział w mobilizacji tego środowiska odegrała Telewizja Republika, która jest głównym medium wśród amerykańskiej Polonii.

Jak zauważa portal Politico, hrabstwa w trzech stanach wahających się, zamieszkałych w głównej mierze przez Amerykanów polskiego pochodzenia, takich jak Presque Isle w Michigan, Marathon w Wisconsin i Luzerne w Pensylwanii, głosowały na Trumpa. Powtórzyła się historia z 2016 roku, gdy to właśnie głosy Polonii dały mu wówczas wygraną. To dlatego przed wyborami otwarcie zwrócił się do nich o wsparcie. Jak stwierdził: „Ja mam ten sam system wartości, co wy, łączy nas przywiązanie do prawdy, wolności i solidarności". A tuż przed 40. rocznicą zamordowania przez reżim Jaruzelskiego bł. ks. Jerzego Popiełuszki napisał: „Wczoraj w Chicago miałem zaszczyt podpisać Pamiątkę z okazji tej uroczystej rocznicy i wręczyć ją siostrzeńcowi księdza Jerzego, Markowi Popiełuszce, a także otrzymać od niego księgę kazań księdza Jerzego oraz inne piękne pamiątki upamiętniające życie tego niezwykłego człowieka o bohaterskich cnotach".

Portal Politico, własność Axela Springera, instrument realizacji niemieckiej propagandy, z nieukrywaną irytacją stwierdził, iż zwycięstwo Trumpa „daje Prawu i Sprawiedliwości nadzieję na zwycięstwo w wyborach prezydenckich w Polsce w przyszłym roku". Frustracja Berlina jest oczywista. Politico zauważa, że „PiS i Trump mają zarówno historię, jak i chemię. Pierwszy pobyt Trumpa w Waszyngtonie pokrywał się z rządami partii w Warszawie. Duda był entuzjastycznym gościem w Gabinecie Owalnym". Sam Trump o tym okresie powiedział do Dudy, gdy spotkał się z nim tuż przed wyborami: „Przeżyliśmy razem cztery wspaniałe lata". Według Politico wpływ nowej administracji na wydarzenia w Polsce będzie tylko rósł w miarę upływu czasu. Portal stwierdza, iż „Trump stał się obecnie kluczowym graczem w jednym z najbardziej proamerykańskich krajów Europy. Podczas gdy Tusk i jego Platforma Obywatelska od dawna sceptycznie odnosili się do Trumpa i byli bliżej demokratów, PiS stawiało na Trumpa". Politico przyznaje przy tym, iż Zjednoczona Prawica jest na fali. Z sarkazmem

eprasa.pl ceedbe6b4d

przytacza opinię prezydenta Dudy wygłoszoną w jego przemówieniu z okazji dnia niepodległości o tym, że zwykłym „marzycielstwem" jest iluzja, że Europa może sama się obronić: „W obecnym stanie, w obliczu odradzającego się imperializmu rosyjskiego, [Europa] raczej nie będzie w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa bez Stanów Zjednoczonych".

Berlin z nieukrywaną irytacją przyjmował wzrost potęgi militarnej Polski pod rządami Zjednoczonej Prawicy. Politico przyznaje, iż jest „faktem, że Polska jest obecnie największym krajem w NATO pod względem wydatków na obronę w stosunku do PKB, kwestie wojskowe i bezpieczeństwa zajmują wysokie miejsce na liście priorytetów – a PiS ma nadzieję, że uda mu się to wykorzystać na swoją korzyść… Celem jest przekonanie polskich wyborców, że warto wybrać kandydata, który ma dobre stosunki z Trumpem, zamiast ryzykować zniechęcenie prezydenta poprzez oddanie większej władzy Tuskowi i jego liberałom". Ale obawy Politico są uzasadnione. Jeśli Trzaskowski, człowiek Tuska, nie zdobędzie prezydentury, szybko skończy się władza Niemiec nad Polską, a Warszawa stanie się znów silna dzięki wsparciu ze strony Trumpa.

Obronić Polskę przed Tuskiem

Ale nasz dramat polega na tym, że polskim państwem kieruje dziś ekipa, która zrobi wszystko, aby odebrać nam ogromną szansę, jaką jest zwycięstwo Trumpa. Twarzą naszej polityki zagranicznej jest Radosław Sikorski, który na ujawnionym nagraniu w restauracji „Amber Room", w rozmowie z Jackiem Rostowskim, stwierdził: „Polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa […]. Bullshit kompletny. Skonfliktujemy się z Niemcami, z Rosją i będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy. Kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest taki, że mamy bardzo płytką dumę i niską samoocenę. Taka murzyńskość". Ten sam polityk zrobił za to publicznie „laskę" Niemcom w Berlinie 28 listopada 2011 roku, gdy stwierdził: „Zapewne jestem pierwszym w historii ministrem spraw zagranicznych Polski, który to powie: Mniej zaczynam obawiać się niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa". Cała polityka tego duetu Tusk–Sikorski to był jeden wielki „Die Berliner Huldigung" (hołd berliński). To w imię tej polityki skrajnego podporządkowania Polski niemieckim interesom, Tusk dokonał radykalnego resetu z Rosją Putina i zablokował Tarczę Antyrakietową. Jest oczywiste, że dla Polski zwycięstwo Trumpa to wielka, historyczna szansa, ale niemożliwa do zrealizowania pod tymi rządami.

Jak Tusk robił z Trumpa rosyjskiego agenta

Jest też oczywisty powód, dla którego Tusk powinien szybko ustąpić z urzędu. To publiczne oskarżanie prezydenta USA, naszego strategicznego sojusznika, że był rosyjskim agentem. To się w głowie nie mieści, bo mówi to człowiek, który odpowiada za reset z Rosją. A oficjalny raport Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich w Polsce, pod przewodnictwem prof. Sławomira Cenckiewicza, stwierdza: „W odniesieniu do byłego premiera Donalda Tuska oraz ministrów Jacka Cichockiego, Bogdana Klicha, Tomasza Siemoniaka i Bartłomieja Sienkiewicza, Komisja rekomenduje niepowierzanie im zadań, stanowisk i funkcji publicznych związanych z odpowiedzialnością za bezpieczeństwo państwa". Raport nadal ma moc prawną. A to oznacza, iż „rosyjską zarazą" dotknięte są kluczowe postacie, które otaczają Tuska. A dziś, po roku władzy, zmasakrował polską gospodarkę i doprowadził do najpoważniejszej katastrofy finansów publicznych. To nie powstrzymuje go od próby zniszczenia Narodowego Banku Polskiego.

Ale to tylko początek tego, co nas czeka po tym, jak Tusk zmasakruje nasze relacje z USA i NATO. Niemcy już publicznie dystansują się wobec niego. Tusk nie liczy się już w Europie i USA. Nie ma polityka europejskiego, który ma za sobą tak dużą liczbę wpadek wobec Stanów Zjednoczonych. O jego zupełnym dyletantyzmie świadczy owe postawienie wszystkiego na zwycięstwo Harris. Ale to wynika z jego uzależnienia od Berlina. Zrobił to, czego jego zdaniem oczekiwali od niego Niemcy. Podczas spotkania wyborczego 17 marca 2023 roku stwierdził: „Trump i jego zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb. Nie wykluczają amerykańskie służby, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu". Dzień po zwycięstwie Trumpa, na konferencji prasowej 7 listopada, zapytany o tę wypowiedź przez Monikę Rutke, dziennikarkę „Tygodnika Solidarność", stwierdził: „Nie, tego typu sugestii nigdy nie wygłaszałem". Szara eminencja niemieckiej polityki, Arndt Freytag von Loringhoven, syn ostatniego adiutanta Hitlera, były adwokat Niemiec w Polsce, podkreślił w książce wydanej w 2023 roku, że „Trump nie lubił Niemiec, sądzę, że głównie z powodów gospodarczych. Wyżej cenił Polskę. Polskie władze były w nim przez to zakochane".

Tusk w relacjach z USA prowadzi nas do katastrofy

Ale Tusk, już jako lider koalicji 13 grudnia, po raz kolejny wywołał silne negatywne emocje wśród czołowych republikańskich polityków. Postanowił przy tym

eprasa.pl ceedbe6b4d

włączyć się, jako premier RP, w politykę wewnętrzną USA. Za pośrednictwem platformy X zwrócił się do... Senatu USA: „Ronald Reagan, który pomógł milionom z nas odzyskać wolność i niepodległość, musi dziś przewracać się w grobie. Wstydźcie się". Ostro zareagował republikański senator Marco Rubio, człowiek, który ma odpowiadać za politykę zagraniczną w ekipie Trumpa. Postawę szefa polskiego rządu skomentował też Nile Gardiner, analityk polityki zagranicznej i były doradca Margaret Thatcher: „Możecie być pewni, że gdy bezmyślny Joe Biden opuści Gabinet Owalny, Donald Tusk nie będzie mile widziany w Białym Domu. Ten człowiek to chodząca katastrofa dla Polski i stosunków polsko-amerykańskich". A wybrany nowy wiceprezydent USA J.D. Vance 11 stycznia 2024 roku na platformie X tak pisał o dokonaniach ekipy 13 grudnia: „Do niedawna Polska miała rząd konserwatywny. Używając dużej presji dyplomatycznej i ekonomicznej, administracja Bidena (i wiele narodów europejskich) zaatakowała ten rząd jako antydemokratyczny. Rząd ten został niedawno zastąpiony przez globalistyczny rząd liberalny, który obecnie aresztuje swoich przeciwników politycznych i zamyka debatę publiczną. (Brzmi znajomo?) W imię ochrony demokracji wykorzystują pieniądze z podatków, aby zaatakować rząd, który był naszym wielkim sojusznikiem". Tusk stał się ogromnym obciążeniem dla Polski.

W wydanej w 2019 roku swojej hagiografii „Szczerze", na stronach 260–261 Tusk zamieścił wielkie zdjęcie, które ilustruje dobitnie bezmiar jego serwilizmu wobec Niemiec. Na fotografii Donald Trump rozmawia z premierem Kanady, Justinem Trudeau. Za jego plecami stoją kanclerz Merkel i Tusk, który mierzy w plecy Trumpa z dłoni, udając, że oddaje do niego śmiertelny strzał. Trudno o większy kontrast między tym zdjęciem a fotografią uśmiechniętego Putina i Tuska jak sobie robią żółwiki w tle smoleńskiej hekatomby. Oczywiste jest, że ekipa 13 grudnia nie jest w stanie skutecznie wykorzystać owej ogromnej szansy na wzmocnienie pozycji Polski po wyborze Trumpa. Ale nie jest w stanie wykorzystać jej Tusk, który jeszcze jako szef Rady Europejskiej ustawił się w kontrze wobec Trumpa. Wymownym symbolem tego upadku znaczenia Polski pod jego rządami była seria siarczystych ciosów, które otrzymał w związku ze szczytem w Berlinie z udziałem prezydenta Bidena. Tusk nie dostał zaproszenia na to wydarzenie. Oznaczało to policzek wymierzony nie tylko od Niemców, Francuzów i Brytyjczyków, lecz także od demokratów. Ale ostateczny cios przyszedł po zwycięstwie Trumpa. Berlin coraz bardziej otwarcie dystansuje się od Tuska. A równocześnie elity niemieckie na gwałt poszukują dobrych relacji z Trumpem. Rozsypała się cała scena polityczna, a Jens Spahn, były kandydat CDU na fotel kanclerski, ambitny i wpływowy polityk z największego opozycyjnego ugrupowania w Niemczech, krytykuje w czambuł całe postępowanie ekipy Scholza wobec Trumpa. Twierdzi, że wysoce niemądre było ostentacyjne opowiedzenie się niemieckiego rządu po stronie Kamali Harris. To fatalnie rzutuje na wizerunek Niemiec, które są jednoznacznie kojarzone z demokratami. Twierdzi, że Niemcy czeka ogromna praca, aby zatrzeć to wrażenie i zbudować lepsze relacje z USA. Za to szefowa Alternatywy dla Niemiec, Alice Elisabeth Weidel, pospieszyła z serdecznymi gratulacjami dla Trumpa za oszałamiające zwycięstwo. Co więcej uważa, że AfD winna poważnie rozważyć możliwość przeszczepienia na grunt niemiecki doświadczeń z działalności ruchu Trumpa MAGA (Make America Great Again). Ale działania te z trudnością ukrywają panikę większości niemieckich elit. Wali się koalicja Scholza, co jest konsekwencją zbliżającej się katastrofy gospodarczej. Niemcy boją się, że zwycięstwo Trumpa może doprowadzić do głębokiego pęknięcia w Unii Europejskiej na części proniemiecką i proamerykańską. Według nich Niemcy znajdą się pod ekonomiczną presją ze strony USA. Dlatego Berlin oczekiwać będzie jasnego stanowiska Warszawy. Na razie bowiem nie wiadomo, czy Tuskowi uda się radykalne wzmocnienie proniemieckiej opcji, czy też zostanie odsunięty od władzy, aby nie dopuścić do otwartego konfliktu z USA, co zagroziłoby bezpieczeństwu Polski. O wszystkim zadecyduje – ich zdaniem – wynik wyborów prezydenckich w Polsce. Zwycięstwo w nich proniemieckiego kandydata spowoduje, że już na stałe staniemy się przewidywalną częścią niemieckiego porządku. Ale Belin ma świadomość, że czeka go śmiertelne wyzwanie. Prawdopodobne cła USA uderzą i zmasakrują tonący niemiecki przemysł motoryzacyjny. Volkswagen jest na krawędzi katastrofy. Już teraz musi zamknąć trzy spośród swoich dziesięciu zakładów w Niemczech. Los firmy w Poznaniu jest bardzo niepewny. Niemcy wiedzą, że jeśli Trump zrealizuje swój plan i wprowadzi wysokie cła na chińskie produkty, to zaleją one rynek europejski, osłabiając gospodarkę niemiecką. Ale równocześnie prezydent USA chce nadać nowej siły gospodarczej Trójmorzu, gwarantując wielkie dostawy taniej energii. Pragnie uczynić z Polski kluczowe państwo w europejskich relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Pragnie też, aby Polacy odegrali istotną rolę w sprawach dotyczących architektury bezpieczeństwa w Europie, a także w rozmowach dotyczących przyszłości Ukrainy. Problemem jest jednak przerażony rozwojem sytuacji Tusk, mentalnie podporządkowany Berlinowi i gotowy zrobić wszystko, czego oczekują od niego Niemcy, licząc na to, że to pozwoli mu utrzymać się u władzy. Grozi mu przecież, za to, czego się dopuścił, odpowiedzialność karna. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

Trump to koszmar dla Chin

Hanna Shen



Na kilka tygodni przed wyborami prezydenckimi w USA Jia Qingguo, członek najwyższego organu decyzyjnego KPCh, Stałego Komitetu Biura Politycznego, stwierdził, że Pekin wolałby, aby to Kamala Harris odniosła zwycięstwo w głosowaniu 5 listopada. Triumf Donalda Trumpa to dla Pekinu „koszmar".

eprasa.pl ceedbe6b4d



FOT. ADOBE STOCK

Według Jia Qingguo pierwsza kadencja Trumpa przyniósła Chinom „bardzo złe doświadczenia. Nie chcemy przez to przechodzić ponownie". 5 listopada Amerykanie zdecydowali, że Pekin będzie musiał jeszcze raz stawić czoła Donaldowi Trumpowi, a jego pierwsze decyzje ogłoszone tuż po wygranej pokazują, że Komunistyczna Partia Chin (KPCh) ma się czego obawiać. Po triumfie wyborczym Trumpa Pekin próbuje udawać, że nic się nie stało. Rzecznik chińskiego MSZ, Mao Ning, stwierdziła, że bez względu na to, kto jest amerykańskim przywódcą, „będziemy nadal postrzegać i traktować stosunki chińsko-amerykańskie zgodnie z zasadami wzajemnego szacunku, pokojowego współistnienia i współpracy przynoszącej korzyści obu stronom". W rzeczywistości w Pekinie wyczuwa się niepokój. Tajwański naukowiec z National Taiwan University, Yuan Juzheng, powiedział Fox News Digital, że podczas swojej niedawnej podróży do Chin zauważył, że niemal każdy, z kim się spotkał, chciał porozmawiać o wyborach w USA. Według Yuana zwycięstwo Trumpa to dla KPCh „najgorszy scenariusz". Chińscy politolodzy, a także chińscy internauci, uważają, że kolejne cztery lata rządów Donalda Trumpa niemal na pewno pogorszą i tak już napięte stosunki między oboma krajami. Jeszcze zanim Trump zaczął ogłaszać pierwsze nominacje do swojej administracji, w chińskich mediach pisano, że najważniejsze stanowiska mogą przypaść osobom określanym jako „chińskie jastrzębie", czyli znanym z twardego stanowiska wobec Chin. Tak też się stało.

Chiny to zagrożenie dla przeciętnego Amerykanina

Patrick Cronin z amerykańskiego konserwatywnego think tanku Hudson Institute uważa, że w kwestii Chin kadencja Trump 2.0 rozpocznie się tam, gdzie skończyła się pierwsza. Podczas pierwszej kadencji Donald Trump dokonał historycznej zmiany w polityce USA wobec Chin. Zyskało to poparcie w kręgach zajmujących się polityką zagraniczną na całym świecie, bo Zachód zaczął wreszcie traktować Pekin jako zagrożenie. Dziś, gdy Chiny okazały się jednym z głównych sponsorów machiny wojennej Putina, skalę tego zagrożenia widać szczególnie wyraźnie. Ale w czasie kampanii wyborczej Trump starał się też pokazać, jak owo zagrożenie ze strony Chin wpływa na życie przeciętnych Amerykanów. Na wrześniowym wiecu w centrum produkcji samochodów w mieście Flint w stanie Michigan Trump ostrzegał, że, jeśli nie zostanie wybrany, to „nie będziecie mieć żadnych zakładów produkcyjnych. Chiny przejmą cały wasz biznes

eprasa.pl cedbe6b4d

z powodu samochodów elektrycznych i dlatego, że mają surowce" – powiedział. Aby produkcja wróciła do USA, Trump musi cłami uderzyć nie tylko w chińskie firmy, lecz także amerykańskich inwestorów w ChRL. Już podczas kampanii zapowiedział, że produkcja w Państwie Środka może być obłożona nawet 60-proc. cłami.

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza i narastające prześladowania powodują, że zagraniczny biznes już ucieka z ChRL, a polityka Trumpa to tylko przyspieszy. I to już widać. Zaledwie trzy dni po wygranych przez kandydata republikanów wyborów, amerykańska firma obuwnicza Steve Madden ogłosiła, że zmniejszy o połowę swoją produkcję w Chinach, aby uniknąć ceł nałożonych przez nową administrację. Według Nicka Iacovelli, wiceprezesa Coalition for a Prosperous America (CPA), organizacji reprezentującej wytwórców, którzy produkują tylko w Stanach Zjednoczonych, cła, stymulacja amerykańskiej produkcji, a także ograniczenie zdolności Chin do pozyskiwania funduszy z amerykańskich rynków kapitałowych sprawią, że decoupling (rozprzężenie związków gospodarczych z ChRL), który zaczął się za pierwszej kadencji Trumpa, teraz znacznie przyspieszy.

Gordon C. Chang, amerykański ekspert ds. Chin i Korei Płn., często występujący w programach stacji Fox News Channel i Fox Business Network, zwraca uwagę na jeszcze jedną konsekwencję nałożenia wysokich ceł na chińskie produkty. Jak napisał Chang w brytyjskiej gazecie „The Telegraph", ograniczenie eksportu z Chin pogorszy i tak już złą sytuację gospodarczą ChRL, co spowoduje, że „członkowie elity Partii Komunistycznej zaczną walczyć między sobą o kurczące się źródła łapownictwa. Zmuszeni będą do jeszcze bardziej zaciekłych walk o władzę". Obok gospodarczej niestabilności Xi Jinping będzie musiał więc stawić czoła politycznej niepewności.

Rozprawa z narkobiznesem

Mówiąc o chińskich zagrożeniach dla Amerykanów, w kampanii Trump często wspominał fentanyl, który zabija co roku ponad 100 tys. obywateli USA. Fentanyl trafia do USA w wyniku działalności meksykańskich kartleli, które współpracują z Chinami, czołowym producentem prekursorów fentanylu. Z opublikowanego w kwietniu 2024 roku raportu komisji Izby Reprezentantów USA wynika, że rząd chiński posiada udziały własnościowe w kilku firmach powiązanych z handlem narkotykami, a także że wiele z tych firm sprzedaje swoje produkty bezpośrednio nielegalnym nabywcom w Meksyku, wykorzystując kryptowaluty do ukrywania transakcji. Chiny dostarczają po niskich cenach do Meksyku maszyny do tłoczenia tabletek wykorzystywane do produkcji fałszywych pigułek z dodatkiem fentanylu i zapewniają kartelom bezpieczne systemy komunikacji, aby mogły ominąć wykrycie przez amerykańskie organy ścigania. Trump zapowiada ostrą rozmowę z Xi Jinpingiem dotyczącą fentanylu i nałożenie kolejnych ceł na Meksyk i Chiny, jeśli te nie zaprzestaną wojny narkotykowej przeciw USA. Nad bezpieczeństwem granic USA będzie czuwał „chiński jastrząb", Thomas Homan.

Administracja „chińskich jastrzębi"

Gdy Trump zaczął ogłaszać pierwsze nominacje do swojej administracji, tajwańskie media pisały, że dla Chin to realizacja koszmaru. Czołowe stanowiska w nowym rządzie obejmą tzw. chińskie jastrzębie, czyli politycy postulujący twarde podejście do Pekinu. Takim politykiem jest mianowany przez Trumpa na stanowisko szefa CIA John Ratcliffe, były kongresmen z Teksasu i dyrektor Wywiadu Narodowego w latach 2020–2021. „Nasze informacje wywiadowcze są jasne: Pekin dąży do dominacji nad Stanami Zjednoczonymi i resztą planety pod względem ekonomicznym, militarnym i technologicznym. Wiele głównych inicjatyw Chin i prominentnych firm to jedynie kamuflaż dla działań Komunistycznej Partii Chin" – napisał Ratcliffe w artykule w „The Wall Street Journal" w grudniu 2020 roku. Przyszły dyrektor CIA wzywał też do pociągnięcia Pekinu do odpowiedzialności za wywołanie pandemii COVID-19. „Chińskim jastrzębiem" jest również kongresmenka Elise Stefanik, która będzie ambasadorem USA przy ONZ. W Izbie Reprezentantów była ona autorką kilku ustaw mających m.in. zredukować zagrożenie ze strony chińskiego biznesu działającego w USA, a powiązanego z KPCh i chińską armią. Inny „chiński jastrząb", Stephen Miller, podczas pierwszych rządów Trumpa pełnił funkcję starszego doradcy ds. politycznych oraz speechwritera (osoby piszącej przemówienia), a teraz będzie zastępcą szefowej personelu, Susie Wiles. Miller jest zwolennikiem zaostrzonej polityki migracyjnej i postulował ograniczenie wiz dla chińskich studentów, by ukrócić szpiegowanie KPCh.

Nie ugniemy się przed KPCh

Dwie nominacje Trumpa są szczególnie niebezpieczne dla Pekinu. To Mike Walz jako doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego i Marco Rubio jako sekretarz stanu. Waltz już jako kongresmen zajmował się sprawami Chin. Wzywał do

eprasa.pl ceedbe6b4d

bojkotu zimowych igrzysk w 2022 roku w Pekinie z powodu „tłumienia" przez Pekin informacji o wybuchu epidemii COVID-19 w Wuhan i nieludzkiego traktowania Ujgurów. Jest on także autorem ustawy mającej na celu zmniejszenie zależności Ameryki od chińskich surowców. W 2021roku na swoim koncie na Twitterze (dziś platforma X) Walz napisał: „Ja na pewno będę walczyć do końca, aby Stany Zjednoczone i wolny świat nigdy nie ugięły się przed Komunistyczną Partią Chin".

Nominacja przez Trumpa Marco Rubio na szefa amerykańskiej dyplomacji to jasny sygnał dla KPCh, że USA się nie ugną. W 2018 roku Rubio był współwnioskodawcą ustawy o wzajemnym dostępie do Tybetu (Reciprocal Access to Tibet Act), która ma na celu odmowę wjazdu do Stanów Zjednoczonych wszelkim chińskim urzędnikom zakazującym obywatelom USA wjazdu do Tybetu. Rubio jest także autorem przepisów nakładających sankcje na Chiny za represje wobec mniejszości ujgurskiej i stłumienie protestów w Hongkongu. W odpowiedzi na te prawa chiński rząd umieścił przyszłego sekretarza stanu na czarnej liście. Rubio jest też orędownikiem ścisłej współpracy USA z Filipinami, by wspólnie stawić czoła zagrożeniu ze strony Chin. W 2023 roku w artykule pt. „Dlaczego Filipiny są ważne do Ameryki" w „The National Interest" pisał: „Zjednoczony front w regionie Indo-Pacyfiku nie powstanie bez zdecydowanego wsparcia USA. Powinniśmy zapewnić to wsparcie nie dlatego, że chcemy się mieszać w odległe spory, ale dlatego, że odstraszanie Pekinu jest najlepszym sposobem na to, aby te odlegle spory nie miały wpływu na nasz sposób życia".

▶ Chińska czerwona linia – Tajwan

Pekin boi się nowej administracji Trumpa także dlatego, że jego „chińskie jastrzębie" to zwolennicy wspierania Tajwanu, który codziennie stawia czoła zagrożeniom ze strony ChRL. Przez lata Tajpej mogło liczyć na pomocną dłoń ze strony senatora Marco Rubio. W 2019 roku odpowiedział on na wezwania chińskiego przywódcy Xi Jinpinga do aneksji Tajwanu, publikując tweet wspierający Tajwan jako „niezależną demokrację i silnego sojusznika Stanów Zjednoczonych". Dodał, że Stany Zjednoczone muszą podjąć dalsze kroki w celu zacieśnienia więzi z Tajwanem „w obliczu coraz bardziej agresywnych działań i retoryki Chin". Rubio jest współautorem kilku ważnych ustaw, które mają zwiększyć kooperację amerykańsko-tajwańską. I tak na przykład ustawa Tajwański pokój przez siłę (Taiwan Peace Through Strength Act) ma na celu przyspieszenie sprzedaży broni Tajwanowi, zwiększenie wspólnych szkoleń USA z Tajwanem oraz utworzenie funduszu do pozyskiwania amunicji. W rozmowie z reporterami na Narodowej Konwencji Republikanów 18 lipca br. Rubio powiedział, że jeśli Trump wygra, to „będzie nadal robił to, co robił podczas swojej pierwszej kadencji, czyli nadal wspierał Tajwan". Dodał, że on sam zrobi wszystko, aby „zniechęcić Chińczyków do inwazji" na wyspę. O strategicznym znaczeniu Tajwanu i potrzebie uzbrojenia tego kraju w celu odparcia chińskiej inwazji często mówi też przyszły doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego Mike Walz.

W rozmowach z przedstawicielami administracji Bidena chińscy politycy często podkreślali, że warunkiem dobrych obustronnych relacji jest nieprzekraczanie chińskiej czerwonej linii, czyli nieudzielanie wsparcia Tajwanowi. O tej czerwonej linii mówił 16 listopada podczas szczytu Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) w Peru na swoim ostatnim spotkaniu z Bidenem Xi Jinping, ale były to słowa skierowane do przyszłego prezydenta USA Donalda Trumpa. Chiński prezydent wyraźnie obawia się działań nowego rządu USA w kwestii Tajwanu.

▶ Trump nie zapomni o prześladowanych przez KPCh

W Peru podczas rozmowy z Bidenem, Xi Jinping wymienił, znów mówiąc do Trumpa, jeszcze jedną czerwoną linię, której Waszyngton ma nie przekraczać, czyli nie zajmować się prawami człowieka. Zachodnie liberalno-lewicowe media często przedstawiają Donalda Trumpa jako polityka, który wszystko traktuje jako transakcje, a prawa człowieka nie są w kręgu jego zainteresowań. Jest to oczywiście manipulacja, bo już podczas swojej pierwszej kadencji Trump pomagał prześladowanym w Chinach, m.in. nałożył sankcje na chińskich urzędników łamiących prawa człowieka, a jego administracja pomogła w ucieczce z ChRL kilku represjonowanym obywatelom tego kraju. To, czego udają, że nie widzą mainstreamowe media na Zachodzie, dobrze rozumieją Xi Jinping i jego partyjni koledzy – powrót Donalda Trumpa oznacza nie tyle mówienie o prawach człowieka, ile konkretne działania w tej kwestii. Trump zresztą już to zapowiedział. Kilka dni przed wyborami w wywiadzie przeprowadzonym przez konserwatywnego komentatora politycznego Hugh Hewitta Donald Trump zapowiedział, że „na 100 procent doprowadzi do uwolnienia" Jimmy'ego Laia, hongkońskiego wydawcy i katolika trzymanego od 2020 roku w więzieniu w Hongkongu na polecenie Pekinu. ■

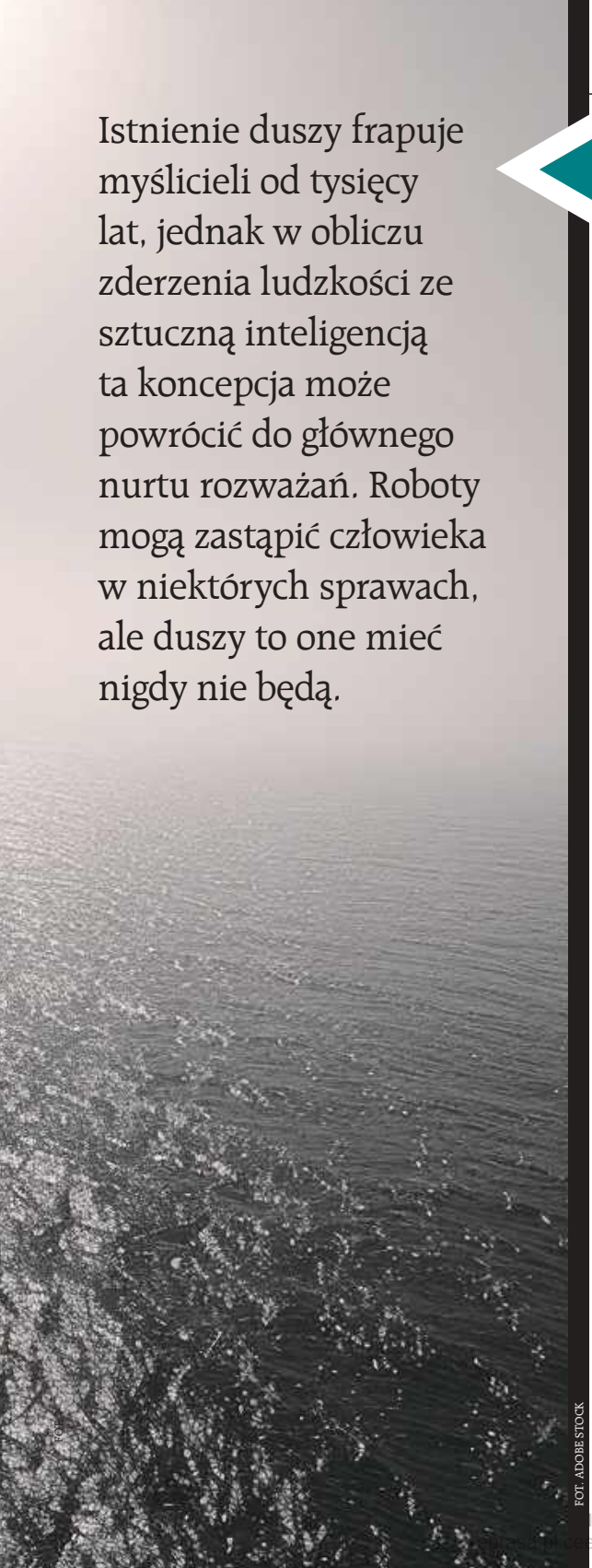
eprasa.pl ceedbe6b4d

KONCEPCJA DUSZY W STARCIU Z NOWOCZESNOŚCIĄ



Jakub Augustyn Maciejewski

Istnienie duszy frapuje myślicieli od tysięcy lat, jednak w obliczu zderzenia ludzkości ze sztuczną inteligencją ta koncepcja może powrócić do głównego nurtu rozważań. Roboty mogą zastąpić człowieka w niektórych sprawach, ale duszy to one mieć nigdy nie będą.



FOT. ADOBE STOCK

Ta scena musiała mieć miejsce na początku lat 90. XVII wieku, prawdopodobnie zimą 1693/1694 roku. Król Jan Sobieski postanowił skorzystać z faktu, że gości na dworze irlandzkiego lekarza i przyrodnika i zechciał podpytać go o zachodnie trendy naukowe i filozoficzne. Wbrew legendzie monarchy jako wybitnego wojownika, Sobieski był bowiem też poliglotą i erudytą, gromadzącym dzieła myślicieli z całej Europy. Tamtego wieczora, przy stole zastawionym królewskimi potrawami, w otoczeniu licznych dygnitarzy, odbyła się arcyciekawa rozmowa. Tak ją po czterech latach wspominał Bernard O'Connor – ów irlandzki lekarz.

„W której części ciała znajduje się dusza?"

„Król zapytał mnie po łacinie: Jak sądzisz, w której części ciała znajduje się dusza?". O'Connor nie był entuzjastą takich rozmów – wówczas pewne koncepcje naukowe były charakterystyczne dla konkretnego obozu politycznego i religijnego i wywoływały dramatyczne spory. Lekarzowi jednak nie udało się wykręcić od tematu, bo gospodarz naciskał dalej: „Król stwierdził, że skoro dusza ma wpływ na ciało, a namiętności umysłu – takie jak złość i strach – rodzą gorączki i inne dolegliwości, lekarze bezwzględnie powinni badać duszę tak samo jak ciało".

Choć dziś zakres tej rozmowy zaliczylibyśmy do dziedziny psychologii lub psychiatrii, wówczas to termin „dusza" definiował to, co dziś rozumiemy jako „świadomość" czy „wolną wolę". Pytanie Sobieskiego dotyczyło więc sprawy – gdzie w ludzkim ciele myślimy, gdzie jest świadomość, dana nam od Boga.

Temat był jednak żywy i ważny dla Irlandczyka, który z prawdziwą pasją rozpoczął cały wykład na ten temat: „Odpowiedziałem, że lekarze analizowali naturę namiętności i dostrzegli, że istnieje pewne oddziaływanie duszy na ciało i ciała na duszę, które zmienia myśli jednych oraz czyny drugich. Nie jest jednak możliwe, aby lekarze pojęli naturę duszy ani wyjaśnili ją innym tak, jak czynią to z ciałem, które dzielą na kawałki dzięki anatomii i rozkładają na najmniejsze elementy dzięki chemii, ponieważ dusza jest substancją niewidzialną i nierozciągliwą».

Jeśli potraktujemy temat literalnie i racjonalistycznie, to należy słowo „dusza" zamieniać na „świadomość» i „wolną wolę". Bo choć dziś wydaje się oczywiste, że nasza osobowość jest zapisana w mózgu, a nie w nerce czy wyrostku robaczkowym, to przecież mózg odpowiada też za inne funkcje, takie jak rozpoznawanie kolorów czy smaków, co nie daje człowiekowi jeszcze wyjątkowej cechy, jaką jest wolna wola. Zatem temat umiejscowienia duszy rozpalał wyobraźnię badaczy:

„Co zaś się tyczy siedziby duszy [...] – ciągnął irlandzki medyk na dworze Jana Sobieskiego – trudno było to pojąć, ponieważ gdyby cała dusza znajdowała się w każdej części ciała, w ciele musiałoby być tyle dusz, ile jest jego części, jako że nie jest możliwe, aby ta sama substancja, choć jest niewidzialny duch, mogła [być] jednocześnie w dwóch miejscach. Poza tym dusza nie może przebywać w miejscach, w których się nie myśli, i każdy czuje, że jego myśl nie znajduje się ani w jego rękach, ani stopach, ale jest świadomy tego, że jego myśl znajduje się w głowie. W konsekwencji dusza musi znajdować się jedynie w mózgu, który jest siedzibą zmysłów i początkiem wszystkich nerwów, które są organami percepcji i ruchu".

Podczas tej wieczerzy wybuchł istny spór o duszę, w której z argumentami O'Connora miał polemizować ojciec Maurycy Vota, kapucyn i specjalny wysłannik papieża do spraw walki z islamem. Rozbieżności dotyczyły tego, czy dusza potrafi kontrolować ciało na tyle, że odpowiada za poruszanie się płuc i bicie serca, czy jest niejako tą częścią mózgu, która nie ma na to wpływu. Duchowny twierdził, że dusza pochodząca od Boga wprawia całą mechanikę ciała (oddychanie, trawienie itd.) w ruch, medyk był innego zdania i ograniczał rolę duszy. Znowu – podstawmy w miejsce słowa „dusza" współczesny termin „świadomość" i wyjdzie nam, że to Irlandczyk, a nie Włoch miał rację. Możemy zadecydować, by wstać z fotela lub przewrócić kartkę w miesięczniku „Nowe Państwo", ale nie możemy zatrzymać siłą woli krwi w tętnicach czy rośnięcia włosów.

O'Connor trafnie to podsumował: „Dusza, mimo że nie jest przyczyną spontanicznego czy witalnego ruchu w nas, to jednak wpływa na wszystkie świadome czyny, takie jak mówienie, chodzenie i wszystkie inne swobodne ruchy ciała».

Nie znamy innych relacji z tej dysputy na dworze polskiego króla, ale opis rozmowy jest doniosłym dowodem na to, jak ważna była dyskusja o duszy ludzkiej wśród katolickich elit Europy. I nie chodziło tutaj o czysto teologiczne rozważania czy dogmaty wiary – koncepcja duszy obroniła ludzkość przed wieloma zbrodniczymi ideologiami, pomagała rozpoznać dobro i zło, wreszcie zarysowała ludziom wysokie aspiracje społeczne i moralne. Podajmy konkretne przykłady.

Dusze za oceanem

Kiedy Krzysztof Kolumb w 1492 roku odkrył po drugiej stronie Atlantyku zamieszkałe ziemie, Kościół natychmiast – bo już 4 maja 1493 roku – zareagował papieską bullą „Inter Caetera». Papież Aleksander VI wyrażał nadzieję, że mieszkańcy nieznanych wcześniej terytoriów, którzy „chodzą nago i nie jedzą mięsa", mogą być skłonni do przyjęcia wiary katolickiej i „wyuczenia się dobrych obyczajów". W Indianach uznano pełnoprawnych ludzi, choć ich zwyczaje tak zaskakiwały Europejczyków, a czasem były krwawe (jak u Azteków) czy pozbawione osiągnięć cywilizacyjnych (takich jak pismo nieznane plemionom koczowniczym). Jednak status rozwoju kultury, wygląd, a nawet wyznanie nie miały znaczenia – wszyscy bowiem mieli dusze, mogące przyjąć prawdę objawioną.

Choć dziś uznawanie Indian czy Murzynów za pełnoprawnych ludzi jest oczywiste, to pięć wieków temu sytuacja nie była tak prosta. Rozłam chrześcijaństwa i podbój Ameryki Północnej przez protestanckich Anglików stworzył pokusy uznania niektórych ras za gorsze i przeznaczone do niewolnictwa. Wielu protestanckich teologów, takich jak Cotton Mather (1663–1728) czy George Whitefield (1714–1770), uznawało niewolniczy los ludów Afryki za słuszny, Opatrznościowy, niekiedy jako karę za grzechy. Uznawali istnienie duszy i niebiałej ludności, lecz inaczej ją definiowali i kwestionowali w tejże duszy wolną wolę – tym też uzasadniali niewolnictwo.

Nieprzypadkowo zatem hiszpańska czy portugalska społeczność kolonizatorów szybko wymieszała się z tubylcami z Ameryki Południowej, tworząc ludność mieszaną, tzw. kreolów. Ślub hiszpańskiego szlachcica z Indianką nie był dla katolików niczym nadzwyczajnym, gdy zaś romans Indianki z plemienia Powatanów z angielskim kapitanem był tak sensacyjny i nieprawdopodobny, że do dziś powtarzany jest w tabloidowych opowieściach o Pocahontas. Nieprzypadkowo też niewolnictwo utrzymało się w południowych stanach USA, a zostało złamane dopiero siłą podczas wojny secesyjnej (1861–1865), a jeszcze w połowie XX wieku prezydent Dwight Eisenhower musiał wysyłać wojsko, by czarnoskóry chłopiec mógł skorzystać ze swojego prawa do edukacji i udać się do szkoły.

Nie dziwmy się więc zagorzałej dyskusji na temat duszy ludzkiej i wolnej woli – z tej z pozoru czysto teoretycznej dysputy wynika kluczowe rozumienie człowieczeństwa.

Dusze w nienarodzonym ciele

Kwestia duszy dotyczy także dzieci nienarodzonych. Skoro embrion żyje, należy do gatunku *homo sapiens* i rozwija w sobie świadomość, to ma duszę i jest pełnoprawnym człowiekiem. Dziś lewica chce usuwania ciąży z lekkością równą plantatorom bawełny, dla których było oczywiste, że czarnoskóry człowiek przeznaczony jest do pracy na jego polu bawełny. Tymczasem o nienarodzonych dzieciach Kościół wyraża się stanowczo w Katechizmie, na przykład z 1992 roku: „Życie ludzkie należy chronić absolutnie od chwili poczęcia. Od pierwszego

eprasa.pl ceedbe6b4d

momentu swego istnienia istota ludzka ma prawa osoby". W „Evangelium Vitae" (1995) papież Jan Paweł II stwierdził, że dziecko posiada pełną godność osoby ludzkiej, zatem i nieśmiertelną duszę. Nie wolno zatem zabijać dziecka, gdyż jest ono pełnowartościowym człowiekiem. Usprawiedliwianie aborcji tzw. prawem kobiet brzmi jak usprawiedliwianie niewolnictwa „prawem plantatorów bawełny».

To dzięki pojęciu duszy i osoby ludzkiej możemy jednoznacznie objąć ochroną i szacunkiem rodzaj ludzki, bez względu na różnice rasy, płci czy fazy rozwoju biologicznego.

Te same argumenty o istnieniu duszy odnoszą się także do osób starszych i schorowanych, co do których liberalne społeczeństwa mają pokusę eutanazji. Z katolickiej perspektywy sytuacja jest jednak zerojedynkowa – po piąte: nie zabijaj.

Dusza przebita prętem

150 lat po dyskusji Bernarda O'Connora z duchownymi z otoczenia Jana Sobieskiego w Ameryce Północnej, w stanie Vermont, miał miejsce niezwykły wypadek, który z pewnością zafascynowałby irlandzkiego medyka. Fineasz Gage, pracownik kolei, został w wyniku wypadku trafiony grubym na 3 cm prętem, który przebił jego czaszkę na wylot. O dziwo dwudziestopięciolatek przeżył (żył jeszcze 12 lat), ale zmieniła się zupełnie jego osobowość. Stał się agresywny, nie powstrzymywał swoich popędów seksualnych, zachowywał się bardziej dziko, zwierzęco, tracąc panowanie nad podstawowymi fizycznymi zachciankami. Dalszy los tego robotnika był nie do pozazdroszczenia – przez swoje napady niepohamowanej agresji i chuci nie mógł znaleźć stałej pracy, był traktowany jako obwoźne dziwowisko i obiekt badań medycznych. To właśnie ten przypadek skłonił rodzący się nurt medycyny – psychiatrię – do intensywnych badań części mózgu odpowiedzialnych za konkretne funkcje człowieka. Czy metalowy pręt przebił Fineaszowi to, co O'Connor nazwałby duszą?

Michael Gazzaniga, jeden ze współczesnych czołowych badaczy mózgu, twierdzi, że wolna wola człowieka nie jest do odnalezienia w konkretnym miejscu w czaszce. Choć wskazuje on, że różne neurony skupione w mózgu odpowiadają za różne funkcje, to sama wolna wola jest trudno uchwytnym fenomenem. „Mózg działa jako maszyna przyczynowa, ale wolna wola pojawia się na poziomie interakcji między ludźmi, a nie w mechanizmach mózgowych» – czytamy w jednej z prac Gazzanigi. To by oznaczało, że ulokowanie tego ludzkiego decydenta, wolnej woli, czy – jak kto woli – duszy, nie jest przez naukę jednoznacznie określone. A jednak koncepcja duszy nadal ma do spełnienia konkretne zadanie – zwłaszcza że bez niej ludzkość ulegnie kolejnemu dylematowi cywilizacyjnemu – sztucznej inteligencji.

Czy roboty mają duszę?

Znając myślicieli wyrosłych na tradycji oświecenia, możemy się spodziewać, że jeszcze nieraz kryterium człowieczeństwa będzie u nich lokowane w przydatności danej osoby, w jej inteligencji czy w innym pragmatycznym wymiarze. Świeckość nauki, w której odrzuciła ona prawdy duchowe, prowadzi do kolejnych kuriozalnych sytuacji. W dobie eksplozji rozwoju sztucznej inteligencji i tworzenia robotów, komputerów i maszyn „myślących", maszyny potrafią nie tylko liczyć i gromadzić wiedzę, lecz także tworzyć – wiersze, muzykę, powieści, a nawet wyrabiać sobie „opinię" na jakiś temat (eksperymentalny bot Tay w 2016 roku po rozmowie z ludźmi stał się rasistą i seksistą).

Naukowcy ruszyli zatem do debat nad prawami człowieka dla... robotów. David Chalmers twierdzi na przykład, że roboty będą miały własną świadomość i niemoralne jest ich wyłączanie (tzn. zabijanie). Luciano Floridi przypisuje robotom godność, a Kate Darling przypisuje ludziom obowiązki moralne wobec robotów (niczym wobec własnych dzieci). Inni uważają, że robot może symulować inteligencję, ale jej tak naprawdę nie ma, zatem można go wyłączyć i niszczyć bez obaw o niemoralne postępowanie. Wkrótce roboty przejmą od ludzi część obowiązków, już przecież sztuczna inteligencja prowadzi badania w medycynie, pomaga kierować ruchem ulicznym oraz opracowuje i interpretuje teksty. Co będzie, gdy roboty zajmą się jeszcze poważniejszymi i bardziej powszechnymi obowiązkami?

Tutaj znów przyjdzie z pomocą koncepcja duszy. Co prawda Kościół jeszcze nie ustosunkował się do nowego zjawiska, ale właśnie ponad 2 tysiące lat rozważań o wolnej woli człowieka, o jego świadomości i o jego nadanej przez Boga duszy oraz niezbywalnej godności przejdzie swój kolejny egzamin. Koncepcja duszy jest więc potężnym kryterium oceny istnienia – równie dobrze może posłużyć w ocenie zamorskiego ludu, niby to myślącej maszyny czy przybyszy z innej planety. Kto ma duszę, ten ma i godność i nie wolno go zabijać, a to, co jej nie ma (zwierzęta, maszyny), choćby nie wiadomo jak bardzo przypominało sympatyczne i wdzięczne stworzenie, to tym samym prawom nie podlega. Najtęższe umysły planety mogą więc naradzać się nad dylematem odłączenia wtyczki z prądu najmądrzejszemu komputerowi, a stara, sprawdzona wiara katolicka z logiczną i filozoficzną spójnością potrafi odpowiedzieć na to jednoznacznie. Niejedna nauka płynąca zatem z Pisma Świętego okazuje się ponadczasowa i wytrzymująca totalne zmiany społeczne, a koncepcja duszy jest właśnie jedną z nich. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

CZARNE ŁABĘDZIE I STARE MODLITWY. PRZEDZIWNA ŚLEPOTA EUROPY

Krzysztof Wołodźko



eprasa.pl ceedbe6b4d

To millenium było w Europie inne niż przed tysiącleciem. Dziesięć wieków temu apokaliptyczne nastroje doprowadziły do niezwykłego wrzenia, które przyniosło niepokój królestwom i herezje Kościołowi. W naszych czasach Europejczycy uwierzyli, że wyzwolili się spod mocy przyrody, historii, wiary i religii. Ale minęły zaledwie dwie, trzy dekady i skończyła się na naszych oczach wizja „wiecznego pokoju" na Starym Kontynencie i ułuda rządzącego przyrodą, historią, agnostycznego Europejczyka, który przegnał religię precz.

W 410 roku po narodzeniu Chrystusa Wizygoci pod wodzą Alaryka splądrowali Rzym. Upadające imperium nie było w stanie politycznie i militarnie poradzić sobie z wędrówką zbrojnych ludów. Wielu obywateli Imperium, wciąż niechętnych nowej wierze, twierdziło, że to kara dla Miasta, które pod wpływem chrześcijaństwa wyrzekło się kultu państwowych bogów. To w tamtym czasie powstało „Państwo Boże" św. Augustyna z Hippony. Na kartach tego dzieła znakomicie wykształcony Rzymianin, niegdysiejszy manichejczyk, tłumaczył, że jedynie Bóg jest suwerennym władcą dziejów, który dopuszcza w świecie dobro i zło. Pod koniec życia Augustyn widział chrześcijańskie ziemie Afryki ogniem i mieczem tratowane przez germański lud Wandalów.

„Świat jest teraz niby tłocznia"

Possydiusz z Kalamy, uczeń Doktora Łaski, pisał o nim po latach: „Ów mąż Boży widział całe miasta złupione, wiejskie wille zrównane z ziemią, ich właścicieli zabitych lub rozproszonych, przemienionych w uciekinierów, kościoły pozbawione biskupów i proboszczów, świątobliwe dziewice i ascetów rozpędzonych, niektórych zabitych od razu, niektórych zamordowanych na torturach, jeszcze innych ubezwłasnowolnionych, duchowo i cieleśnie, zmuszonych służyć złowrogiemu i okrutnemu wrogowi. Ucichły hymny i modlitwy wznoszone do Boga w kościołach; w wielu miejscach gmachy świątyń zostały spalone do cna; ofiary Pańskie nie mogły być celebrowane w stosownych dla nich miejscach, a sakramentów Bożych albo nie szukano, albo, jeżeli szukano, nie można było znaleźć nikogo, kto by ich udzielił. (…) Pośród całego tego zła pocieszał się, przytaczając słowa pewnego mądrego człowieka: »Nie jest wielki ten, kto sądzi, iż to wielce doniosła rzecz, że belki i kamienie się rozsypują i że ludzie, którzy muszą umierać, umierają«". W jednym ze swoich kazań Augustyn jeszcze dobitniej przedstawił ziemską kondycję: „Świat jest teraz niby tłocznia: wyciska się tu oliwę. Jeśli jesteś pianą, spływasz do kloaki. Jeśli jesteś oliwą, pozostajesz w naczyniu na oliwę. To wyciskanie jest rzeczą konieczną. Przyjrzyj się tylko pianie, i przyjrzyj się oliwie. Tak to tłoczenie zachodzi w świecie: przez klęski głodowe, wojny, biedę, drożyznę, niedolę, śmierć, grabież, chciwość; oto utrapienia biedaków i mozoły państw: i tego doświadczamy…".

Przed kilkunastoma stuleciami św. Augustyn jasno wypowiedział to, co jest nieustannie udziałem świata: klęski głodowe, wojny, bieda, drożyzna, niedola, śmierć, grabież, chciwość. Chrześcijaństwo oparło swoją doktrynę na przekonaniu, że ludzkość nie jest zdolna samej siebie wyciągnąć za włosy z bagna. Należy trudzić się nad poprawą świata, trzeba wnosić w niego boży porządek, spełniać uczynki miłosierne co do ciała i duszy, mądrze rządzić, dbać o pokój i sprawiedliwość. Lecz w świecie doczesnym nigdy nie będą dane najtrwalszy pokój i wykorzenienie wszelkiego zła. Im bliżej naszych czasów, tym częściej wśród Europejczyków pojawiał się pogląd, że ludzkość może zapanować nad historią i naturą, że prawa społeczne, ekonomiczne, polityczne zagwarantują Europie wieczny pokój i nieustanny postęp.

Profesor Stanisław Borzym pisał przed laty: „Gdy w czasach nowożytnych zaczęła stopniowo słabnąć wiara w Opatrzność, wydawało się, że ludzkość zostanie wystawiona na pełne ryzyko stanowienia o swoim losie. Jednak różne »opatrzności«, odczytywane rzekomo wprost z samego biegu dziejów, różne siły ponadludzkie przybierające postać nieuniknionych praw, zdejmowały ciężar odpowiedzialności. […] Jednakże wiara w odkrycie pewnej uniwersalnej teorii biegu dziejów również załamywała się nieuchronnie. […] Na przełomie XIX i XX wieku wiara w historię zastąpiła w znacznej mierze wiarę w religię. Od czasu, kiedy Johann Gustav Droysen [niemiecki historyk, prekursor tzw. pruskiej szkoły historycznej – przyp. K.W.] powiedział, że człowiek nie ma natury, lecz historię, próbowano odgadnąć wzniosłą tajemnicę dziejów, tak jak

ILU. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

eprasa.pl ceedbe6b4d

próbuje się odgadnąć przyszłość człowieka. Niestety, spotykały nas ciągłe rozczarowania".

Europa, czyli nadzieja na ujarzmienie historii

Ostatnie stulecia na Starym Kontynencie to nadzieja na ujarzmienie historii. I próba odsunięcia wiary, religii i Boga na margines ustrojowych zasad europejskich państw. Rozwój współczesnej nauki, której owocem jest również współczesna medycyna ze wszystkimi wspaniałymi i niepokojącymi aspektami, przyniósł kolejną mrzonkę: jak najpełniejszą władzę człowieka nad żywiołami natury. Wreszcie rozwój kapitalizmu, geopolityczny triumf marksizmu w pierwszej połowie XX wieku, klęska komunistycznego projektu kilka dekad później przyniosły pytania o reguły ekonomiczne gwarantujące nieustanny postęp. W każdej z tych spraw udzielano konkurencyjnych odpowiedzi, licytując się na lepszy wgląd w naturę dziejów i gospodarczych prawideł; filozoficzny namysł nad racjonalnością dziejów przemienił się w totalitarną propagandę, narodowosocjalistyczne i komunistyczne bestialstwo; konsumpcyjne społeczeństwa chętnie przyjęły za swoją ideę „wiecznego pokoju"; targany skandalami i wewnętrznymi rewoltami Kościół tracił na znaczeniu jako symbol represyjnej religijności i opresyjnego bóstwa.

Po 1989 roku mogło się wydawać, że Europejczycy odnieśli triumf na miarę millenium: upadek Rosji sowieckiej i regres komunistycznych Chin uznano za znak obłaskawienia historii. Choć Jugosławia wykrwawiała się w bratobójczej wojnie, szybko uznano, że Europa ma czas wojen na dobre za sobą. Triumf kapitalizmu nad marksizmem potraktowano jako pretekst dla rozpowszechnienia neoliberalnych reguł rynkowej gry – szczególnie chętnie i nie bez korzyści własnych zachodni Europejczycy przekonywali wschodnioeuropejczyków, że kapitał nie ma narodowości, a rynek ma zawsze rację. A przyroda? Choć kwestie klimatu coraz częściej zaczęły pojawiać się na agendzie, a wielki biznes chętnie zapewniał, że walczy z dziurą ozonową i troszczy się o zagrożone gatunki zwierząt, to tanie paliwa z Rosji i przemysł przenoszony do Azji uspokajały masowych konsumentów. Fabryki zamieniane w centra kultury i rozrywki – dezindustrializacja martwiła nielicznych, szczególnie tych, którym odbierała chleb od ust. Coraz mniejsza śmiertelność niemowląt, coraz dłuższe życie, żadnych masowych obaw przed pandemiami, przegnanymi precz z Europy wiele dekad wcześniej – także przyroda zdawała się być pod kontrolą.

Nic nie mogło brzmieć śmieszniej i bardziej archaicznie od zadowolonego z siebie Europejczyka na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia niż słowa starej suplikacji: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, wybaw nas, Panie! Od nagłej i niespodzianej śmierci, zachowaj nas, Panie!". O ile tysiąc lat temu millenaryzm wyrósł na apokaliptycznych strachach i nadziei, o tyle jeszcze kilkanaście lat temu był zapowiedzią ziemskiego ogrodu rozkoszy. Przegnano precz pandemie i głód sprowadzające masowo śmierć, kataklizmy naturalne stały się opowieściami z dalekich stron świata, podobnie wojny, wędrówki ludów i armii. Zamiast nich czekały nas zwykłe niedogodności obywateli i obywatelek mniej lub bardziej zamożnych krajów poszerzającej się Unii Europejskiej.

Choroby sytych narodów

Można pomstować na krótkowzroczność politycznych elit najbogatszych unijnych państw, na czele z Niemcami. Ale poczucie końca historii było powszechne długo po tym, jak Francis Fukuyama zrewidował swoje eseistyczne tezy z 1989 roku. Opublikowany kilka lat później na łamach „Foreign Affairs" artykuł „Zderzenie cywilizacji" Samuela P. Huntingtona traktowano długo jako zbyt pesymistyczny. W czasach moich studiów filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku tekst amerykańskiego politologa traktowano jako zbyt konserwatywny, nadto prawicowy. A wydaną w 2007 roku książkę Nassima Nicholasa Taleba pt. „Czarny łabędź. Jak nieprzewidywalne zdarzenia rządzą naszym życiem" długo traktowano jako nazbyt pesymistyczne ćwiczenie z wyobraźni, intelektualną prowokację, którą warto było poirytować uczestników nudnego panelu dyskusyjnego. Zbyt łatwo przeoczono, że amerykański ekonomista nie tylko przestrzega przed wojnami, klęskami żywiołowymi, kryzysami społeczno-gospodarczymi, lecz także napomina, że poznawcza arogancja sprawia, że ludzie zaczynają myśleć, iż wiedzą więcej, niż w rzeczywistości wiedzą.

Poznawczą/epistemiczną arogancję, którą kilkanaście lat temu analizował Taleb, przed wiekami nazwano hybris, czyli pychą. Dla starożytnych Greków była ona przekleństwem władców, którzy nie potrafili rozpoznać otaczających ich zagrożeń i źródeł niekorzystnego rozwoju sytuacji. Z czasem hybris stała się również chorobą filozofów, myślicieli i ekspertów, którzy uznali, że posiedli pełną wiedzę o prawach rządzących dziejami, przyrodą, ludzkimi społeczeństwami. Media naszych czasów są pełne fałszywych proroctw – w czasie nadmiaru informacji i opinii nikt nie ma już czasu wracać do nich i ich analizować. Jest także – jak wskazuje Taleb –

eprasa.pl ceedbe6b4d

chorobą ekonomistów, którzy chętnie ignorują wiedzę spoza swojej dziedziny, co sprawia, że nie są w stanie przewidzieć wielu kryzysów, rodzących się poza ich perspektywą. Wąska specjalizacja, sugeruje amerykański ekonomista, bywa atutem o wiele rzadziej, niż można by sądzić, jeśli chce się myśleć dalekosiężnie o przyszłości społeczeństw i państw.

W epoce społeczeństw masowych hybris jest chorobą sytych narodów, przekonanych, że nieustanny dobrostan jest żelaznym prawem dziejowym, przyrodzonym stanem natury. W znacznej mierze dotyczy to właśnie Europejczyków, szczególnie tych, którym udało się dołączyć do elitarnego unijnego klubu. To smutny paradoks, że wiele słusznych, koniecznych, pożytecznych rozwiązań z dziedziny polityki społecznej, gospodarczej, zdrowotnej, edukacyjnej i kulturalnej związanych jest także z niebezpiecznymi konsekwencjami, które skutkują poznawczą ślepotą i cywilizacyjnym infantylizmem. Szok, dyskomfort i niezadowolenie z nagłego końca historii, jakie Europejczykom przyniosła pandemia, neoimperialna wojna Rosji przeciw Ukrainie są tym większe, im bardziej sytość i spokój poprzednich dekad wiązały się z absurdalnym, niczym nieusprawiedliwionym poczuciem, że historia już nigdy nie okaże się naprawdę groźna dla mieszkańców Starego Kontynentu.

Utrapienia biedaków i mozoły państw

Także potężne pożary, susze docierające w głąb Europy, ekstremalne zjawiska pogodowe skutkujące coraz częściej powodziami paraliżującymi całe regiony państw każą nam zapomnieć o wizji ujarzmionej przyrody. Współczesny człowiek nie utracił rzecz jasna wpływu na naturę. Natura pokazuje coraz częściej, że potrafi oddać cios. I to tak boleśnie, że najpotężniejsza infrastruktura i najmocniejsze ludzkie narzędzia, dzieła nauki i technologii okazują się niewystarczające. A cały społeczny, gospodarczy i polityczny ład narażony jest na wstrząsy, które grożą już nie tylko niedogodnościami dla jednostek czy lokalnych społeczności, lecz także poważnymi konsekwencjami cywilizacyjnymi.

Religijna suplikacja, dla wielu „religiancka", bo przyzywająca miłosierdzia Absolutu, przed którym Europejczyk już nie chce uginać kolan, jest jednak najbardziej realistyczna w tym, co opisuje – dostrzega niezmienność zagrożeń, które czekają na ludzkość bez względu na czas, miejsce i okoliczności. W najbardziej elementarnym sensie św. Augustyn jest o wiele bardziej realistyczny niż fałszywi prorocy nieustannego postępu oświeceniowej i współczesnej Europy: wojny, klęski żywiołowe, chciwość i grabież: „oto utrapienia biedaków i mozoły państw: i tego doświadczamy". XX wiek przyniósł nadzieje, które za swoje wziął także papież Paweł VI w głośnej encyklice „Populorum progressio": „Rozwój ludów, szczególnie tych, które usiłują uwolnić się od nieszczęść głodu, nędzy, lokalnych epidemii i ciemnoty; które domagają się pełniejszego udziału w dobrach stworzonych przez cywilizację i żądają, by ich ludzkie wartości były w praktyce bardziej uznawane; które wreszcie stale kierują swą myśl ku większemu postępowi: rozwój tych właśnie ludów jest przedmiotem żywej i bacznej uwagi Kościoła katolickiego". Katolickim myślicielom wielu nurtów pozostawiam rozważania nad aktualnością tych nadziei i ich posoborowym odczytaniem przez Kościół, także na Starym Kontynencie.

Przyszłość Europy. Islam w miejsce chrześcijaństwa

Współczesny Europejczyk uznał, że wraz z opanowaniem praw historii i natury pozbył się z polis także Boga. A mówiąc ściślej – pozbył się chrześcijańskiej metafizyki i aksjologii jako czynników współkształtujących prawa polityczne, gospodarcze, kulturowe. Choć w różnych państwach Europy wygląda to nieco inaczej, generalnej zasadzie nie sposób zaprzeczyć. Gigantyczne katedry, w których spotyka się teraz pięć staruszek, faktycznie znikają we mgle – by przywołać wiersz Adama Zagajewskiego „Europa w zimie". Śmierć chrześcijaństwa i na naszym kontynencie ogłoszono zapewne mocno na wyrost. Ale trzeba spojrzeć szerzej. Europa nie pozbyła się religii, kultu religijnego, religijności jako podstawy kultury i obyczajów, wierzących ludzi i wspólnot.

Europa pozwoliła, by islam po stuleciach wrócił w jej progi. Jest to wydarzenie bez precedensu, jeśli spojrzeć z wielowiekowej perspektywy. Postkolonialne państwa spłacają swoje stare długi, ale coraz częściej słychać głosy, że zadośćuczynienie za imperialne grzechy poszło za daleko. Pojawia się pytanie, kto chce posiąść zasobny kontynent, którego znaczne obszary wciąż oferują znacznie przyjaźniejsze do życia temperatury niż olbrzymie rejony Afryki i Azji. Wraz ze swoją krzywdą i nadzieją nowe ludy przynoszą do Europy swoje obyczaje, religie, własne rozumienie polityki, wspólnoty, szczęścia, zbrodni i kary. Syty Europejczyk długo chciał w nich widzieć tylko tanią siłę roboczą, którą da się włączyć w polityczny porządek zdominowany przez własne mieszczańskie prawa, idee i złudzenia. Na naszych oczach kruszy się również to przekonanie. A mieszkańcy zachodnich miast coraz częściej na własnej skórze doświadczają tego, że wyznawcy islamu gwałtownie artykułują swoje polityczne ocze-

eprasa.pl ceedbe6b4d

kiwania, choćby względem polityki europejskich rządów wobec Bliskiego Wschodu.

Współczesny Europejczyk cieszy się gwarantowanym prawem i obyczajem agnostycyzmem, nie potrzebuje chrześcijaństwa w swoim życiu albo traktuje je jako pewien obyczaj, ale zobowiązany jest za to do cywilizacyjnego poczucia winy. Douglas Murray na kartach „Wojny z Zachodem" zauważa, że Europejczycy coraz rzadziej cieszą się „paryską Sainte Chapelle, Cappella Sansevero w Neapolu, florencką Duomo czy dziesiątkami tysięcy innych katedr, kościołów i innych zabytków". Choć wciąż zwiedzają świat jako turyści, to przeoczyli moment, w którym ich własny kontynent zaczął stawać się skansenem i muzeum, pełnym inspirowanych katolicyzmem, protestantyzmem, prawosławiem niegdyś świętych miejsc. Duchowe korzenie tego piękna stały się obce dla potomków donatorów, architektów, kamieniarzy. I w tym przypadku filozoficzne idee, akademickie dyskursy i uniwersyteckie doktryny stopniowo zmieniały się w potoczny pogląd: „W procesie globalnego poszukiwania winnych Zachód gra rolę czarnego charakteru. […] Ludzie pełni resentymentu lubują się w wytykaniu palcem grzechów Zachodu, niezapłaconych rachunków, zapomnianych lub niedostatecznie odpokutowanych bestialstw".

Agnostyczne złudzenie Europejczyków

Murray z miejsca kontratakuje: to zachodnia cywilizacja, europejska kultura dała światu ustrojowe i gospodarcze narzędzia, z pomocą których rozwinęły się zasady i praktyki wolności politycznej, wolności myśli i sumienia, wolności słowa i wypowiedzi. Nigdy nie działały w sposób doskonały, częstokroć niosły zagrożenia, szczególnie tam, gdzie kompradorskie elity albo socjopatyczni rewolucjoniści traktowali demokratyczne zasady jako pretekst do opresji, wyzysku, ludobójstwa. Zbudowały jednak świat, którego pokój i obfitość sprawiły, że stał się ziemią obiecaną w czas kolejnej wędrówki ludów. A jednak – powiada autor „Przedziwnej śmierci Europy" – „pod nieobecność innych możliwości na Zachodzie głosi się tylko jedną publiczną etykę, a mianowicie sprzeciw wobec Zachodu". Jego uwagi pod adresem Niemiec z czasów kryzysu migracyjnego pokazują dwuznaczność postawy Berlina wobec przybyszów: argumenty o potrzebie jeszcze tańszej siły roboczej mieszały się z opiniami, że kto nie chce u siebie czarnoskórych uchodźców, ten w epoce Adolfa Hitlera byłby pomagierem nazistów plądrujących żydowskie domy i sklepy. To wszystko dzieje się w czasie, gdy całe rzesze wyznawców islamu i animizmu układają sobie życie na Starym Kontynencie. Ale dziś rzadko kto już wierzy w powszechną asymilację. Takie przekonanie znika z publicznego dyskursu w mainstreamowych mediach, z reguły podatnych na lewicowo-liberalne trendy ideowe. Europejskie salony, co dobrze pokazały przychylne reakcje na brukselskie wystąpienie Donalda Tuska, coraz bardziej obawiają się kolejnego kryzysu migracyjnego.

Problem jest głębszy i nie rozwiąże go doraźna polityka migracyjna. Współczesny Europejczyk mocno zdystansował się wobec tradycji duchowej, która ukształtowała dzieje jego kontynentu, ale jest kulturowo bezradny wobec wyznawców religii, która przez stulecia chciała podporządkować sobie chrześcijańskie królestwa i nigdy nie wyzbyła się niechęci wobec krzyża. W dodatku opiniotwórcze środowiska nie chcą publicznej dyskusji o tym, jakie to może mieć konsekwencje dla przyszłości Europy. Tragikomiczne jest to, że przekonanie o prymacie niereligijnego ładu metapolitycznego, tak powszechne dziś wśród mieszkańców Starego Kontynentu, jest w gruncie rzeczy mocno kolonialne i europocentryczne. A przecież znakomita większość ludzi na świecie nie tylko jest religijna, ale w najróżniejszy sposób łączy prywatną i instytucjonalną religijność z wizją ładu społecznego i politycznego. I najpewniej przekonamy się o tej prawdzie jeszcze mocniej w kolejnych dekadach.

Złudzenie władzy nad historią i naturą; pozór triumfu świeckiego rozumu nad religijnym patosem i logosem. Na naszych oczach kruszy się iluzja, która przed dekady uchodziła za metapolityczną zasadę/oczywistość. Ostatnie lata pokazały, że za mrzonki dotyczące historii, natury i religii przyjdzie Europie zapłacić potężną cenę. Przyroda wzięła haracz za sprawą pandemii i radykalnych zjawisk klimatycznych. A to najpewniej dopiero preludium do czekających ludzkość kłopotów ze zmianami klimatycznymi i możliwymi nowymi pandemiami. Historia przypomniała Europejczykom o sobie za sprawą Rosji, a także politycznej krótkowzroczności i gospodarczej chciwości Niemiec, zainteresowanych jak najlepszymi relacjami z Kremlem. A religia? Choć chrześcijaństwo w Europie jest w kryzysie, to przecież triumfy święci dziś islam i to on może być przyszłością dzieci i wnuków tych, którym dziś przeszkadza bicie kościelnych dzwonów.

Czarne łabędzie, stare suplikacje i przestrogi Ojca Kościoła okazały się znacznie prawdziwsze niż złudzenia, którymi w ostatnich dekadach karmili nas filozofowie, politycy, eseiści, eksperci i dziennikarze. Europa ma szansę otrzeźwieć. Jeśli tylko zdąży na czas. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Małgorzata Matuszak

Czym jest... spokój

Wydaje się, że w naszych czasach powszechnego pędu, dążenia do osiągnięć, pogoni za karierą i nacisku, aby mieć więcej oraz chcieć więcej, kultywowanie spokoju jest mało możliwe. Jednak coraz więcej osób szuka „oddechu" i widzi w nim ucieczkę oraz ratunek przed chaosem współczesnego świata. Jego wartość podkreślają nawet potoczne określenia: „chcę mieć święty spokój", „daj mi spokój". Czymże jednak on jest? Rozumiemy go przede wszystkim jako stan wewnętrzny człowieka, ale możemy również określać go jako cechę zachowania czy pewne doświadczenie płynące z poczucia harmonii z otoczeniem.

Znaczenie spokoju w ludzkim życiu podkreślane było już w starożytnej Grecji, głównie w epoce hellenistycznej. Cenione było wówczas pojęcie ataraksji, oznaczające – w definicji negatywnej – brak zamętu i niepokoju, a jako pozytywne doznanie właśnie spokój oraz pewną niewzruszoność i równowagę duchową. Ataraksję, czyli spokój, przypisywano mędrcom jako cechę ich osobowości i zachowania. Człowiek mądry nie ulega bowiem naciskom rzeczywistości i własnym popędom, zachowując spokój, który świadczy o równowadze umysłu, a ta o jego sile. Tylko ludzie dysponujący siłą duchową mogą się oprzeć skrajnym emocjom, które często towarzyszą ludziom nie tylko w obliczu kryzysów życiowych, lecz także gwałtownie zmieniającego się na lepsze losu. Tak opisana ataraksja mogła przyjmować w starożytności różne znaczenia i mieć różną wartość zależnie od szkoły filozoficznej.

Niewątpliwie najbardziej rozpoznawalną szkołą filozoficzną, która umieściła spokój–ataraksję na szczycie duchowych osiągnięć, określając go jako jedną z najważniejszych wartości i przymiotów duchowych, był stoicyzm. W optyce stoików spokój utożsamiany był często ze stanem „apathei", w którym człowiek nie tyle nie odczuwał żadnych emocji, ile nie doznawał emocji skrajnych, zachowując stan spokoju wewnętrznego, w trakcie którego doświadczał szczęścia wynikającego z braku bycia nadmiernie poruszonym przez silne doznania. Spokój był dla stoików właśnie brakiem silnych namiętności, co wynikało ze świadomego ich wysiłku, aby osiągnąć niezależność wewnętrzną od silnych poruszeń afektywnych.

Pojęcie ataraksji używane było również przez epikurejczyków, oznaczając stan duchowej i cielesnej harmonii, wynikający z braku doświadczania cierpienia. W epikureizmie ataraksja jest naturalnym stanem, do którego dąży ciało; kiedy człowiek jej doświadcza, żaden ból nie staje się udziałem człowieka. Należała ona do tak zwanych przyjemności katastematycznych, które były stałym i naturalnym stanem zdrowego i niecierpiącego ciała.

W późnej szkole perypatetyckiej ataraksja była kojarzona najczęściej z innym stanem wewnętrznym – metriopatią, oznaczającym umiar w doświadczaniu namiętności. Dla arystotelesowskiej koncepcji dobrego życia umiar był stanem najbardziej pożądanym, osiągnąć zaś go można, trzymając się zasady tzw. złotego środka, a więc unikając niedoboru i nadmiaru, które zaburzają równowagę duchową. Spokojem jest właśnie stan pośredni między skrajnościami, on bowiem, nie zaś brak wpływu afektów na duszę, gwarantuje równowagę.

> SPOKOJEM JEST STAN POŚREDNI MIĘDZY SKRAJNOŚCIAMI, ON BOWIEM, NIE ZAŚ BRAK WPŁYWU AFEKTÓW NA DUSZĘ, GWARANTUJE RÓWNOWAGĘ.

Tak zdefiniowany przez starożytnych spokój zachowuje nadal swoje znaczenie wewnętrznej równowagi. Spokój osiągamy również przy braku silnych zmartwień, które mogą sprawiać, że tracimy tę wewnętrzną harmonię. Jest tożsamy ze stanem ulgi, błogości. Poczucie spokoju wynika także z braku poczucia, że stanie się coś złego, nieodczuwania lęku czy obaw. W trybie zagrożenia trudno o spokój, wtedy bowiem mobilizujemy się do ucieczki i walki, które niszczą w nas poczucie spokoju. W bezpiecznym otoczeniu spotkań i harmonii życia rodzinnego pragniemy odczuwać spokój wynikający z poczucia oparcia we wspólnocie. Okazją do doświadczania tego uczucia są święta, szczególnie Bożego Narodzenia, podczas których mamy okazję poświęcić rodzinie więcej czasu i celebrować wspólne chwile. Jest to czas, kiedy nasz spokój jest prawdziwie święty, gdyż uświęcony harmonią z Bogiem, z innymi i z samym sobą. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Ewa Polak-Pałkiewicz

„Tylko rozumiejąc zostaniecie wyzwoleni” Święty Andrzej Bobola upomina się o swoich

„Pragniemy mu okazać wdzięczność za Jego opiekę nad Polską i zapewnić ją sobie na przyszłość dla dalszego rozwoju naszego Państwa. Dlatego błagamy Cię, Ojcze Święty, by Wasza Świątobliwość raczył zaliczyć w poczet świętych Błogosławionego Andrzeja Bobolę. Ufamy, że jako Patron Kresów Wschodnich, na których poniósł śmierć męczeńską, wyprosi nam u Boga, że Polska w dalszym ciągu będzie przedmurzem chrześcijaństwa na rubieżach wschodnich” – pisał Józef Piłsudski w liście skierowanym do papieża Benedykta XV.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Jest rok 1702, rektor jezuickiego kolegium w Pińsku, ks. Marcin Godebski, zrozpaczony wobec perspektywy załamania całej swojej pracy misyjnej, szuka ratunku w modlitwie – Szwedzi coraz bliżej miasta, w okolicy mnożą się gwałty, rabunki, podpalenia, nie ma komu bronić kościoła i klasztoru. I oto nagle pojawia się przed nim nieznajomy zakonnik i zaczyna gwałtownie wyrzucać mu, że nie zwraca się do niego o pomoc. Wyjawia, że jest jego zmarłym współbratem, jego ciało spoczywa w podziemiach kościoła. Poleca je odnaleźć i zapewnić mu należny kult. Rektor jest do głębi wstrząśnięty. Nie zna nikogo o tym imieniu, rozpytuje wśród zakonników. Nikt nic nie wie. Andrzeja Bobolę i okoliczności jego śmierci przed 45 laty pamiętają jednak mieszkańcy Pińska.

Po trzech dniach trumna jest odnaleziona, można odczytać na niej słowa: „Ojciec Andrzej Bobola Towarzystwa Jezusowego, zamordowany przez Kozaków 16 maja 1657 roku w Janowie Poleskim". Gdy otworzono zbutwiałą trumnę, ujrzano ciało Męczennika, które wygląda, jakby przed chwilą zmarł. Krew jeszcze nie zakrzepła, widoczne są wszystkie ślady tortur, każda rana. Wiadomość o odnalezieniu ciała, które w wilgoci podziemi, wśród rozkładających się szczątków ludzkich, zachowało niezmieniony wygląd, obiegła Polesie lotem błyskawicy. Nową trumnę z ciałem umieszcza się w kościele. Tłumy gromadzą się przy niej, podchodząc do okienka specjalnej krypty. Modlący się otrzymują liczne łaski, pojawiają się spektakularne uzdrowienia.

Co widać za oknem

Szwedzi nie zdołali wtargnąć do Pińska, nikomu włos z głowy nie spadł. W latach 1709–1710 Kresy ogarnęła epidemia, która pochłonęła tysiące ofiar. Klasztor, Pińsk i cała okolica pozostały nietknięte zarazą.

„Niemałym echem odbiła się w dziejach kultu Boboli sprawa uwolnienia księcia Michała Serwacego Wiśniowieckiego, więzionego przez Moskali w Głuchowie. Żona księcia [Katarzyna Dolska], począwszy od września 1710 r., codziennie spędzała u trumny jezuity długie chwile na modlitwie, potem zaś w domu pracowała nad wykończeniem złocistego ornatu oraz innych tkanin, które ślubowała złożyć jako wotum w intencji oswobodzenia męża. I stała się rzecz niezwykła: 13 grudnia 1710 r., gdy księżna zaniosła ukończone paramenty do kościoła w Pińsku, książę Michał wymknął się z więzienia dzięki akcji zorganizowanej przez przyjaciół; grupa uciekinierów przekroczyła konno zamarznięty Dniepr, a w chwilę potem ciepły deszcz ruszył krę, co wstrzymało moskiewską pogoń".

Ciało świętego poddawano w tym czasie wielokrotnym badaniom, by zdać sprawę Rzymowi. W 1730 roku przy relikwiach zebrała się komisja złożona z zaprzysiężonych lekarzy i wykształconych księży. Ciało zachowało miękkość i giętkość ciała żywego człowieka; krew zakrzepła, ale się nie zepsuła. Uznano to za cud.

Beatyfikację Andrzeja Boboli przyspieszyło także wydarzenie w Wilnie w 1819 roku. Męczennik ukazał się o. Alojzemu Korzeniewskiemu, dominikaninowi, który prosił go, by „wyjednał u Boga miłosiernego litość dla biednych Polaków, żeby Polska stała się znowu królestwem, królestwem prawowiernym i Bogu podległym". Według opartej na historycznych źródłach relacji ks. Józefa Niżnika, współczesnego propagatora kultu świętego, proboszcza ze Strachociny, był późny wieczór, o. Korzeniowski modlił się przed snem przy otwartym oknie. Ogarnięty zwątpieniem zwrócił się do Andrzeja Boboli: „[...] powołując się na wcześniejszą nieznaną nam obietnicę co do odrodzenia Polski, i pytając, kiedy się wreszcie spełni. Gdy po dłuższej modlitwie zamknął okno i zamierzał się położyć, ujrzał postać, która przedstawiła mu się jako Andrzej Bobola, po czym poleciła zaskoczonemu zakonnikowi jeszcze raz otworzyć okno i wyjrzeć przez nie. Zamiast znajomego widoku wirydarza wileńskiego klasztoru, o. Korzeniewski zobaczył rozległą równinę i usłyszał wyjaśnienie, że to ziemia pińska, gdzie dostąpił chwały cierpień męczeństwa za wiarę Chrystusową. Następnie Męczennik polecił spojrzeć ponownie, by znaleźć odpowiedź na stawiane mu pytanie. Teraz obraz się zmienił: równina była pokryta walczącymi zaciekle wojskami wielu narodów. Andrzej objaśnił: »Gdy skończy się wojna, którą widzisz, wtedy królestwo Polski zostanie przywrócone przez miłosierdzie Boże, a ja zostanę w nim uznany jako główny patron«" („Czy znów uratuje Ojczyznę?" (wywiad z ks. Józefem Niżnikiem, „Niedziela", nr 20/2012).

Podczas wizji wymienione zostały wojska państw, które 100 lat później toczyły ze sobą krwawe bitwy podczas I wojny światowej.

Gdy ciało trwa nienaruszone

Ciało ludzkie nie należy do nas. Zostało stworzone i będzie wskrzeszone w dniu ostatecznym do życia wiecznego. Rzeczy stworzone ulegają zniszczeniu na ziemi, tylko Bóg może sprawić, by nie uległy rozpadowi. Wiele ciał świętych zostało zachowanych od rozpadu przez setki lat wbrew porządkowi natury.

Profanowanie ciał zmarłych, znieważanie ich pamięci – rzeczy w naszej cywilizacji nie do pomyślenia – bywają codzienną praktyką Wschodu.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl ceedbe6b4d

Od pomstowania na zmarłych nie odżegnuje się Cerkiew prawosławna, posiadając dla tego celu nawet specjalne formuły. Zwyczaj wyklinania wrogów cara i Moskwy był w cerkwiach podczas nabożeństw na porządku dziennym. Różnicy między katolickim Zachodem a schizmatyckim Wschodem nie da się sprowadzić do sloganu o „różnorodności religijnej" jako „duchowym bogactwie". To, co je różni, jest bez porównania istotniejsze od tego, co je łączy.

Prawda o zbrodni dokonanej przez Rosjan w Katyniu była przez wszystkie lata komunizmu ścigana listem gończym. Prawdziwą zbrodnią było mówienie o Katyniu! Zamykano do więzień tych, którzy wspominali o nim. Jeszcze w latach 80. zabito księdza, który zbierał pamiątki i dokumenty po pomordowanych w Katyniu Polakach. Prawda o Katyniu była tak samo zakrzykiwana (bądź pokrywana głuchym milczeniem), jak zakrzykiwane są dzisiejsze wysiłki Prawa i Sprawiedliwości, by stając na gruncie prawa, chroniąc polską rację stanu, ujawnić całą prawdę o Smoleńsku.

Gdy dziś niektórzy nazywają „wydarzeniem kulturalnym" stan wojenny w Polsce wprowadzony w 1981 roku, jest to także konsekwencja faktu, że jego ofiarom odmówiono prawa do uszanowania ich śmierci, chowano ich potajemnie, jak złoczyńców. Znęcanie się nad ciałami ludzkimi, nawet po zadaniu im śmierci, to znak przynależności do „innego świata".

Nic zatem nowego, że od pierwszych chwil dramat smoleński jest przedmiotem dezinformacji. Tak jak w przypadku Katynia „uruchomienie tej potężnej machiny kłamstwa było niezbędne do zastraszenia narodu patrzącego na śmierć swojej elity" (Antoni Macierewicz). Gdy śledztwo w sprawie Smoleńska wchodziło w kluczową fazę, zaczęły przemawiać zbezczeszczone ciała naszych rodaków. Budziło to niesłychaną panikę wśród ludzi, którzy od razu po katastrofie orzekli, że śmierć głowy państwa, generalicji, posłów, senatorów, duchowieństwa nastąpiła przypadkowo.

Prawdy nie da się zabić. By ją obronić, konieczne jest jednak pokonanie strachu. Strach się kończy, gdy pojawia się Bóg. Święty Andrzej Bobola, Męczennik za wiarę, zgładzony w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego, dowiódł tego. W obliczu żądania bandy oprawców, by zaparł się wiary, a potem brutalnego fizycznego ataku i niesłychanych tortur, nie zachwiał się. Ta sytuacja w dziejach człowieka wciąż się powtarza. Niewierność Bogu, grzech – słowo niemal wszędzie dziś wyklęte – owocuje kłamstwem, zbrodnią, a zaraz potem panicznym strachem i chęcią ukrycia się z tym wszystkim, co ukazują oczom ludzkim skutki grzechu, a zatem nieuchronnie skutkuje przeinaczeniem wszystkiego. Bóg jednak ma zawsze ostatnie słowo. Przemówił i przemawia wciąż przez zachowane przez 367 lat ciało Andrzeja Boboli. Dokonał cudu, który rzucił na kolana wszystkich, którzy mieli choć odrobinę bojaźni Bożej.

Prawda musi być zrozumiana

„Veritas liberabit vos. Tylko rozumiejąc, zostaniecie wyzwoleni. Prawda zrozumiana, miast czynić was niewolnikami ludzi i rzeczy, czyni was ich władcami. Wolność to być Panem, a nie wybierać między rozmaitymi panami" (Paul Claudel).

Kościół katolicki zawsze dawał wierzącym prawdę i uczył ją rozumieć. Zmiana pojęcia ekumenizmu, jaka nastąpiła podczas soboru, spowodowała ciąg kolejnych zmian, które doprowadziły w końcu do gruntownego przeobrażenia Kościoła. Chodziło o to, jak przypomina Romano Amerio, ceniony przez Benedykta XVI filozof i teolog, by „wszystko, co dla religii ważne, wyzuć z istoty (czy też, jeśli kto woli, doprowadzić do zmiany natury tych rzeczy)". W ramach tych zmian zrewidowano także pojęcie cudu. Kwestionuje się dziś nawet cuda dokonywane przez Jezusa, opisane w Nowym Testamencie, twierdząc, że opis ten nie wyraża faktów, lecz „wiarę wspólnoty".

Ekumenizm pojmowany w sposób tradycyjny zakłada, że „Kościół katolicki posiada pełnię Chrystusa", jak to określił Pius XI w encyklice „Mortalium animos. O popieraniu prawdziwej jedności religii" (1928). Dlatego „prawdziwa jedność Kościołów możliwa jest nie inaczej, niż przez powrót braci odłączonych na łono prawdziwego Kościoła Boga". Nowa koncepcja ekumenizmu zakłada jednak, że „wyznania chrześcijańskie, w tym również wyznanie katolickie, nie mają zwracać się ku sobie nawzajem, lecz wspólnie dążyć ku znajdującemu się jakoby poza nimi Chrystusowi, w którym jest cała pełnia".

Ta nowa koncepcja, a raczej wyraźnie zmieniona doktryna, ignoruje cały kontekst misyjny. Autorzy tej zmienionej formuły ekumenizmu powołują się na „psychologię głębi". Po co wysyłać misjonarzy do pogan i innowierców, skoro, w myśl neoekumenizmu, rzecz jest w tym, by każda religia „wydobyła ze swej głębi utajonego w niej Chrystusa". Podświadomość ma mieć rolę decydującą. Wbrew ludzkiemu rozumowi, na przekór poznaniu, poganie i innowiercy posiadają rzekomo „nieświadome pragnienie nadprzyrodzonego Chrystusa; idąc za tym pragnieniem, każdy może dojść do zbawienia" – podsumowuje Amerio, nie wahając się nazwać tej hipotezy niedorzeczną. W istocie przyjęcie jej oznacza odstąpienie od nauki Kościoła o łasce, a także o celowości ludzkiego życia.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Nigdy dotąd w nauczaniu Kościoła nie mogło być mowy, by w aktach podświadomych ulokowało się to, co w porządku moralnym decyduje o wiecznym przeznaczeniu człowieka. Nikt w Kościele nigdy nie mówił, że człowiek może osiągnąć zbawienie bez zaangażowania swojej wolnej woli.

„Św. Andrzej Bobola jest tak oryginalny w inicjowaniu kultu", podkreślają dziś jego zakonni współbracia. Należałoby jednak przypomnieć przede wszystkim, że wciąż oręduje w sprawach Polski. W sposób tajemniczy, ale i niesłychanie konsekwentny przypomina o najważniejszym: o więzi, jaka istnieje między misją polityczną państwa polskiego a obowiązkiem krzewienia katolickiej wiary".

Gdy po odzyskaniu niepodległości Episkopat Polski rozpoczął starania o kanonizację bł. Andrzeja, gdy dopiero co odzyskana wolność została w 1920 roku zagrożona przez bolszewików, do prośby Episkopatu dołączono list naczelnika państwa. Józef Piłsudski pisał: „[...] Pragniemy mu okazać wdzięczność za Jego opiekę nad Polską i zapewnić ją sobie na przyszłość dla dalszego rozwoju naszego Państwa. Dlatego błagamy Cię, Ojcze Święty, by Wasza Świątobliwość raczył zaliczyć w poczet świętych Błogosławionego Andrzeja Bobolę. Ufamy, że jako Patron Kresów Wschodnich, na których poniósł śmierć męczeńską, wyprosi nam u Boga, że Polska w dalszym ciągu będzie przedmurzem chrześcijaństwa na rubieżach wschodnich".

Wcześniej w liście do papieża Benedykta XV Marszałek napisał: „Ojcze Święty! Od początku wojny światowej, która zda się obecnie dobiegać końca, Bóg Wszechmogący widocznie błogosławił naszej bohaterskiej armii. Wbrew zamiarom naszych wrogów, Ojczyzna nasza zmartwychwstała, co według rachub ludzkich zdawało się prawie niemożliwe. Przypisujemy to dokonanie się aktu sprawiedliwości dziejowej możnemu wstawiennictwu naszych Świętych Patronów, a zwłaszcza Błogosławionemu Andrzejowi Boboli [...]".

Bolszewicy zostali pokonani w ostatnim dniu nowenny ku jego czci 15 sierpnia 1920 roku.

Ostatnim aktem Stolicy Apostolskiej dotyczącym Andrzeja Boboli jest encyklika Piusa XII z 16 maja 1957 roku, z okazji trzechsetlecia śmierci Świętego „Invicti athletae Christi", w której papież wzywał Polaków, by pozostali „przedmurzem chrześcijaństwa". Czy da się w jakikolwiek sposób połączyć treść tego wezwania z dzisiejszym pojmowaniem ekumenizmu? Z wykreśleniem z języka Kościoła słów o nieodzowności „powrotu braci odłączonych" i o „nawracaniu innowierców i pogan"? A jednak św. Andrzej Bobola wciąż nie ustaje w przypominaniu o tym, z jakiego powodu i dla jakiej sprawy oddał życie.

▶ Ktoś, kto puka, chciałby wejść…

„Nie wiedziałem, że plebania w Strachocinie jest miejscem przychodzenia z zaświatów nieznanego kapłana", wspominał ks. prałat Józef Niżnik, który rozpoczął tu pracę z początkiem lat 80. ubiegłego wieku. „Z perspektywy lat widzę, że moje zachowanie, gdy po raz pierwszy pojawiła się nocą nieznana postać, nie było właściwe. Ale strach był silniejszy niż zdrowy rozsądek".

Spotkania zaczęły się nocą z 10 na 11 września 1983 roku; trwały prawie cztery lata. Nieznajomy przychodził zawsze o tej samej godzinie, wcześniej pukając do drzwi sypialni. „Z początku pojawianie się postaci wiązałem z duszą kapłana, który potrzebuje pomocy, dlatego wiele się modliłem w jego intencji. Jednak z upływem czasu uświadomiłem sobie, iż ten, kto puka, chce wejść, a ja mam otworzyć mu drzwi. Nadeszła noc z 16 na 17 maja 1987 r. [...] Zadałem pytania: – Kim jesteś? Czego chcesz? I usłyszałem głos, który jakby mnie przenikał. Głos, którego nigdy się nie zapomina: – Jam jest św. Andrzej Bobola. Zacznijcie mnie czcić w Strachocinie" (wywiad z ks. J. Niżnikiem, „Niedziela", op. cit.).

Od tamtej nocy tajemnicza postać nigdy już się nie pojawiła. Biskup Ignacy Tokarczuk powiadomiony o wszystkim nakazał księdzu Józefowi kontakt z jezuitami w Warszawie. Okazało się, że także poprzednim proboszczom w Strachocinie ukazywał się kapłan o charakterystycznej brodzie, w czarnej sukmanie. Oni także mówili o „straszeniu". Wszystko zaczęło się, gdy w Polsce pojawiły się przywiezione z Rzymu relikwie ciała św. Andrzeja Boboli. Dziś w Strachocinie, miejscu urodzenia Męczennika, dzięki staraniom ks. Józefa Niżnika istnieje tętniące życiem sanktuarium św. Andrzeja. Jego kult w Polsce coraz silniej się rozwija.

▶ „Przeciw nieprzyjaciołom świętego rzymskiego Kościoła pokornie błagam!"

W 1917 roku w Fatimie Matka Boża mówiła o konieczności poświęcenia Rosji, w przeciwnym razie jej błędy „rozleją się na cały świat". Rosja ma się nawrócić, a wtedy nastąpi ostateczny triumf Niepokalanego Serca Maryi. Stąd prośba Matki Bożej o Nabożeństwo Pierwszych Sobót miesiąca. O modlitwę, pokutę, ofiarowanie cierpień za ludzi, którzy żyją tak, jakby Boga nie było. To wezwanie jest coraz bardziej naglące dla katolików, którzy nie pocieszają się naiwnie, że przecież Jej opieka jest „gwarantowana", czyniąc w ten sposób kult Maryjny naiwnym, sentymentalnym i czułostkowym.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Nieczęsto się wspomina, że 1 kwietnia 1656 roku, na rok przed męczeńską śmiercią Andrzeja Boboli, miały miejsce śluby Jana Kazimierza przed obrazem Matki Boskiej we Lwowie. Autorem tekstu ślubów, w których król dzielił się swoją władzą z Matką Bożą, był według wszelkich danych Andrzej Bobola. W latach 1623–1624 pełnił funkcję rektora kościoła w Nieświeżu, gdzie wspólnie z księciem Albrychtem Stanisławem Radziwiłłem h. Trąby[1] (1593–1656), jednym z najlepiej wykształconych ludzi swoich czasów, kanclerzem wielkim litewskim, podejmował rozliczne wysiłki, by doszło do uroczystego uznania Matki Bożej Królową Rzeczpospolitej, co zostało spełnione po trzydziestu latach przez Jana Kazimierza we Lwowie[2].

Na cztery lata przed swoją tragiczną śmiercią prezydent Rzeczypospolitej Lech Kaczyński przyjechał do Lwowa. 1 kwietnia 2006 roku w katedrze lwowskiej dokonał odnowienia ślubów Jana Kazimierza. Mszę świętą sprawował metropolita lwowski kard. Marian Jaworski. Nie nadano rozgłosu tym odwiedzinom, niewielu o nich wiedziało.

Polacy mają wielką cześć dla ciał zmarłych. Zwłaszcza dla ciał bliskich, ludzi zasłużonych dla Polski, bohaterów. Okoliczności śmierci i dramatyczna historia pochówku ofiar katastrofy smoleńskiej, wiele miesięcy trwające ekshumacje, poszukiwania szczątków bliskich przez rodziny przypominają także mord na św. Andrzeju Boboli oraz burzliwe losy jego ciała po męczeńskiej śmierci. Ujawniana stopniowo prawda o katastrofie smoleńskiej budzi w niektórych miejscach świata podobną trwogę, lęk, niepokój, a nawet nienawiść, jak prawda o okolicznościach śmierci Andrzeja Boboli. Prawda w tych miejscach jest zawsze nienawidzona.

„Grzech" nawracania, „zbrodnia" prawdy

Jak wyraził się o Andrzeju Boboli teolog prawosławny Michał Klinger w typowej dla epoki dialogu nowomowie: „[...] jego praca apostolska miała znamiona prozelityzmu i sprowadzała się do przeciągania prawosławnych na katolicyzm". Prozelityzm, czyli nawracanie, to dziś ciężki grzech, to niemal zbrodnia. Środowiska związane z Polskim Autokefalicznym Kościołem Prawosławnym niechętnie odniosły się do decyzji polskiego Kościoła, uznającej Andrzeja Bobolę za Patrona Polski.

Niektórzy nasi dziadkowie pamiętają jeszcze modlitwy, których uczono ich w dzieciństwie, w których dziękowali, że Bóg pozwolił im urodzić się katolikami. Trudno to dziś zrozumieć nawet niektórym katolickim duchownym. Może więc wielu katolikom, zupełnie podobnie jak prawosławnym, niełatwo jest także zrozumieć, że gdy nastąpiło zerwanie „Świętej Rusi" z Rzymem, Cerkiew zaczęła zachowywać się tak samo jak „Kościoły" zrodzone na Zachodzie w wyniku reformacji. Zanegowała prymat Piotrowy i znalazła się w końcu „pod Cezarem". Ten sam smutek, nijakość, bezsiłę

[1] Albrycht (od: Albert) Stanisław Radziwiłł blisko współpracował z rektorem kościoła w Nieświeżu, św. Andrzejem Bobolą, i stale mu pomagał. Pod jego wpływem postanowił ogłosić światu, na podstawie objawień włoskiego jezuity, o. Juliusza Mancinellego (Neapol, 1608 i 1617, Kraków, 8 maja 1610), że Matka Boża pragnie zostać Królową Polski. W roku 1635 książę Albrycht ogłosił drukiem książeczkę pt. „Dyskurs nabożny z kilku słów wzięty o wysławianiu Najświętszej Panny Bogurodzicy Mariey", w której powołuje się na osobistą znajomość z o. Mancinellim, wyjaśniając, że to jemu Maryja kazała nazywać się Królową Polski. Ten nakaz został zrealizowany, nie bez wielu trudności i przeciwieństw, w ślubach lwowskich Jana Kazimierza w 1656 roku. Diariusz łaciński (obejmujący lata 1632–1655), jaki napisał Albrycht S. Radziwiłł, uznawany jest do dziś za najcenniejszy pamiętnik polityczny XVII wieku, potwierdza głęboką wiedzę, kulturę i erudycję autora.

[2] Fragment tekstu ślubów: „Wielka Boga-Człowieka Rodzicielko i Panno Najświętsza! Ja, Jan Kazimierz, z łaski Syna Twego, Króla królów i Pana mego, i z Twego miłosierdzia król, padłszy do stóp Twoich najświętszych, Ciebie za Patronkę moją i za Królową państw moich dzisiaj obieram. I siebie, i moje królestwo polskie, księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie i czernichowskie, wojska obydwu narodów i ludy wszystkie Twej osobliwszej opiece i obronie polecam i o Twoją pomoc i miłosierdzie w tym nieszczęśliwym i przykrym królestwa mego stanie przeciw nieprzyjaciołom świętego rzymskiego Kościoła pokornie błagam. A że największymi dobrodziejstwy Twemi pobudzony pałam wraz z moim narodem nową i najszczerszą chęcią służenia Tobie, więc przyrzekam też i na przyszłość w moim i ludów moich imieniu Tobie, Najświętsza Panno, i Synowi Twojemu, Panu naszemu, Jezusowi Chrystusowi, że cześć Waszą i chwałę przenajświętszą zawsze po wszystkich krajach mego królestwa z wszelką usilnością pomnażać i utrzymywać będę. Obiecuję prócz tego i ślubuję: iż gdy za świętem Twym pośrednictwem i wielkiego Syna Twego miłosierdziem, nad nieprzyjaciółmi, a osobliwie Szwedami, Twoją i Syna Twego cześć i chwałę wszędzie po nieprzyjacielsku prześladującymi i zupełnie zniszczyć usiłującymi, zwycięstwo odniosę, u Stolicy Apostolskiej starać się będę, aby ten dzień na podziękowanie za tę łaskę Tobie i Synowi Twojemu corocznie jako uroczysty i święty na wieki obchodzono i polecę czuwać nad tym biskupom królestwa mego, aby to, co przyrzekam, od ludów moich dopełnione było".

eprasa.pl ceedbe6b4d

i zbiurokratyzowanie Kościołów państwowych spotkamy zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. W Rosji hierarchia związana przez stulecia w sposób nierozerwalny z carami, po rewolucji całkowicie podporządkowała się komunistycznej władzy. Rzesze prawosławnych – tych, które przeżyły krwawe „wyzwalania ludzkości" – miały wszelkie powody, by czuć się opuszczone i zdradzone przez biskupów. Kościół rosyjski nie stał się nigdy Kościołem misyjnym; trwał pośród samodzierżawia, a potem bolszewizmu i stalinizmu, bezsilny, w izolacji, bierności.

Traktowanie Cerkwi jako jednego z „Kościołów siostrzanych", zamiast wzywania jej wyznawców do nawrócenia, jest pokłosiem posoborowej reformy tradycyjnego wzorca katolicyzmu. Hasło: „dialogować zamiast nawracać" to zaprzeczenie tradycji misjonarskiej Kościoła. A w istocie także zaprzeczenie przykazania miłości bliźniego. Święci i męczennicy nadal jednak budzą pamięć o tym, że jednym z głównych artykułów wiary jest wiara „w jeden święty katolicki i apostolski Kościół". Katolicki, czyli powszechny.

A przecież, jak trafnie przewidywano jeszcze w czasach soboru trydenckiego, wiara w Kościół jest dla umysłu człowieka prawdziwym wyzwaniem, czymś trudniejszym niż wiara w Jezusa Chrystusa. „O wiele bardziej można błądzić i być wprowadzonym w błąd w tym względzie niż w odniesieniu do tajemnicy Wcielenia" – przestrzegał już „Katechizm rzymski dla proboszczów" z czasów Piusa V. Święty Andrzej Bobola poniósł śmierć męczeńską właśnie za tę trudną dla nas dziś szczególnie wiarę w Kościół katolicki. Kiedy pojęcie świętości Kościoła budzi w samych katolikach wątpliwości, jak nigdy w historii, śmierć ta jeszcze głębiej przemawia do naszych umysłów.

Tylko uznając całym sobą fakt swej nadprzyrodzonej istoty, Kościół jest w stanie stanąć w obronie „naturalnych zasad porządku ludzkiego" (R. Amerio). Łatwo dajemy sobie wmówić, że jednoczy nas przede wszystkim konkretne działanie, służba, pomoc potrzebującym. Jedność oparta na *praxis* okazuje się jednak fikcją bez ortodoksji. Gdyby Andrzej Bobola nie odbył wieloletnich studiów, nie osiągnął najwyższych kompetencji w dziedzinie filozofii i teologii, nie przeszedł do końca długiego szlaku poznawania Boga w Jego Kościele, nie mógłby być gorliwym misjonarzem. Pomimo wielu talentów, zalet charakteru nie byłby w stanie z taką łatwością zbijać argumentów prawosławnych duchownych w rejonach pogranicza religijnego. Potwierdza to cała historia Kościoła: znajomość pełnej doktryny katolickiej i „dobre uczynki" stanowią jedną całość. Wiara zawsze poprzedza uczynki. Gdy staje się inaczej, czynione miłosierdzie jest tylko humanistyczną filantropią. To nie chrześcijanie swoją gorliwością czynią Kościół świętym, lecz Kościół czyni swoich wyznawców świętymi. Za tę prawdę oddał życie jezuicki misjonarz piechotą wędrujący przez wioski Polesia. Prawda ta zawsze budziła i zawsze będzie budzić sprzeciw.

▶ O pewnym złudzeniu

Święty Andrzej niezmordowanie przypomina o niewzruszonej i niezmiennej prawdzie Kościoła. Jego regularne pojawianie się na ziemiach polskich to argument przeciwko modnej dziś idei, by religia stała się częścią składową świata. Gdy nawet w kazaniach słyszy się o pokoju, postępie cywilizacyjnym, przygarnianiu uchodźców, ochronie środowiska, gdy hierarchowie przestają mówić o prawdach eschatologicznych, znika perspektywa wieczna, umysł człowieka dryfuje, sumienie zamiera.

Rosjanom i komunistom wydawało się, że wystarczy zabić pewną liczbę Polaków i problem Polski oraz wiary polskich katolików po prostu zniknie. Nie zniknął. Zapomnieli, że Bóg jest Panem życia i śmierci, a także władcą katolickich państw. „W świetle wiary katolickiej istnieje jedna jedyna pewność co do przyszłych wydarzeń – że mianowicie całe stworzenie i bieg spraw poddane są Bożej Opatrzności, zaś ich celem jest chwała Boża" (R. Amerio). Byt zależny, człowiek, nigdy nie będzie niezależnym. Gdy utraci świadomość swej całkowitej zależności od Boga, zostawi po sobie tylko popioły i zgliszcza. Zgliszcza zdają się realnie rysować na horyzoncie państw ateistycznych i tych, które przyjęły fałszywą religię. Przyszedł czas, by wyznająca publicznie wiarę w Trójcę Świętą i podtrzymująca swą więź z Rzymem Rzeczpospolita, a zarazem Polska republikańska, dbająca sprawiedliwie o los wszystkich obywateli – co ślubował Jan Kazimierz (lecz ślubów, pisanych ręką późniejszego Męczennika, nie zdołał dopełnić!), odrodziła się całkowicie – po latach zniewolenia, ateistycznego terroru i liberalnego łgarstwa. ■

Źródła:

Romano Amerio, „Iota unum. Analiza zmian w Kościele katolickim w XX wieku", Komorów 2009; ks. Mirosław Paciuszkiewicz SI, „Pod patronatem Św. Andrzeja Boboli", Warszawa 1989; ks. Jan Popłatek SI, „Błogosławiony Andrzej Bobola Towarzystwa Jezusowego. Życie – męczeństwo i kult", Kraków 1936.

eprasa.pl ceedbe6b4d



Małgorzata Matuszak



MIĘDZY PIĘKNEM TRADYCJI A POKUSĄ NOWOCZESNOŚCI

Współczesność cechuje duży dynamizm i gęsta sieć zależności, w których żyje człowiek. Zmieniający się technologicznie i obyczajowo świat wymaga od ludzi nieustannej adaptacji, za którą nie wszyscy nadążają. Próbując to robić, gubią się, tracą poczucie tożsamości, nie wiedzą, kim są. Pragnąc stać się „obywatelem świata", wykorzeniają się z własnej tożsamości, z własnej tradycji. Tak jednak być nie musi. Reakcją na nowoczesne warunki życia może być powrót do korzeni, do tradycji, w której człowiek znajduje ratunek i azymut.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Można być człowiekiem nowoczesnym i tradycyjnym jednocześnie, choć wymaga to wysiłku i głębszego zrozumienia siebie. Tradycja nie krępuje i nie ciąży. Nie taka jest jej rola. Ona daje nam realne oparcie, stając się sposobem na radzenie sobie z terrorem czasu i historii.

Czym jest tradycja?

Już w samym znaczeniu słowa „tradycja" – od łac. „traditio": „wręczenie, oddanie" – zawiera się w dużej mierze to, czym ona jest: tym, co poprzednie pokolenia przekazują następnym. Jest ona zatem przekazaniem czegoś, co było ważne w przeszłości, nachodzącym czasom, przy czym odnosi się, podobnie jak sam rzeczownik „traditio", zarówno do samej czynności przekazywania, jak i obiektu tej czynności, czyli przekazu, treści tradycji. Możemy mówić o różnych tradycjach, jest ona bowiem społecznotwórcza na wielu poziomach, począwszy od rodziny i jej tradycji, poprzez tradycje sąsiedzkie, regionalne, także na wielu poziomach, do tradycji religijnych czy narodowych.

Większość kultur i ludzkiego życia opiera się na tym, co przekazały poprzednie pokolenia swoim następcom. Może tu chodzić zarówno o kapitał materialny, jak i kulturowy. Żadne pokolenie nie zaczyna wszak od zera, lecz opiera się na dorobku czasów późniejszych. W sferze przedmiotowej oznacza to darowiznę, spadek, który starsze pokolenia przekazują młodszym, w sferze kulturowej zaś spadek symboliczny i rytualny, a więc zespół osiągnięć dotyczących wiedzy, norm i zachowań, które się sprawdziły, a także wierzeń istotnych dla pokoleń wcześniejszych, istotnych na tyle, że wartych przekazania pokoleniom późniejszym.

Całość naszego świata zasadza się na tym przekazie, czy chcemy tego, czy nie, gdyż niemożliwe jest, aby teraźniejszość budowała za każdym razem świat od nowa. Osiągnięcia ludzkości były i są kodowane symboliczne w postaci kulturowych przekazów, które są powtarzane przez wieki w postaci znaczenia ról społecznych, norm oraz rytuałów, które są wiążące dla całej społeczności. Tradycja spaja społeczność, daje poczucie przynależności, wyznacza jednostkom tożsamość społeczną, narodową, a także określa to, co znaczy być człowiekiem w ogóle, tworząc normy i kodyfikując zachowania specyficznie ludzkie, którymi człowiek odróżnia się od przyrody. W zakres tradycji wchodzą bowiem również prawa i obyczaje.

Również nasza codzienność jest określona przez zakres i repertuar zachowań poprzednich pokoleń, które przejęliśmy czynnie bądź biernie na zasadzie powtarzania pewnych zachowań, których nauczyliśmy się od naszych opiekunów i wspólnoty, w której żyjemy. Także zdobycze cywilizacyjne i wynalazki są przekazywane z pokolenia na pokolenie, jako wspólne dziedzictwo ludzkości.

Autor książki „O pojęciu tradycji: studium krytyczne kultury pamięci", Paweł Grad, tak mówi o tradycji: „We wspólnotach połączonych pewną tradycją niezwykle ważnym jest to, by nie tylko żywić pewne wspólne przekonania lub inspirować się przeszłością, ale również kultywować tę tradycję i wprowadzać ją, poprzez czyny, we własne życie. Ma to służyć pewnemu dobru, które urzeczywistni się w danej wspólnocie". Niezwykle istotne w tradycji jest jej niejako „ucieleśnienie". Oczywiście ono nie jest niezmienne, tradycja wszak wraz z upływem czasu się zmienia, dostosowuje niejako do współczesności. Jej fundament jest jednak niezmienny, realizując zaś jakąś tradycję, tym samym realizujemy te wartości, którymi ona służy.

Możliwe „jak" nowoczesności

Znaczenie tradycji zmieniło się w nowoczesnym świecie, u jego podstaw bowiem stał bunt i negacja przeszłości, a wraz z nią również tradycji. Uważano, że aby mogło nadejść nowe, trzeba wyjść poza dotychczasowe ramy istniejącej już rzeczywistości.

Niewątpliwie zbudowanie nowego świata, cywilizacyjnie bardziej złożonego, w którym można zauważyć swobodny przepływ informacji i dóbr, dużą mobilność ludzi oraz zacieranie się tradycji i wykorzenienie całych wspólnot na rzecz globalnej wioski, niesie z sobą pozytywne dla człowieka skutki. Jednak widoczne są również oznaki zagubienia i problemy z tożsamością człowieka, który stracił swój punkt oparcia i odniesienia w tradycji, a wraz z nim na tym, co już było wiadome, sprawdzone, wypróbowane i powtarzane z pokolenia na pokolenia w jego wspólnocie. Nowoczesny świat często zmusza człowieka do ciągłego wystawiania się na nowe i niezbadane, również w zakresie norm zachowania, przez co gubi się on w rosnącej złożoności i różnorodności świata.

Wyrzucenie człowieka z ram tradycji skazuje go w dużym stopniu na pogłębiającą się utratę tożsamości i brak poczucia przynależności. Wraz z tym rośnie ludzka dezorientacja w świecie, który zmienia się szybciej niż zdolności adaptacyjne człowieka do tych zmian. Zwiększa się też jego poczucie izolacji, nie znajduje on już bowiem oparcia w przeszłości i dawnej mądrości wspólnoty, do której należeli jego przodkowie. Człowiek nowoczesny przekonany jest czasami o tym, że swój kapitał kulturowy musi tworzyć na nowo, w trakcie swojego jednostkowego życia, i szukać takich form

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl ceedbe6b4d

życia, dzięki którym odnajdzie się we współczesnych realiach, a niekoniecznie takich, które są zgodne z jego potrzebami i wierzeniami. Taka nowoczesność powoduje wielką samotność człowieka współczesnego, który, wyzbywając się tradycji i jej ram, postanawia zdać się na samego siebie, pozbawiając się tym samym oparcia w czymś poza nim samym. Często sam zaczyna się orientować, że owo zdanie tylko na samego siebie i równocześnie brak oparcia w samym sobie go przerasta. Może wówczas dojść do wniosku, że tradycji jednak potrzebuje, bo zdanie się na większą od niego spuściznę przeszłości pozwoli mu odnaleźć ponownie swoje miejsce w świecie, a poprzez nie także sens życia. Powrót do tradycyjnych norm, wierzeń i wartości może pomóc człowiekowi współczesnemu odnaleźć poszukiwany przezeń azymut pozwalający mu orientować się w otaczającym go świecie.

Niewątpliwie czasy nowoczesne przyniosły poprawę jakości ludzkiego życia w różnych wymiarach. Jednakże większy komfort materialny nie zawsze przekłada się na wyższy komfort mentalny. Człowiek jest bowiem również istotą o naturze duchowej. Potrzebuje żyć nie tylko w wymiarze horyzontalnym, w wymiarze świata określonego przez codzienny czas, lecz także w wymiarze wertykalnym – w doświadczeniu bycia częścią czegoś większego niż on sam. W tym drugim wymiarze potrzebuje także tradycji, która właśnie daje mu poczucie kontaktu z czymś większym niż jego własne życie, i nadaje temu życiu sens. Dlatego nowoczesność jest możliwa o tyle, o ile bierze pod uwagę te dwa wymiary ludzkiego życia – jeśli tworząc nowy świat, traktuje z szacunkiem zdobycze przeszłości i jej wpływ na ludzkie życie, wiedząc równocześnie o tym, że nasze poczucie przynależności określone jest przez wyznaczoną przez tradycję tożsamość wspólnotową i kulturową.

▶ Czas rytuału – kultywowanie tradycji

W społeczności ludzkiej od pokoleń znany był podział na sferę *sacrum* i *profanum*, które oznaczały podział w przestrzeni. Jednak również w obrębie czasu można znaleźć podział na czas wyjątkowy, inny niż codzienność, i czas święty, a więc ten, który był poświęcony. Był on poświęcony, a więc jak etymologia tego słowa mówi: darowany czemuś większemu od życia ludzkiego – pamięci ważnych w historii ludzkości wydarzeń.

Nadchodzący czas Bożego Narodzenia czerpie ze źródeł tradycji, gdyż powtarza w pamięci i przywołuje do pamięci ludzkości czas Narodzin Zbawiciela. Jest to czas głęboko osadzony w tradycji, zarówno pod względem rytuału obchodzenia tego święta, jak i dlatego, że jest kultywowaniem symbolicznej mocy kultury chrześcijańskiej. Pamiętać trzeba jednak o tym, że choć obrzęd jest formą przeżywania tradycji, to nie można się skupić jedynie na nim. Obrzędowość nie może przesłonić istoty tradycji, a niestety tak się dzieje zwłaszcza w przypadku świąt Bożego Narodzenia.

Obchodzą ten święty czas i ludzie wierzący, i niewierzący, gdyż święty czas jest wpisany w ramy tradycji ludzkiej, jest przekazany nam przez poprzednie pokolenia i wszyscy jesteśmy jej spadkobiercami. Czy tradycję chcemy świadomie kultywować, czy ją negujemy, nie przestaje nas ona bowiem dotyczyć jako ludzi. I na tym polega właściwa jej rola – jest to pewna rama, w której toczy się ludzkie życie. Tyle że tradycja świąt Bożego Narodzenia jest jednak przede wszystkim tradycją religijną. Owszem, również kulturową, ale tylko „również". Powiedzieć można, że wymiar kulturowy i religijny splatają się, tworząc nierozerwalną całość. Zwrócić trzeba w tym miejscu uwagę również na to, że skoro święta Bożego Narodzenia mają wymiar kulturowy, to związane są z naszą, polską tradycją, a ta przesiąknięta jest i połączona z religijnością. Odnajdujemy tego wyraz w wielu trudnych momentach naszej historii. To kolejny, niezwykle ważny aspekt tradycji – pozwala oswajać czas i historię, bez względu na to, co się dzieje i jak źle się dzieje. Jak przypomina prof. Marian G. Gerlich: „W okresie zaborów wyraźne kultywowanie tych tradycji służyło zamanifestowaniu swojej odrębności w stosunku do zaborców, w okresie międzywojnia to również służyło wyraźnemu określeniu tożsamości, szczególnie na Kresach Wschodnich, zaś w PRL tradycyjne świętowanie miało charakter nie tylko religijny, ale było również pewnym przejawem oporu wobec władzy".

Dzisiejsza komercjalizacja i laicyzacja świąt to niestety powszechne zjawisko, którego nie da się już pewnie zatrzymać, od nas jednak zależy, jak bardzo się im poddamy, czy przez tę coraz głębszą warstwę powierzchowności, obrzędów dla samej obrzędowości, się przekopiemy i dotkniemy samej istoty tego święta: cudu narodzin Jezusa. Człowiek nowoczesny staje się coraz bardziej racjonalny, przynajmniej pragnie za takiego uchodzić, często z miernym skutkiem, uważa tym samym tradycyjne formy religijności za nieprzystające do świata, w którym żyje. Uważa tradycję za więź, która krępuje. Jeśli jednak dostrzeże piękno tradycji, jego nowoczesność na tym tylko zyska. Nie jesteśmy znikąd. I o tym przypomina nam tradycja. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

Marek Kalinowski

Wspólnota śpiewu

Tak szczerego i porywającego gospel z pewnością od dawna nie słyszeliście! Wymyślone przez pianistę Marcela Balińskiego Współgłosy łączą chór osób niepełnosprawnych z profesjonalnym zespołem jazzowym. Dzięki ich niezwykłej wspólnocie śpiewu wszyscy możemy poczuć się znacznie silniejsi.

Założycielem Współgłosów jest pianista i kompozytor Marcel Baliński, znany jazzowej publiczności nie tylko z autorskich nagrań, lecz także koncertów Zbigniewa Namysłowskiego, Wojciecha Mazolewskiego czy Agi Zaryan. To on wpadł na pomysł, by założyć zespół, w którym muzyczne pasje mogłyby realizować osoby z niepełnosprawnościami umysłowymi. Tak właśnie powstały Współgłosy – kilkunastoosobowy chór, któremu towarzyszy profesjonalne trio jazzowe w składzie: Bartosz Szabłowski grający na perkusji, kontrabasista Rafał Różalski oraz sam Marcel Baliński.

Nagrania musiały być dla wszystkich muzyków kapitalną przygodą. Ray Charles i James Cleveland cmoknęliby z uznaniem – Współgłosy to chyba pierwszy polski zespół, któremu gospel wyszłoby z tak autentyczną, bezpośrednią radością. Autentyczność to chyba dla tej płyty najważniejsze słowo-klucz, bo w nagraniach tego zespołu nic nie jest udawane. Trudno nie dać się wciągnąć w radosną, zapętloną melodię „Ach, Ukochana, proszę nie smuć się" czy nie ulec wspólnotowej magii „Czułego czuwania". Głos czasem bywa tu przekaźnikiem bardzo szczerych uczuć, a równie często jest po prostu jednym z wielu instrumentów. Jeśli zaś artyści uciekają w improwizację, to już „na maksa"! Skok w bok od przyjętego rytmu i melodii przychodzi często i nieoczekiwanie. Być może strach podpowiadałby, aby cofnąć się, zwrócić do obranej ścieżki, a oni z wyraźną frajdą brną dalej w nieznane. W tym przecież jest sens improwizacji, by nie była wyreżyserowana, a pozwoliła dać się zaskoczyć, pozostać ciekawym i wrażliwym na każdy nowy dźwięk.



Współgłosy, Marcel Baliński, WSPÓŁGŁOSY, Fundacja Współgłosy

Od premiery albumu upłynęło kilka tygodni, tymczasem na dniach ukazała się znakomita płyta Bia Marii – młodej portugalskiej piosenkarki, pod wiele mówiącym tytułem „Qualquer Um Pode Cantar" („Śpiewać każdy może"), która sprawiła, że moje myśli znów powędrowały ku Wielogłosom. Obydwa albumy są mocno zanurzone w tradycji, a równocześnie otwarte na nieznane i przede wszystkim stawiające na pierwszym miejscu śpiew jako element wyzwalający. U Bia Marii to wręcz manifest społeczny, który z powodzeniem, myślę, można by również przypisać Współgłosom. Bo jak tłumaczy portugalska pieśniarka: „To album dla wszystkich głosów. I niech to wystarczy do śpiewania. Niech wszędzie będzie więcej śpiewu. Dzięki temu stajemy się bardziej świadomi i silniejsi".

Ustanowiliśmy sobie jakiś szczególny sens w dążeniu do doskonałości. Tymczasem Współgłosy wręcz przeciwnie, uczą słuchacza pokory i odejścia od perfekcji. Błąd, pozorny fałsz czy pomyłka tutaj są dobrze widziane, bo z tych wydawałoby się „niepasujących elementów" powstaje zupełnie nowy pomysł, rodzą się zaskakujące, ciekawe rzeczy, a my możemy być tego świadkami. Współgłosy to nauka wolności, pozwolenia sobie na luz, przełamania strachu, wyjścia ze strefy komfortu oraz czystej zabawy, bez których wszelka kreatywność pozbawiona jest jeśli nawet nie sensu, to z pewnością czegoś bardzo ważnego. Tu wszyscy możemy być razem. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl ceedbe6b4d



Wkroczenie polskich oddziałów 2. Korpusu Polskiego do Bolonii. Za kierownicą gen. Klemens Rudnicki.

Rokitniański szwoleżer ukryty na zakłamanej ziemi

eprasa.pl ceedbe6b4d

Piotr Lisiewicz



Ławrientij Beria nie krył wściekłości, gdy do jego gabinetu przyprowadzono Klemensa Rudnickiego. – Wielu mieliśmy pułkowników i generałów w więzieniach, ale wszyscy przyznali się, kim są, a tylko pan jeden poszedł na kłamstwa. Powinien pan za to zgnić w więzieniu! – krzyczał. „Byłem wprost wściekły! To on mi będzie dawał nauki!" – wspominał generał Rudnicki. – Może mnie pan z powrotem wsadzić do kryminału, jeśli tylko po to mnie pan sprowadził, aby obrażać! Czy pan ma mnie za durnia? – wypalił, patrząc w oczy szefowi NKWD. By odnaleźć Rudnickiego, NKWD torturowało w czasie śledztwa wiele osób, podczas gdy poszukiwany posługując się sfałszowanymi dokumentami, pracował na zesłaniu w cegielni w Kirowie.

FOT. NAC

Wściekłość Berii wynikała z tego, że polski generał, który powinien zginąć w Katyniu, siedział przed nim żywy, a jego podwładni z NKWD zamiast brudnych szmat, w których pracował jeszcze parę dni temu, dali mu garnitur z białą chustką w kieszeni dla ozdoby. Na śniadanie wysłali zaś do hotelu Metropol w Moskwie. Bezpośredni autor katyńskiej zbrodni poczuł się ośmieszony i urażony w swoich ambicjach. Bo siedział przed nim ktoś, kogo miejsce było w katyńskich dołach.

„Nie jestem żadnym Józefem Sigizmundowiczem Rumińskim"

Skąd ta niespodziewana poprawa losu? Zawarty został właśnie układ Sikorski–Majski, na mocy którego Polacy mieli opuścić łagry i pod dowództwem generała Władysława Andersa stworzyć w Związku Sowieckim polskie wojsko. Dyrektor cegielni w Kirowie początkowo zlekceważył prośby Rudnickiego o zwolnienie z pracy, jednak ukrywający się generał zaryzykował i napisał list do kwatery Andersa. Gdy po kilku dniach list już powinien opuścić Kirow, zgłosił się do lokalnego prokuratora wojskowego, któremu oświadczył: „Nie jestem żadnym Józefem Sigizmundowiczem Rumińskim, kupcem z Krakowa, ale pułkownikiem polskiego Sztabu Generalnego, Klemensem Rudnickim, bliskim współpracownikiem generała Andersa sprzed wojny".

Ten zrobił się czerwony. „Spostrzegłem, jak przecierać począł okulary i mienić się na twarzy. Długo czytał i widziałem, jak się męczył i ważył decyzję. Zdecydował się w końcu. Wstał i podał mi rękę. – Wy eto prawilno sdielali, gospodin pałkownik, ja prepdpołagaju czto w armiu polsku pajdiotie" – wspominał Rudnicki w książce „Na polskim szlaku", z której pochodzą cytaty w niniejszym tekście.

O tym, jak intensywnie był poszukiwany, Rudnicki dowiedział się od swojego współtowarzysza niewoli majora Dobrzańskiego. Ten opowiadał, jak zaaresztowali go we Lwowie w lecie 1940 roku i strasznie bili w śledztwie. Wmawiali w niego, że jest pułkownikiem Rudnickim i że organizuje antysowiecką akcję podziemną we Lwowie. Wybili mu zęby i połamali żebra…

Ucieczka pod fałszywą flagą Czerwonego Krzyża

Jakim cudem udało mu się zmylić czujność Rosjan? Tożsamość zmienił po ucieczce ze szpitala w podwarszawskim Błoniu. Trafił do niego jesienią 1939 roku, będąc w niemieckim obozie jenieckim, gdzie symulował chorobę. „Stamtąd posłałem chłopaka na rowerze do Warszawy, który mi przywiózł jedno ze zdeponowanych dla nas ubrań cywilnych Eustachego Sapiehy". W niedzielę 22 października zjawili się u niego wysłan-

eprasa.pl edbe6b4d

nicy zaangażowanej w podziemną działalność pani Łubieńskiej, czyli Ludwik Plater i jego siostrzenica Izabella Czarkowska-Golejewska. Jaki wymyślili sposób na ucieczkę pilnowanego przez strażników więźnia? „Przyjechali po mnie samochodem z wielką flagą Czerwonego Krzyża. Flaga robiła cuda – bez trudności ich przepuszczono. Pozostało jedynie przebrać się szybko i wyjść wraz z nimi z budynku. Bez trudności minęliśmy posterunek niemiecki przy bramie, po czym motor z fantazją zahuczał i pomknęliśmy do Warszawy. Prysła perspektywa niewoli i otwarła się droga do Francji, z powrotem pod własne sztandary" – pisał.

Dowód osobisty prosto z fabryki

Jednak z wyjazdu do Francji zrezygnował i zaangażował się w działalność podziemną. Fałszywe dokumenty wyrobił sobie już w Warszawie. Pierwsza próba uzyskania bezpiecznych dokumentów nie zakończyła się pełnym sukcesem. „Otrzymuję tymczasowe zaświadczenie, że nazywam się S. Bogusz, mieszkaniec Warszawy, którego papiery zginęły w pożarze miasta. Urzędnik, który wydaje tego rodzaju zaświadczenia, wie dobrze, że jestem kimś zupełnie innym – ma takich klientów całą kolejkę i czyni to świadomie i z własnej inicjatywy, ażeby ludzi ratować. Na trzeci jednak dzień dowiaduję się, iż został on zaaresztowany przez Niemców za swoją działalność, zaświadczenia wydawane przez niego są nieważne, a ich właściciele wyłapywani".

W międzyczasie jednak inny jego znajomy uruchomił fabrykę dowodów osobistych: „Drukuje nowe oraz zdobył gdzieś cały plik oryginalnych i można sobie u niego wybrać dobry dowód osobisty, którego rysopis zgadza się z własnym". Wybrał tę drugą opcję: „Zaopatruję się w dowód oryginalny p. Józefa Rumińskiego. Fotografia właściwego p. Rumińskiego zostaje zamieniona na moją własną, na której w sposób artystyczny domalowano ręcznie brakujące pół pieczątki okrągłej".

A Amundsena ty znajesz?

Miał być dowódcą polskiego podziemia we Lwowie, ale został schwytany na granicy niemiecko-sowieckiej, a to za sprawą… psa bez ogona. Gdy wyczerpany szedł od granicy w Jarosławiu, przeżył dziwną sytuację: „Widzę z lewej strony dużego psa – legawy – bez ogona, biegnie przy saniach, a potem słyszę nagle ostry okrzyk »nazad«, jakby ktoś psa odwoływał… Widocznie przewidziało mi się – nerwy… Raptem strzał i kula »pac«, wycięła śnieg koło mnie. Podniosłem ostrożnie głowę i naturalnie – na naszym śladzie, jakie trzydzieści kroków od nas, jeden klęczy i mierzy, a drugi z karabinem pod pachą idzie ku nam powoli… Stało się – pies bez ogona".

W więzieniach przygotował dokładnie przemyślany, szczegółowy przebieg swojego życia. Enkawudziści pytali bowiem w czasie przesłuchań o wujów i ciotki więźnia oraz ich dokładne adresy. Po dłuższym czasie wracali do tego samego pytania i biada temu, który nie potrafił identycznie odpowiedzieć na to samo pytanie.

Adresy podawał precyzyjnie, ale dotyczyły osób, o których wiedział, że ich pod sowieckim panowaniem już nie było. „Ciotka Mrozowicka umarła, gdy byłem w grudniu we Lwowie. Walerego Krzeczunowicza widziałem już całą rodziną w Krakowie, będą mogli więc jedynie sprawdzić, że mieszkał taki na Dąbrowskiego 7" – pisał.

Enkawudziści szukali, ale żadnego z krewnych żywego nie znaleźli. – A Amundsena ty znajesz? A biełogo niedwiedia widał? Kak nie, to uwidisz… – strofowali. A ten niemal… rozpłakał się na wieść o śmierci i zaginięciu bliskich. „Tak u mienia bolszaja tragedia… Straciłem rodzinę… Eto tak po Konstytucji?" – z wyrzutem pytał śledczych. W efekcie wyrok dla kupca bławatnego z Krakowa był jak na sowiecką władzę łagodny. Pięć lat zsyłki w Kirowie, i to na wolności.

W domu Rudnickich straszy

Klemens Rudnicki urodził się 28 marca 1897 roku w Żydaczowie. Pochodził z rodziny senatorskiej Rudnickich pieczętującej się herbem Lis. Był synem Zygmunta, starosty trembowelskiego, i Stefanii Marynowskiej herbu Niezgoda oraz wnukiem pisarki Zofii z Mrozowickich Rudnickiej.

Siostra Klemensa Regina Rudnicka we wspomnieniach zatytułowanych „Obrazki rodzinne" tak wspominała ich dzieciństwo: „Rodzice najczęściej przemawiali do siebie: »koteczko«, »koteczku«, co nas, dzieci, mocno bawiło… Wewnątrz domu wszystko było z drzewa, pachniało sosną i terpentyną. Meble stylowe, ciężkie kilimy, kotary. W każdym pokoju jakaś tradycja: tu mieszkał ten, tu tamten. W niektórych pokojach straszy".

O spotkaniu z duchem opowiadał ojciec, którego dziadek wysłał do jednego z pokojów po strzelbę: „Zygmuś wrócił wreszcie blady, trzęsący i zapłakany. Długo nie chciał mówić, wreszcie się przyznał. Wszedł do pokoju ze strzelbami, zobaczył pana w zielonym ubraniu, nawet w kapelusiku z piórkiem" – pisała Rudnicka. Strzelba była w domu czymś zwyczajnym: „Strzelby, psy, polowania były inną pasją. W epoce dzikich kaczek cyranek itp. pokój chłopców zamieniał się na fabrykę naboi, wszędzie gilz, śrut, naboje".

Kończenie obiadu z psami

Dzieci od małego uczono nienagannych manier. Jak wspomina autorka „Obrazków rodzinnych", gdy przy

eprasa.pl ceedbe6b4d

jedzeniu „z pośpiechu okazało się, że paznokcie są czarne, delikwent musiał opuszczać stół i iść kończyć obiad gdzieś »z psami«, ale nie było to nieszczęście! Kucharka i chłopak czuwali nad karanymi i oni dostawali najlepsze kąski dla siebie i dla psów. Jak ojciec się zorientował, zaprzestał odsyłać karanych".

O dziadku mówiono, że był zdecydowanym demokratą, a nawet „chłopomanem". Gdy pod zaborem austriackim przyszło do rejestrowania tytułów szlacheckich w księdze stanu, pan Teodor tego nie uczynił, bo „zaniedbał z przekonania".

Klemens jako nastolatek działał w młodzieżowej organizacji „Zarzewie" i w Drużynach Strzeleckich. Od sierpnia do września 1914 roku służył w Legionie Wschodnim, potem, jako podporucznik rezerwy, został wcielony do armii austriackiej. Był ciężko ranny na włoskim froncie nad Isonzo.

Rokitniańskie szwoleżery

Jako 17-latek wstąpił do legionów Piłsudskiego. „Klemens, gdy Polska powstała, był w szpitalu w Krakowie, ciągle jeszcze ma skutek ciężkiej rany na froncie włoskim w lipcu 1917 r. Nie bacząc na swój stan zdrowia, jeszcze bardzo nieszczególny, Klimek wstępuje do 2. Pułku Ułanów, później przemianowanego na 3. Pułk Szwolerów Rokitniańskich" – pisała siostra. Tych, o których będą śpiewać w żurawiejce: „Kradną kury, kradną sery, Rokitniańskie szwoleżery". Listy do rodziny pisze stylem sienkiewiczowskim, jest tam o Budionnym jako nowym Chmielnickim. Po raz kolejny ranny jest pod Kropiwną nad Słuczem. „Życie zawdzięczał swej klaczy, która nie dała się porwać szarży innych koni, ale stanęła w bezruchu koło rannego, co zwróciło uwagę i ściągnęło pomoc" – wspominała siostra. W bardzo młodym wieku dostał Krzyż Walecznych i Virtuti Militari.

W II Rzeczypospolitej awansował i nabierał wojskowej wiedzy, która uczyniła z niego jednego z lepiej wykształconych oficerów. Służył w Korpusie Ochrony Pogranicza na stanowisku dowódcy 7. szwadronu kawalerii. Studiował w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie, zostając oficerem dyplomowanym. Od kwietnia 1933 roku był zastępcą dowódcy 7. pułku strzelców konnych wielkopolskich. Jako podpułkownik wrócił do Wyższej Szkoły Wojennej na stanowisko kierownika katedry taktyki ogólnej. W 1938 roku został dowódcą 9. pułku Ułanów Małopolskich, stacjonującego w garnizonie Trembowla.

Ożenił się z Wandą Marią Szazighino. „Z Klemensem jesteśmy wyścigowym małżeństwem. Poznaliśmy się na torze i tam spotykaliśmy się często na wiosennych wyścigach lwowskich" – wspominała żona. Jego córka Lena, później zakonnica – siostra Krystyna od Pani Jazłowieckiej – tak wspominała ojca: „Czytał cudownie. Wychowany na Trzech Wieszczach, a zwłaszcza na Sienkiewiczu, pragnął nam przekazać jak najwcześniej tak piękno tego języka, jak i wartości moralne (np. odwagę Stasia i jego rycerskość wobec Nel w »Pustyni i w puszczy«), ale przede wszystkim patriotyzm Trylogii sienkiewiczowskiej".

Ostatni bastion ducha rycerskiego

Największa wojenna awantura czekała go jednak jako 42-letniego już oficera. To ją opisze w książce „Na polskim szlaku". Jak pisał, był szlak typowy dla wielu polskich pokoleń: „Były na nim i otwarte walki na własnej ziemi, były i konspiracje tajemne, był i Sybir z całym należnym dodatkiem tiurm i nowoczesnych kibitek. Potem były dziwne kraje u stóp Pamiru, gdzie żywo bije legenda Lechistanu. Potem Persja, Bagdad »Z tysiąca i jednej nocy«, Palestyna z ziemią świętą, piramidy faraonów, wreszcie kampania włoska ze, zdawało się ciepłymi jeszcze, śladami Legionów Dąbrowskiego, a wreszcie Niemcy".

Pani Jazłowiecka pojawiać się będzie w tej opowieści co rusz, jako ta, której zawdzięczał długie życie. I od niej zaczyna się też szlak. Pisał o tym: „Ułani 9. Pułku Małopolskiego wpadli na pomysł, manewrując pod Buczaczem, zapukać do furty klasztornej ss. Niepokolanek w Jazłowcu i prosić o pozwolenie złożenia votum pani Jazłowieckiej". O tamtejszych siostrach pisał: „Kapłanki ducha rycerskiego i dlatego właśnie z uporem osiadłe na szlaku tatarskim, którym od niepamiętnych czasów chadzała nawała wschodnia na Rzeczpospolitą… Sprowadziły ze świata dalekiego białą statuę Matki Boskiej, nazwały ją Cudowną Panią z Jazłowca i siadły wokół niej na szlaku, po rycersku. Ostatni bastion ducha rycerskiego".

Szlak nie był łatwy, a Rudnicki znalazł się w składzie Armii Poznań generała Kutrzeby. Są wspomnienia budzące nadzieję: „Jesteśmy na tyłach przeciwnika. Coraz to wpadają nam w ręce drobne oddziały niemieckie, które niszczymy. Przechwytujemy samochody niemieckie, oficerów sztabu, rozjeżdżamy jakieś ośrodki zaopatrywana, gdzie nasi ułani »zaopatrują się« w cygara, konserwy, chleb itp.".

Ale pewnej nocy pojawia się meldunek rotmistrza Kowalskiego. Moskwa podaje, że dzisiaj rano wojska sowieckie wkroczyły do Polski, zajęły Tarnopol i Trembowlę. „Drży cały. Staram się go zrozumieć, chodzi mu o śliczną i młodą żonę, która przecież została w Trembowli, tak jak i wszystkie nasze rodziny. Teraz dopiero przytomnieję. Gdzieś znowu migają mi buzie moich trzech córeczek i jakieś widziadła straszne, męczące… wreszcie zrywam się na równe nogi" – pisał.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Ulica kpi z okupantów

Ginie wielu kolegów, przebija się do Warszawy, która właśnie… kapituluje. „Bez słowa przywiesiłem Antkowi jego Virtuti i uściskałem go serdecznie. »Ku chwale Ojczyzny« – odpowiedział z powagą po wszystkim. Nie powiedziałem mu nic o toczących się rozmowach kapitulacyjnych – nie mogłem…" – głos więźnie mu w gardle. Udaje się mu ocalić sztandar pułku, który staruszek proboszcz z kościoła św. Antoniego złożył w pokrowcu za wysokim marmurowym gzymsem od drzwi zakrystii. – Tam będzie leżał bezpiecznie aż do lepszych czasów – powiedział.

Opisuje miasta pod okupacją: Warszawa od pierwszej chwili nienawidzi okupantów, a ulica kpi z nich. Potem jest pociąg do Krakowa: „W przedziałach siedzą Niemcy. Chcę chociaż moją walizkę umieścić na półce w przedziale – odpowiedź z przedziału pada jednak »weg damit«. Krew się burzy i pięści się zaciskają, rozsądek jednak mówi: cierpliwości". Później przychodzi kolej na Lwów, po sowieckiej stronie: „Jest wprost nie do wiary, jak można wygląd miasta w ciągu półtora miesiąca zupełnie zmienić. To już nie pogodny, piękny, zachodni Lwów, ale coś, przeciwko czemu wszystko w człowieku się burzy. Niby ten sam, zniszczeń wojennych żadnych, a jednak inny – Azja".

Zamiast wyjechać do polskiego wojska do Francji, zawiązuje wojskową organizację w Krakowie, skąd po uwięzieniu zwiedza kryminał za kryminałem. Barwne opisy dotyczą „armii Spatylaka", złodziei rządzących więzieniem w Przemyślu. Rudnickiemu udaje się wkraść w łaski bandy. Tak opisuje dyskusję z jego żołnierzem, złodziejem Malczykiem.

– A czy ma pan prokuratorów i sędziów za uczciwych ludzi?

– Oczywiści, że uczciwych – chyba że któryś da się zbajerować w śledztwie, bo jeszcze niedoświadczony.

– No a czy wy, złodzieje zawodowi, jesteście uczciwymi ludźmi?

– Naturalnie, że tak.

– Panie Malczyk, a czy ma pan syna?

– Mam, 6 lat mu będzie.

– A czy będzie go pan uczył na złodzieja?

– Nigdy. Będę go walił pasem, żeby mu nawet taka myśl nie przyszła do głowy, on zresztą pójdzie do szkół. Ja, panie, nigdy w szkole nie byłem.

Potem było więzienie w Dniepropietrowsku, gdzie czekało go półtora roku śledztwa. Starostą celi był obywatel sowiecki Mojsze Mosiejewicz Niżegorodzkij. Buchalter, który siedział za pomyłki w księgach rachunkowych. Tłumaczył, że aż do urodzenia Marksa i Engelsa na świece panowała ciemność, zacofanie i brak kultury. Straszny wyzysk panów gniótł człowieka, a „Polska to prostytutka".

Wzruszający jest opis Bożego Narodzenia z 1940 roku, gdzie w urządzeniu Wigilii pomaga mu Gilowski, domorosły artysta z Jaremcza: „Znaleźliśmy kawałek twardego drzewa, pocięliśmy na drobne kawałeczki szkłem… porobiliśmy małe medaliki, na których Gilowski wyciął gwoździem sylwetkę Częstochowskiej… Zgrupowaliśmy się wszyscy w jednym kącie celi, zjedliśmy wspólnie naszą codzienną zupę i kaszę i łamaliśmy się suszoną kromką chleba, zastępującą opłatek. Jako najstarszy miałem przemowę, a potem kolędowaliśmy". Inne wyznania uszanowały polską tradycję, dołączając się do naszych kolęd: „Śpiewali więc i Ukraińcy i Rosjanie, a nawet Żydzi".

Po wspomnianym uwolnieniu Rudnicki składa Andersowi obszerny pisemny raport z działalności w konspiracji i w więzieniu. Wraz z Andersem wydostaje się do Persji. Jeszcze w sowietach 6. Dywizja Piechoty chce przyjąć nazwę Dywizja Lwów, co wywołało ostry sprzeciw Rosjan. Polacy postanowili ich przechytrzyć. Generał Tokarzewski wystąpił o nadanie jej nazwy dywizji… lwów, czyli drapieżników z grzywą. Ta polska fantazja wywołała wesołość wśród żołnierzy. „Pismo to wywołało burzę entuzjazmu wśród żołnierzy, umocniło ich przekonania podniosło »morale« oddziałów" – pisze.

Monte Cassino

To, co Rudnicki pisze o Rosji w chwili, gdy udało mu się z niej wydostać, należy do najmocniejszych jej opisów w polskiej literaturze: „Gdyby zaś mnie ktoś wówczas zapytał, jakie wrażenie o tej ziemi wryło mi się najsilniej w świadomość, odpowiedziałbym: nieludzkie kłamstwo, perfidne kłamstwo, które z kraju wygnało prawdę, zamieniło się w system, odebrało człowiekowi godność i sponiewierało go i zbrukało. Kłamali i kłamało wszyscy i wszystko od chwili, gdy wstąpiłem w krąg tego systemu, owej nocy niedzielnej pod Jarosławiem, aż do chwili, gdy skłamał Berlin przy pożegnaniu, wiedząc iż obejmie teraz resztki naszego posiadania, piętrzące się w balach na przystani, i pocznie na kłamstwie budować sowiecko-polską armię pod wezwaniem Kościuszki. Z jakąż rozkoszą patrzyliśmy teraz na te znikające brzegi zakłamanej ziemi, płynąc z powrotem ku wolnemu światu, do którego należeliśmy całą duszą".

Awansowany na generała Rudnicki odegra ogromną rolę na włoskiej części polskiego szlaku. „Miałem zaszczyt dowodzić w bitwie o Monte Cassino głównym natarciem na wzgórza »Widmo« i St. Angelo. Potem, gdy generał Sulik, ranny na froncie w wypadku samochodowym, odszedł na pewien czas do szpitala, prowadziłem w jego zastępstwie

eprasa.pl ceedbe6b4d

dywizję w bitwie o Anconę i w jej marszu ku linii Gotów. Wreszcie w bitwie o Bolonię dowodziłem tzw. Grupą RUD" – pisze.

Natychmiast po bitwie bolońskiej, z końcem kwietnia 1945 roku, odleciał samolotem do Niemiec, aby objąć dowództwo nad 1. Dywizją Pancerną w miejsce generała Maczka, mianowanego dowódcą 1. Polskiego Korpusu. Tam jest wreszcie zemsta za wrzesień 1939 roku: „Byłem świadkiem zajęcia przez dywizję portu Wilhelmshafen, dumy wojennej marynarki niemieckiej. Tam przyjęliśmy kapitulację niemiecką i tam witaliśmy w mieście udekorowanym przez Niemców – na nasz rozkaz – tysiącami polskich flag, generała Andersa p.o. Naczelnego Wodza. Tam mieliśmy nasz rewanż za wrzesień 1939 i Warszawę zburzoną".

Powstaje „Maczków", część Niemiec okupowana przez Polaków: „W Niemczech staliśmy dwa lata na tzw. okupacji, rządząc – zdaje się po raz pierwszy w historii polskiej – prowincjami niemieckimi: Fryzją i księstwem Oldenburgiem… Sławny Maczków z ulicami o nazwach lwowskich promieniował przez dwa lata na całe Niemcy polską kulturą, szkolnictwem, opieką nad młodzieżą i stał się »tabu« dla wszelkich zakusów".

Do Polski wejść już nie mogli…

Rudnicki opisuje swoją rozmowę z marszałkiem Montgomerym, dowódcą Armii Renu, na kilka dni przed cofnięciem uznania naszemu rządowi:

„– Pan zapewne wie, iż rząd JKM zamierza w najbliższych dniach cofnąć uznanie Rządowi Polskiemu w Londynie i uznać tymczasowy rząd w Warszawie. Chcę wiedzieć, jakie nastroje panują wśród żołnierzy pańskiej dywizji i jak dywizja na taki krok zareaguje?

– Będę szczery w odpowiedzi. Trzy uczucia nurtują obecnie żołnierzy dywizji. Pierwsze to uczucie niesłychanej krzywdy. Żołnierz dywizji uważa, że nie po to walczył z Niemcami pod Chambois i Falaise pod pańskim dowództwem tak ofiarnie i nie po to ponosił trudy i straty, ażeby zobaczyć teraz Polskę oddaną Stalinowi… czuje się zdradzonym…

– Jeszcze będą wolne wybory – przerwał Marszałek.

– Miejmy nadzieję, choć nie wydaje mi się, ażeby należało się łudzić ich wynikiem – odrzekłem.

– Rozumiem. Jakie drugie uczucie?– z gestu jednak, jaki Marszałek przy tym zrobił, wywnioskowałem, iż i on raczej podziela moje wątpliwości.

– Może to wydawać się dziwne w tej sytuacji (it might look funny) – ciągnąłem – ale żołnierz dywizji pomimo wszystko nie utracił wiary w Zachód.

– Dlaczego – zainteresował się Marszałek. – Ponieważ jednak widzi w Zachodzie swego sprzymierzeńca… może w przyszłości.

Na to Marszałek już nie zareagował, a ograniczył się jedynie do zanotowania odpowiedzi.

– Trzecie uczucie – kontynuowałem – o uczucie braterstwa broni z żołnierzami brytyjskimi, z którymi go tak ścisłe łączyły przeżycia bojowe ostatniej kampanii".

Po cofnięciu uznania rządu Rudnicki wydał rozkaz do żołnierzy: „Do Polski powrócimy, ale tylko z bronią w ręku, do Polski jaką wymarzyliśmy sobie przez 5 lat nieprzerwanej walki, do Polski wolnej i prawdziwie niepodległej". Zapowiada: „Wrócimy, by otrzeć łzy naszych kobiet i dzieci i by spowodować, aby prawo, a nie przemoc obca Polsce rządziła. Nie wyrzekniemy się nigdy walki o wolność Polski i wszystkich pozbawionych wolności narodów, w imię tradycyjnego hasła »Za Naszą i Waszą Wolność«".

Odszedł do swojej hetmanki

W Niemczech dochodzi też do wesołego wydarzenia, czyli wyzwolenia obozu pełnego polskich dziewczyn w Oberlangen: „Prawdziwym uśmiechem polskiego losu było uwolnienie właśnie przez dywizję przeszło tysiąca kobiet – żołnierzy Armii Krajowej w obozie Oberlangen z Powstania Warszawskiego. Było to wydarzenie radosne, ale, jak się potem okazało, wielu żołnierzy dywizji poszło w ich niewolę". Także Rudnickim, po śmierci żony, opiekuje się jedna z nich.

Dożył Polski, do której mógł pojechać. „W listopadzie 1991 towarzyszyłam ojcu w jego przyjeździe do Polski. Został oficjalnie zaproszony do kraju, miał dokonać uroczystego otwarcia Sali Poselskiej na Zamku w Warszawie. Jednak dla ojca nie był to główny cel przyjazdu. Było nim złożenie swego Krzyża Virtuti Militari jako votum dziękczynnego u stóp Pani Jazłowieckiej w Szymanowie" – wspominała córka.

Na dwa dni przed śmiercią odwiedził go jeszcze starszy od niego ksiądz Wróbel, wyspowiadał go i udzielił mu komunii świętej. „Później już nic nie mówił, siedziałam przy nim i zasnął, po prostu zasnął. U wezgłowia stała figurka Pani Jazłowieckiej… Odszedł na wieczystą wartę do swojej Hetmanki" – mówiła córka.

Zgodnie z jego życzeniem pierwsza część jego prochów została złożona w grobie Mamy w Northwood, a druga na Monte Cassino. Ale weterani z Pułku Ułanów Krechowieckich wybłagali u rodziny, by trzecia urna pochowana została w Krakowie, skąd jako 17-latek wyruszał z Pierwszą Kadrową. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

Dariusz Jarosiński



Karol Zbyszewski jako historyk interesował się szczególnie XVIII wiekiem, chciał zrozumieć tamte elity, które doprowadziły do upadku potężnego państwa polskiego w środku Europy. Po uzyskaniu magisterium z historii zapisał się na seminarium doktoranckie. W 1938 roku przedstawił rozprawę doktorską będącą zbeletryzowaną biografią pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu", jednakże z uwagi na nienaukowy styl praca została odrzucona przez radę naukową Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Niezrażony Zbyszewski skwitował zaistniałą sytuację z ironią: „Nie będę figurował w książce telefonicznej jako »dr Zbyszewski« i fryzjer z przeciwka nie będzie mi mówił: »szanowanie panu doktorowi!«". Na początku 1939 roku pracę chętnie wydało Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Książka… okazała się bestsellerem.

Karol Zbyszewski od przodu

eprasa.pl ceedbe6b4d



FOT. ŁUKASZ GĄGULSKI/PAP

Takie biografie jak Karola Zbyszewskiego czy jego brata Wacława uświadamiają nam, jak gorzki był XX wiek. Bracia pochodzili z zamożnej rodziny ziemiańskiej, od kilku wieków osiadłej na Kresach Wschodnich I Rzeczypospolitej, na Humańszczyźnie, dzisiejszej Ukrainie. Ich przodkowie brali udział w XIX-wiecznych zrywach narodowych. Wacław urodził się w 1903 roku, a rok później przyszedł na świat Karol. Początkowo ich kształceniem zajmowali się w domu guwernerzy. Chłopcy różnili się temperamentem. Karol, w przeciwieństwie do pilnego Wacia, ślęczącego nad książkami, wolał spędzać czas na zabawach niż na nauce. Po latach przyznawał: „Jeździłem dobrze konno, powoziłem czwórką w licu, łapałem sprytnie ryby, nosiłem żółwie w kapeluszu, ale na stroniczce rosyjskiej »diktowki« waliłem pięćdziesiąt byków i nie umiałem tabliczki mnożenia".

Cymbały, synowie Karola Wielkiego

W 1915 roku państwo Zbyszewscy, m.in. z uwagi na dorastających synów i konieczność zapewnienia im dobrej edukacji, zamieszkali w Kijowie. Wybuch rewolucji bolszewickiej i wojny domowej zamienił dostatnie i spokojne dotychczas życie rodziny w koszmar. Kilkunastoletni bracia stali się mimowolnymi świadkami potwornych zbrodni dokonywanych przez czerwonoarmistów i zrewolucjonizowaną dzicz, nic dziwnego, że przez całe życie byli wyrazicielami radykalnego antykomunizmu.

W styczniu 1920 roku szesnastoletni Karol, za przyzwoleniem matki, przedostał się pieszo do Warszawy. Po zawarciu przez Polskę pokoju z bolszewikami w Rydze w 1921 roku, dalekie Kresy Wschodnie przypadły Rosji sowieckiej. Zbyszewscy utracili swój majątek i zamieszkali w Warszawie. Tutaj Karol uczył się w Gimnazjum Męskim Kazimierza Kulwiecia. W 1924 roku podjął studia historyczne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Kolegą ze studiów Karola był późniejszy znakomity historyk, prof. Janusz Pajewski, który tak go wspominał: „Zbyszewski miał dar ujmowania wszystkiego jako groteski, w referacie poświęconym bodaj Karolowi Wielkiemu wygłosił między innymi takie zdanie: »synowie Karola Wielkiego, drągale, cymbały, uczyć się nie chcieli, kije im dawano…«.W dyskusji po wystąpieniu Zbyszewskiego głos zabrał żelazny dyskutant Andrzej Zand i zaprotestował przeciwko nazywaniu synów Karola Wielkiego cymbałami. »Nie tylko dlatego, że to urąga godności referatu naukowego – tłumaczył – ale i dlatego, że wyraz cymbał użyty w stosunku do synów Karola Wielkiego jest rażącym anachronizmem«" (Janusz Pajewski, „Przeszłość z bliska. Wspomnienia", PIW, Warszawa 1983).

Pobrano na reedbe6b4d

Styl to człowiek

W 1928 roku Karol podjął pracę w wileńskim konserwatywnym dzienniku kresowych „żubrów" „Słowo", którego redaktorem naczelnym był Stanisław Cat-Mackiewicz, a sekretarzem redakcji Józef Mackiewicz. W redakcji „Słowa" przechodził swój dziennikarski chrzest.

U schyłku życia Karol Zbyszewski wspominał czas spędzony w redakcji gazety: „Przez rok pracowałem w »Słowie«, w Wilnie. Wesoło było w redakcji. Wszyscy młodzi. Kawały, głupstwa, zabawy. Józef był motorem. Naczelny, czyli Stanisław Cat-Mackiewicz, zapraszał czasem nas wszystkich, czyli zespół redakcji, do George'a na obiad. Kołduny, zrazy, deser. Stalował wino. I zaraz po deserze wybiegał. Wtedy Józio obejmował komendę. Zamawiał góry blinów, jeziora wódki. Naturalnie w dołączeniu do rachunku na koszt »Słowa«.

Zima 1928 była piekielna. Dzień w dzień 30 stopni mrozu. Siedzimy w redakcji, przy piecu, gramy w szachy, w karty. Nagle wpada Cat-Mackiewicz, który akurat przyjechał z Paryża. Podnosi gwałt:

– Taka zima! A w »Słowie« nic o niej nie ma. To skandal! Jutro ma być o zimie pół strony!

Józio się zakrzątał, rozdał zadania. Ja łamałem nocami numer do trzeciej rano, więc z reporterki byłem zwolniony. Ale wobec alarmu dałem do tej zimowej strony wkład w postaci wiadomości: »Na kupców jadących saniami z Wilna do Mejszagoły podczas zadymki śnieżnej napadło stado wygłodzonych wilków«. No i szlagier. Cała prasa w Polsce przedrukowała tę dramatyczną depeszę. Dzwoniono prosząc o szczegóły. Rozradowany Józio wołał na całą redakcję: – Karol, do telefonu. IKAC [„Ilustrowany Kurier Codzienny" – przyp. D.J.] dzwoni z Krakowa; pyta, ilu kupców wilki pożarły i czy jakieś wilki zabito?".

Stanisław Cat-Mackiewicz w przedmowie do książki Zbyszewskiego „Niemcewicz od przodu i tyłu" nie ukrywał, że niesforny Karol stwarzał w redakcji spore problemy: „Pan Karol miał redagować dział depesz, ale sprawiały one nam ciągły kłopot. Kiedyś, wiadomość o śmierci czy kalectwie jakiejś odważnej lotniczki, która spadła z aparatem, zatytułował: »Żeby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała«. Wybuchło słuszne oburzenie naszych czytelników, p. Karol przestał tworzyć nagłówki nad depeszami i zaczął pisywać felietoniki. I znów była rozpacz. Starszym pannom, a zwłaszcza starszym paniom, które dokoła takiego pisma prowincjonalnego, jak »Słowo« mają zawsze coś do powiedzenia, felietoniki Karola z początku nie podobały się zupełnie. Karol miał styl krótki i obrazowy, ale nie pisał nigdy o kimś, że szedł, tylko zawsze »gramolił się«, zamiast »mówić«, stale »gdakać«, nigdy nie nazwał dziewczyny lub sportsmenki inaczej, jak »klucha«. […] Jestem posłem, zasiadam na jednych ławach z wybitnym politykiem, któremu umiera teść, będący z kolei uczonym, chlubą Polski, uczonym o europejskiej sławie. Karolowi strzela do głowy napisać o tymże teściu per »spiesząc się kiedyś na randkę z lafiryndką«".

Zaskakująca jest puenta opowieści Cata o początkującym dziennikarzu Karolu: „[…] już w kilka miesięcy po niemożliwych felietonikach Karola, oświadczam zgorszonemu gronu redakcyjnemu: – Karol… oto jest największy talent w »Słowie«". A na dowód, że nie tylko on ma dobre zdanie o początkującym dziennikarzu, dodaje: „[…] w owych czasach otrzymywałem czasami pocztówki z impertynencjami od samego Adolfa Nowaczyńskiego, któremu nikt nie zarzuci, że nie umie pisać lub że nie zna się na pisarzach, czytałem: »…powiedzcie waszemu Karolowi, że stary Nowaczyński wróży mu wielką, dickensowską przyszłość. Tylko kto jest ten Karol?«".

Zadzierzgnięta wówczas przyjaźń z Józefem Mackiewiczem trwała do grobowej deski. Łączyły ich nie tylko bezkompromisowy antykomunizm, lecz także powinowactwo – zdaniem Kazimierza Zamorskiego, emigracyjnego pisarza, dziennikarza Radia Wolna Europa, przyjaciela autora „Drogi donikąd", Zbyszewscy byli „w którymś pokoleniu spokrewnieni z Pietraszkiewiczami, a matka Józefa to Pietraszkiewiczówna z domu".

„Polska musi być mocarstwem"

Chociaż po roku Karol opuścił Wilno i zamieszkał w Warszawie, to nadal współpracował z redakcją „Słowa". Pracował jako nauczyciel historii w gimnazjum w Otwocku oraz archiwista w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, był też przez kilka miesięcy instruktorem sportu w jednym z warszawskich gimnazjów, notabene bardzo imponował uczniom, bo do szkoły przyjeżdżał na motocyklu marki BMW. Uwielbiał motocyklowe wycieczki po Polsce i po Europie. Obok dziennikarstwa jego wielką pasją był sport. Grał na pozycji napastnika w piłkę nożną w A-klasowej drużynie Akademickiego Zespołu Sportowego, brał udział z powodzeniem w zawodach pływackich, wielokrotnie zdobywał tytuł mistrza akademickiego Polski w tenisie ziemnym, pływał łódką po Wiśle, odbył kilka rejsów na trasie od Sandomierza do Gdańska.

Jako dziennikarz współpracował z najbardziej opiniotwórczymi pismami konserwatywnymi okresu międzywojennego. Zamieszczał felietony w dzienniku „ABC" związanym ze środowiskiem prawicy narodowej, w „Czasie" – organie krakowskich konserwatystów. Należał do grona młodych publicystów konserwatywnych skupionych wokół pisma „Bunt Młodych", którego redaktorem naczelnym był Jerzy Giedroyć, a pisywali do niego m.in. bracia Adolf i Aleksander Bocheńscy, bracia Ksawery i Mieczysław Pruszyńscy, Stefan Kisielewski, Czesław Straszewicz, Stanisław Swianiewicz i brat Karola – Wacław. Było to niezwykle ciekawe i intelektualnie płodne środowisko. Publicyści „Buntu Młodych" pisywali także w „Słowie" i w „Czasie". Swoją główną ideę określali jako

eprasa.pl ceedbe6b4d

„myśl mocarstwowa". Uważali, że Polska położona między dwoma totalitarnymi, agresywnymi państwami – narodowo-socjalistycznymi Niemcami i bolszewicką Rosją – nie może być słaba. „Polska musi być mocarstwem, albo nie będzie jej wcale" – głosili. W przeciwieństwie do konserwatystów starszego pokolenia nie uprawiali polityki salonowej, a reagowali żywo na otaczającą rzeczywistość. Ich konserwatyzm wydawał się eklektyczny. Adolf Bocheński, najbardziej utalentowany z publicystów „Buntu Młodych" i późniejszej „Polityki", wydał w 1937 roku głośną książkę „Między Niemcami a Rosją", poświęconą zagadnieniom geopolitycznym, w wielu aspektach nadal aktualną. Za największego wroga Polski Bocheński uważał Rosję sowiecką. Należał do tych myślicieli II RP, którzy szans na jej osłabienie upatrywali w powstaniu między Polską a Rosją niepodległych państw narodów uciemiężonych przez Rosjan – zwłaszcza ukraińskiego.

Szczotką ryżową po głowie

Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, w drugiej połowie lat 30., Zbyszewski stał się zdecydowanym przeciwnikiem rządów sanacji, etatyzmu, zradykalizował swoją postawę wobec komunizujących, nieasymilujących się Żydów, choć miał wśród Żydów wielu kolegów. W 1936 roku zaczął współpracę z tygodnikiem literacko-artystycznym „Prosto z mostu". Ukazujący się od 1935 roku tygodnik wcześniej stanowił niedzielny dodatek kulturalny do pisma „ABC". Z uwagi na głoszony antysemityzm i nacjonalizm, uznawany był za pismo kontrowersyjne, aczkolwiek należał z pewnością do najważniejszych i najciekawszych pism kulturalnych, literackich okresu dwudziestolecia międzywojennego. Duża była w tym zasługa utalentowanego redaktora naczelnego Stanisława Piaseckiego, który został zamordowany przez Niemców w czasie okupacji. Na łamach „Prosto z mostu" publikowali zarówno starsi autorzy, pisarze, jak i debiutujący. Tych debiutujących było zdecydowanie więcej: Jerzy Andrzejewski, Wojciech Bąk, Jerzy Braun, Konstanty Ildefons Gałczyński, Kazimiera Iłłakowiczówna, Jerzy Waldorff, Jerzy Pietrkiewicz. Pismo „Prosto z mostu" z powodzeniem konkurowało z „Wiadomościami Literackimi", tygodnikiem społeczno-kulturalnym redagowanym przez Mieczysława Grydzewskiego, mającym charakter lewicowo-liberalny. K.I. Gałczyński uszczypliwie wyraził się, że tygodnik „Prosto z mostu" buduje kulturę, a „Wiadomości Literackie" pasożytują na niej.

Stanisław Piasecki stworzył Bibliotekę pisma „Prosto z mostu", w której wydane zostały m.in. powieść Jerzego Andrzejewskiego „Ład serca" oraz debiutancki tomik wierszy K.I. Gałczyńskiego. Z pomocą czytelników redaktor ufundował nagrodę literacką tygodnika, organizował subskrypcje polskiej grafiki współczesnej. Piasecki i tygodnik, który stworzył skromnymi siłami, jest ciągle niedoceniany; nie można sprowadzać linii programowej tygodnika jedynie do antysemityzmu. Pismo przyciągało utalentowanych pisarzy młodszej generacji, kreowało nowe zjawiska w ówczesnej literaturze, tworzyło ciekawe środowisko intelektualne, miało być w zamierzeniu Piaseckiego „szkołą charakterów", wychowującą pisarzy i przełamującą dominację lewicy w polskiej kulturze.

Karol Zbyszewski był autorem w „Prosto z mostu" cyklu felietonów zatytułowanych „Szczotką ryżową", i rzeczywiście był ostry jak szczotka ryżowa w swoich tekstach i szczery, jak tytuł pisma, bo walił prosto z mostu, bez owijania w bawełnę.

O upadłych elitach

Karol Zbyszewski jako historyk interesował się szczególnie XVIII wiekiem, chciał zrozumieć tamte elity, które doprowadziły do upadku potężnego państwa polskiego w środku Europy. Po uzyskaniu magisterium z historii zapisał się na seminarium doktoranckie prowadzone przez prof. Marcelego Handelsmana. W 1938 roku przedstawił rozprawę doktorską będącą zbeletryzowaną biografią pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu", jednakże z uwagi na nienaukowy styl praca została odrzucona przez radę naukową Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Niezrażony Zbyszewski skwitował zaistniałą sytuację z ironią: „Nie będę figurował w książce telefonicznej jako »dr Zbyszewski« i fryzjer z przeciwka nie będzie mi mówił: »szanowanie panu doktorowi!«". Na początku 1939 roku pracę chętnie wydało Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Książka okazała się bestsellerem, rozeszła się niczym ciepłe bułeczki i wywołała w przededniu wybuchu wojny wielką dyskusję narodową. Po dwóch miesiącach pojawiło się drugie wydanie książki. Ukazało się ponad 50 recenzji, prawdopodobnie gdyby nie wybuch wojny, pojawiłoby się ich jeszcze więcej. Jedne były entuzjastyczne, inne odsądzały autora od czci i wiary. Przedmowę do drugiego wydania książki napisał Stanisław Cat-Mackiewicz, biorący w obronę autora: „[…] w osobie Karola zbiegł się historyk o niebyle jakiej erudycji i dziennikarz pierwszorzędny, więc książka ta staje się lekturą wspaniałą, oryginalnym rarytasem dla ludzi o wyrobionym podniebieniu literackim".

Życiorys Juliana Ursyna Niemcewicza, polityka, masona, pisarza, m.in. autora „Powrotu posła", „Śpiewów historycznych", posłużył Zbyszewskiemu do napisania pamfletu polityczno-historycznego o ostatnich latach upadającej Rzeczypospolitej. Trudno zarzucić Zbyszewskiemu mijanie się z prawdą, konfabulację, ponieważ książka jest bardzo dobrze udokumentowana historycznie. Wielu czytelników było zgorszonych przede wszystkim potocznym, niewybrednym językiem, uważali że pisanie w sposób satyryczny o tragicznych wydarzeniach

eprasa.pl ceedbe6b4d

jest niedopuszczalne. Zbyszewski w sposób brawurowy opisał zgniliznę moralną polskiej elity politycznej XVIII wieku, nie zostawił na niej suchej nitki, nie oszczędził nikogo, wybrańców narodu przedstawił jako skończonych durniów, opojów, sprzedajnych zdrajców ojczyzny, którzy służyli obcym.

Kpił z króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, nazywał go „Kluchosławem": „Stanisław August leżał w garderobie przybrany w zielony szlafrok, z głową obwiązaną batystową chustką, jako że w karczmie marymonckiej zadrasnął czoło haftką od rękawa. Tłum pięknych dam otaczał rannego wielbiąc jego bohaterstwo i przytomność umysłu; sprytniejsze szlochały radośnie. Julianek [J.U. Niemcewicz – przyp. D.J.] dostąpił zaszczytu ucałowania ręki, która była królewską za to, że zręcznie miętosiła tłuste łono Katarzyny".

W czasie sesji sejmowej zatwierdzającej w kwietniu 1773 roku I rozbiór Polski: „Okrzyczeli Reytana wariatem, bo czyż Polak przy zdrowych zmysłach, mógł się opierać woli Stackelberga i dla takiego głupstwa, jak rozbiór kraju głodować w pustej sali przez 36 godzin. Stackelberg dał królowi do dyspozycji 4 ogromne starostwa, posłom i senatorom kilkanaście wiader rubli – za tę cenę wyrzekli się dobrowolnie, bez cienia próby oporu, ćwierci Polski, grzecznie podpisali rozbiór".

Chociaż Zbyszewski był człowiekiem wierzącym, to nie oszczędził hierarchów kościelnych: „Nierównie więcej od utraty prowincji absorbowała sejm kasacja Jezuitów, trzeba było coś obmyśleć dla ich olbrzymich dóbr i bogactw, marszałek Poniński, prymas Młodziejowski i biskup Massalski zajęli się tym najtroskliwiej – najwięcej ukradli, złote kielichy sprzedawali żydom wrocławskim, ornaty domom publicznym na firanki […] Massalski grał namiętnie w lombra, normalną jego stawką była wartość monstrancji, jednej nocy przegrywał cały klasztor".

27 kwietnia 1792 roku w Petersburgu przeciwnicy reform Sejmu Czteroletniego, ze Stanisławem Potockim i Sewerynem Rzewuskim na czele, pod hasłem obrony zagrożonej wolności, zawiązali za zgodą Rosji konfederację przeciw Stanisławowi Augustowi i Konstytucji 3 maja. Ostatni król Rzeczypospolitej tłumaczył w liście swemu bratankowi Józefowi księciu Poniatowskiemu konieczność przystąpienia do zdrajców: „[…] że musi przecie spłacić swe długi, że musi mieć u kogo nowe zaciągnąć, że przystąpienie do Targowicy było jedynym rozsądnym i godziwym wyjściem". Na wieść o przygotowanym w Petersburgu drugim rozbiorze Polski, król Stanisław zaproponował carycy Katarzynie, aby przyznała mu 100 tys. dukatów rocznej pensji, a on wtedy abdykuje. Rozbawił tym stawianiem warunków carycę, bo przecież dzięki Poniatowskiemu robiła ona z Polską to, co chciała.

Dygresja

Dzisiejsze polskie elity, podobnie jak tamte, sprzed kilkuset lat, też potrzebują protektora. Mentalność elit, które przecież są emanacją narodu, nie zmieniła się od kilku wieków, zmieniają się jedynie protektorzy. Po 1944 roku była to Moskwa, obecnie Berlin i Bruksela. Polacy wręcz z nabożeństwem traktują decyzje instytucji międzynarodowych, takich jak Unia Europejska, TSUE, Komisja wenecka, WHO. Nie jesteśmy asertywni, co choćby pokazały nasze relacje z Ukrainą. Wacław Zbyszewski, brat Karola, dyplomata i wybitny dziennikarz, analityk, uważał, że jesteśmy narodem politycznie infantylnym. W Polsce rządzą nami elity postkolonialne, które realizują interesy obcych państw. Polska inteligencja, uważająca się za elitę, podatna jest na konformizm, zachowania stadne, daje się lepić niczym plastelina przez „Gazetę Wyborczą", TVN i wiele innych mediów.

Przeprowadzone niedawno badania dowodzą, że jedynie 20 proc. społeczeństwa utożsamia się z Rzeczpospolitą, uważa się za patriotów. W Polsce, w przeciwieństwie choćby do państw Europy Zachodniej, mamy do czynienia z nierozliczonymi zdradami narodu, państwa, co dla kondycji moralnej narodu jest zabójcze. W 1794 roku sprawiedliwość zdrajcom narodu wymierzył tzw. warszawski motłoch, wieszając niektórych na szubienicach.

Z dużą wnikliwością przygląda się polskim elitom filozof prof. Ryszard Legutko. W wywiadzie udzielonym kilka lat temu Polskiej Agencji Prasowej mówił m.in.: „W historii Polski co jakiś czas, cyklicznie, mamy do czynienia ze zjawiskiem zwanym zdradą elit. Polega ono z grubsza na tym, że większa bądź mniejsza część warstwy teoretycznie najlepiej wykształconej, mającej najwięcej do powiedzenia w sprawach państwa zaczyna uważać, że będzie lepiej, jeśli będą nami rządzić inni". „Dzisiejsi intelektualiści, inteligencja nienawidzi własnego narodu i chciałaby, żeby tą »hołotą« – jak ją określają – rządzili inni. Dlatego tak kochają Unię Europejską". Warto odnotować jeszcze jedno spostrzeżenie profesora: „[…] przedstawiciel polskiej elity, inteligent – z jednej strony się pyszny, ma zadęcie arystokratyczne, a z drugiej, jest niesłychanie służalczy wobec rozmaitych podmiotów zewnętrznych. Towarzyszy temu pogarda, czasami nienawiść do własnego narodu".

Dzisiaj, po objęciu rządów przez Platformę Obywatelską, sytuacja opisywana kilka lat temu przez prof. Legutkę stała się jeszcze bardziej dramatyczna. Właściwie mamy jawne oddanie się w pacht Berlinowi i Brukseli. Politykę prowadzą osobnicy zachowujący się jak wrogowie Polski. Rzeczpospolita jako państwo posiada już resztki suwerenności i zagrożona jest nasza niepodległość.

Na londyńskim bruku

Po wybuchu II wojny światowej Karol Zbyszewski przedostał się przez Litwę i Szwecję do Francji, gdzie wstą-

eprasa.pl ceedbe6b4d

pił ochotniczo do Wojska Polskiego i został skierowany do obozu w Coëtquidan. Niezwykle mocno przeżył upadek Polski we wrześniu 1939 roku, był bardzo krytyczny wobec przedwrześniowych polskich elit, które obwiniał za doprowadzenie do katastrofy, czemu dawał wyraz m.in. w piśmie „Polska Walcząca" powstałym na emigracji. W liście do Jerzego Giedroycia pisał rozgoryczony: ,,Jeśli powstanie Polska, to jedyna posada, której w niej pragnę, to posada kata. Wieszanie Rydza, Sławoja, Kasprzyckiego i innych będzie i tak zbyt łagodną dla nich karą". Współpracował też z ukazującym się przez kilka miesięcy na początku 1940 roku w Paryżu pismem „Słowo", redagowanym przez Cata-Mackiewicza.

W szeregach Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich wziął udział pod koniec kwietnia 1940 roku w kampanii norweskiej jako goniec motocyklowy; za zasługi w bitwie pod Narwikiem został odznaczony Norweskim Medalem Obrony. Po klęsce Aliantów w Norwegii znalazł się w Szkocji, gdzie służył jako dowódca kolumny samochodowej w I Korpusie Polskim na terenie Szkocji. Zbyszewski, będąc politycznym realistą, już właściwie w 1944 roku nie miał złudzeń, jaki los czeka Polskę po wojnie, że alianci oddadzą nas pod okupację Sowietów, że Polska utraci Kresy Wschodnie.

Zamieszkawszy w Londynie, rozpoczął współpracę z „Dziennikiem Polskim", która trwała niemal 50 lat, do śmierci pisarza w 1990 roku. „Dziennik Polski", od 1 stycznia 1944 roku, po połączeniu dwóch tytułów, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", był obok „Wiadomości" londyńskich i paryskiej „Kultury" najważniejszym czasopismem powojennej polskiej emigracji niepodległościowej. Codzienna rubryka „To i owo" Zbyszewskiego skrzyła się humorem, ale też pobudzała do myślenia i od niej zaczynano lekturę gazety. W latach 1973–1984, do czasu odejścia na emeryturę, Zbyszewski pełnił funkcję redaktora naczelnego tej gazety. Publikował też w londyńskich „Wiadomościach" i „Orle Białym". Współpracował z pierwszą powojenną polską rozgłośnią radiową o zdecydowanie antykomunistycznym profilu, a mianowicie Radiem Madryt, oraz sekcją polską radia BBC. Prezentował swoje felietony, gawędy w Radiu Wolna Europa, choć nie znosił Jana Nowaka-Jeziorańskiego i ubolewał, że Józef Mackiewicz, jego przyjaciel od czasów wileńskich, wybitny pisarz, jest zwalczany w sposób niezwykle brutalny przez szefa rozgłośni. Dowodził też, że „Nowak-Jeziorański zaangażował się w walkę frakcyjną komunistów wspierając puławian, a potem zatrudniając ludzi z brudnymi plamami w życiorysach, uchodzących za ofiary polskiego antysemityzmu!". Nie przepadał za środowiskiem Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury", gdzie publikowali zwolennicy socjalizmu z ludzką twarzą, rewizjoniści komunistyczni, m.in. pod pseudonimem Karol Szwedowicz pisał brat Adama Michnika, Stefan Michnik, komunistyczny zbrodniarz.

„Mógłby się stać jednym ze zwiastunów sztuki przyszłości"

Zbyszewski wydał na emigracji kilka książek będących zbiorami publicystyki, esejów oraz powieść pt. „Ktoś, kto jest kimś innym" (1972). Był wielokrotnym laureatem nagród Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w 1964 roku otrzymał nagrodę londyńskich „Wiadomości" za książkę, zbiór publicystyki pt. „Wczoraj na wyrywki". To w tej książce znalazł się chwalony przez Józefa Mackiewicza tekst pt. „Zgoda będzie zgubą" pochodzący z „Wiadomości" z 1952 roku, w którym dowodził, że jedność narodowa nie jest koniecznym wymogiem odzyskania przez Polskę niepodległości: „Uzgodnione poczynania dwóch półgłówków nie dadzą akcji jednej tęgiej głowy. […] Niemiecki kronikarz Dytmar, taki Goebbels z czasów Bolesława Chrobrego, notuje: »Na wschód od Łaby mieszkali Polanie. Dziwaczne to plemię nie chciało nic poczynać bez jednomyślnej zgody. Skoro więc trzeba było coś przedsięwziąć – większość póty kołami tłukła mniejszość, aż ją zatłukła lub do zgody przymusiła«. A później nie veto, lecz zasada zgody zgubiła Rzeczpospolitą: Parlament jest od tego, by krzyżowały się w nim opinie. Rozumny poseł może być przegłosowany, ale dlaczegóż ma na domiar rezygnować ze swego zdania?". I dalej: „Rozbicie nie zapewnia, samo przez się, sukcesu. Ale daje więcej szans… ktoś, któraś grupka, gdzieś, kiedyś, jakoś, przypadkiem, może jednak stosownie trafi, trąci we właściwą strunę… Bezmyślną jednomyślnością nie odzyskuje się niepodległości". Laudację na cześć laureata nagrody „Wiadomości" przygotował juror tejże nagrody, Józef Mackiewicz: „Przypuszczalnie zbliżające się Millennium powiększy jeszcze nakłady czytanek na poziomie 2 gimnazjalnej. Otóż na tym tle pisarstwo Karola Zbyszewskiego, które przywraca postaciom i zdarzeniom historycznym obraz i podobieństwo żywych ludzi i prawdziwych zdarzeń, wydaje mi się specjalnie ważnym dziełem kulturalnym […] Gdyby należał nie do polskiego piśmiennictwa emigracyjnego, ale do którejś z wielkich literatur światowych, mógłby się stać jednym ze zwiastunów sztuki przyszłości, która niewątpliwie nastąpi jako reakcja na mętny abstrakcjonizm".

Wielu przyjaciół, m.in. Józef Mackiewicz, namawiało Karola Zbyszewskiego do napisania jakiejś większej, poważniejszej książki, zamiast zajmowania się „rozsypanymi w codziennym druku »kawałkami«". Na co miał odpowiadać autor „Niemcewicza": „[…] gdy bajdurzę od rzeczy wszyscy rozwieszają uszy. A gdy się wynurzam do rzeczy, to wszyscy puszczają to mimo uszu". Dodając, iż „Historyjka wydaje mi się jak dziewczyna: tym zgrabniejsza w im krótszej koszulce".

Karol Zbyszewski zmarł 16 listopada 1990 roku, pięć lat wcześniej odszedł z tego świata brat Wacław. Nie dane im było wrócić do Polski. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

Skrzydlate Polki na wojennych szlakach

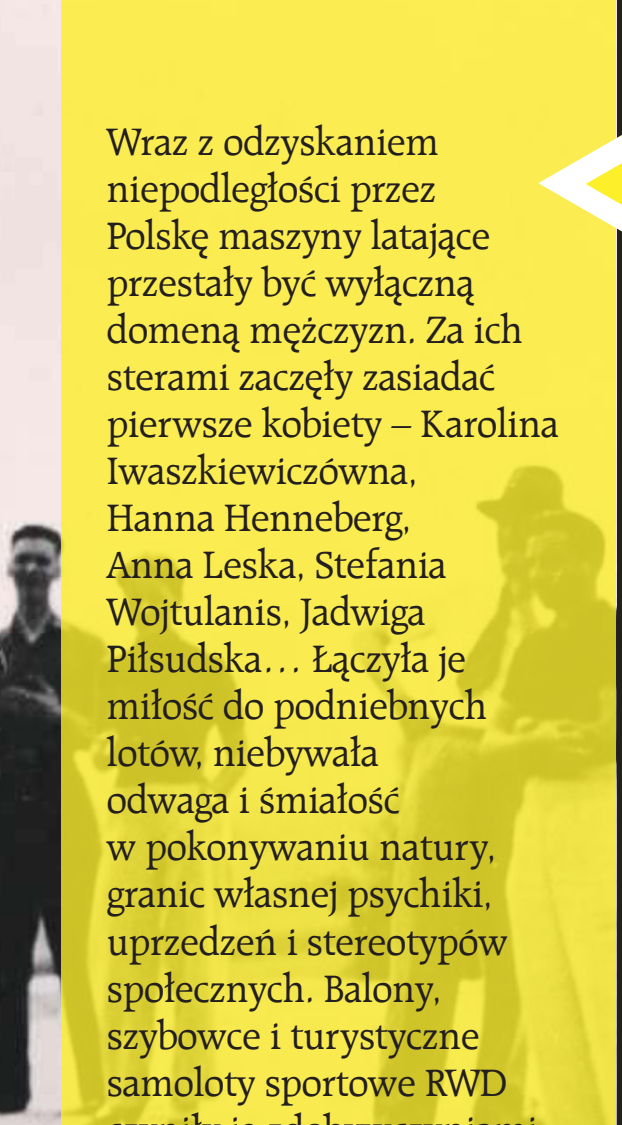
Agnieszka Kowalczyk



Jadwiga Piłsudska podczas ćwiczeń na szybowcu szkolnym „Wrona”.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Wraz z odzyskaniem niepodległości przez Polskę maszyny latające przestały być wyłączną domeną mężczyzn. Za ich sterami zaczęły zasiadać pierwsze kobiety – Karolina Iwaszkiewiczówna, Hanna Henneberg, Anna Leska, Stefania Wojtulanis, Jadwiga Piłsudska… Łączyła je miłość do podniebnych lotów, niebywała odwaga i śmiałość w pokonywaniu natury, granic własnej psychiki, uprzedzeń i stereotypów społecznych. Balony, szybowce i turystyczne samoloty sportowe RWD czyniły je zdobywczyniami przestworzy, a z chwilą wybuchu II wojny światowej – skrzydlatymi obrończyniami polskiej ziemi, a potem bojowniczkami wspierającymi aliantów w powietrznych zmaganiach z Niemcami.



FOT. NAC

Mglisty angielski poranek i pogoda niesprzyjająca lotom nie były nigdy powodem, by nie stawić się w pracy w pierwszej żeńskiej bazie lotniczej w Hamble w hrabstwie Hampshire. Wojenna rzeczywistość lat czterdziestych była surowa i wymagająca. Codziennie na wielkiej tablicy wiszącej przy pokoju operacyjnym wypisywano kredą przydziały na dany dzień. Po lewej nazwiska lotniczek, po prawej – przydzielonego samolotu […]. To było jak rosyjska ruletka, czy właśnie dziś dostanie się kwit od oficera operacyjnego na ten pechowy samolot, któremu w locie odpadnie śmigło i który już nigdy nie wyląduje? Czy to będzie przestarzały, ale wciąż przydatny patrolowy Avro Anson, torpedowy bombowiec nurkujący ze słabym silnikiem Fairey Barracuda, czy myśliwiec typu Hurricane?" – odkrywa wojenne oblicze kobiecego lotnictwa Anna Rudnicka-Litwinek w swej prekursorskiej książce „Dziewczyny na skrzydłach. Polskie lotniczki, które zdobyły niebo" (2020). Wśród około 170 kobiet przyjętych w czasie II wojny światowej do szeregów ATA (Air Transport Auxiliary), czyli Pomocniczej Służby Transportu Powietrznego dającej wsparcie Brytyjskim Siłom Powietrznym RAF, znalazły się trzy Polki – Anna Leska, Stefania Wojtulanis i Jadwiga Piłsudska, mistrzynie pilotażu II Rzeczypospolitej, które podjęły walkę z niemieckim okupantem na niebie Wielkiej Brytanii.

W ATA kobiety lotniczki dzieliły na równi z mężczyznami trudy i niebezpieczeństwa służby wojskowej w powietrzu. Tak samo jak ich koledzy piloci dostarczały z fabryk do wyznaczonych baz dopiero co wyprodukowane samoloty bądź odstawiały do warsztatów naprawczych te uszkodzone, grożące katastrofą. Choć same nie brały udziału w bitwach powietrznych z nieprzyjacielem, powierzona im misja była konieczna dla skutecznego działania pilotów RAF. Każdy ich lot mógł zakończyć się śmiercią, jak w przypadku Amy Johnson, która w 1930 roku jako pierwsza kobieta pokonała powietrzny szlak z Wielkiej Brytanii do Australii. Mimo ogromnego doświadczenia zginęła 5 stycznia 1941 roku w katastrofie lotniczej u ujścia Tamizy. Spośród blisko 170 kobiet należących do ATA życie straciło 16. By wykonać przydzielone zadania, musiały mierzyć się z kapryśną angielską pogodą, w błyskawicznym tempie opanowywać niuanse techniczne powierzonych im samolotów (transportowały dziesiątki ich modeli, w tym kilka dziennie). Walczyły z czasem, aby jak najszybciej stawić się z pożądaną na froncie maszyną, po wielekroć zmuszone zapanować nad uszkodzonymi weteranami, które niejednokrotnie rozpadały się w powietrzu i znienacka zawodziły pilota.

▶ Anna Leska. Poszybować w niekończący się błękit

„Kiedyś leciałam do Prestwick na samolocie Tiger Moth. […] Po kilku minutach lotu utknęłam niestety

eprasa.pl edbe6b4d

w kompletnej wacie – chmury zeszły prawie na dno, rozszalała się ulewa… Nie mogłam zawrócić, nie widząc ścian doliny. Leciałam na oślep, przygotowana na to, że w każdej chwili samolot może się roztrzaskać o skały. Jedynym znakiem orientacyjnym była połyskująca […] w dole rzeka. Nie wiem, ile siwych włosów przybyło mi, zanim otworzyła się nagle przede mną przestrzeń i wyskoczyłam po drugiej stronie pasma gór w niewiarygodnie wprost piękną i słoneczną pogodę" – wspomina dramatyczne chwile jednego z lotów w ATA porucznik pilot Anna Leska (1910–1998), która od dziecka marzyła, by zostać lotniczką. Jej wielka przygoda z podniebnymi pojazdami zaczęła się w momencie, gdy jako dziesięciolatka wraz mamą Marią i ojcem Juliuszem, byłym legionistą, który w Niepodległej zarządzał Zakładami Amunicyjnymi „Pocisk" (po wybuchu II wojny światowej szef Kwatery Głównej Naczelnego Wodza w Londynie) – zawitała na Mokotów, do 1. Pułku Lotniczego, gdzie po raz pierwszy na wielkich skrzydłach miała się wzbić ku słońcu. Do stojącego przy hangarach Hanriota prowadził ją za rękę kapitan Bolesław Stachoń, pytając, czy się nie boi. Ona natomiast nie tylko nie czuła strachu, lecz zżerana przez ciekawość, myślała tylko o tym, by poszybować w niekończący się błękit. A że wrażenia z tego lotu otwarły przed nią „siódme niebo", postanowiła, że będzie latać za wszelką cenę, podobnie jak jej brat Kazimierz, pilot Wojska Polskiego, a do tego konstruktor okrętów podwodnych „Orzeł" i „Sęp". Szlify lotnicze zdobywała w Warszawskim Aeroklubie na Polu Mokotowskim, ucząc się, jak ujarzmiać balony i szybowce, a potem w Aeroklubie Toruńskim ukończyła kurs pilotażu motorowego, zdobywając licencję pilota na samolot RWD.

Z chwilą ataku Hitlera na Polskę z Aeroklubu Warszawskiego zmobilizowano cztery lotniczki: Wandę Modlibowską, Zofię Szczecińską, Stefanię Wojtulanis oraz Annę Leską, która 3 września rozpoczęła swą służbę w Eskadrze Sztabowej Naczelnego Dowództwa Lotnictwa jako podporucznik czasu wojny, pilot samolotu RWD-13. Gdy podczas kopania rowów ochronnych na mokotowskim lotnisku przeraził ją widok niemieckich bombowców nurkujących Junkers Ju 87 Stuka, „gnębiących Okęcie", i głos ich siejących trwogę syren zwanych trąbami jerychońskimi, wraz z innymi pilotami ruszyła ciężarówką do lasku pod Wilanowem, gdzie stały dobrze zamaskowane polskie maszyny latające. Między jednym a drugim nalotem wyprowadzało się je z kryjówki, „rozkładało skrzydła i nie czekając na nagrzanie się silnika, startowało z niewykopanego pola kartofli". Anna brała więc udział w ewakuacji sprzętu lotniczego z zagrożonych pozycji, a do tego jako jedyna kobieta w swej eskadrze zajmowała się aprowizacją. Ostatnią noc na ojczystej ziemi spędziła gdzieś w okolicy Kut, gdzie przed odlotem zdążyła jeszcze nabyć kilkanaście szynek dla swojej załogi.

Gdy Sowieci napadli na Polskę, Anna otrzymała rozkaz przelotu do Rumunii, gdzie tak samo jak pozostali piloci została internowana. Na szczęście udało jej się stamtąd uciec i przedostać wraz z dowódcą eskadry i por. Zbigniewem Czaykowskim przez góry Jugosławii i Włochy do Francji, do paryskiego hotelu, gdzie mieściło się całe polskie dowództwo. A że Francuzi nie dopuszczali kobiet do czynnej służby lotniczej, Leska podjęła pracę urzędniczą w biurze Naczelnego Dowództwa Lotnictwa.

▶ Ponad 1500 godzin w locie!

Po tym, jak Hitler zagroził Francji i rozpoczęła się ewakuacja polskich sił zbrojnych, Anna przedostała się do St. Jean-de-Luz, a stamtąd transatlantykiem „Batory" na Wyspy Brytyjskie. Znalazłszy się w Londynie, przystąpiła do pracy w Dowództwie Sił Powietrznych, a potem w Ministerstwie Lotnictwa (Air Ministry), cały czas pragnąc jednak zasiąść za sterami samolotu. Toteż spełnieniem jej marzeń stała się służba w ATA. Anna zgłosiła się więc do kobiecej sekcji lotniczej w Hatfield. Do przyjęcia wymagane było 250 wylatanych godzin, ona zaś miała ich zaledwie 30, do czego się nie przyznała. Po pomyślnym przejściu testu lotniczego zdobyła wymaganą licencję i 6 stycznia 1941 roku mogła się już pochwalić statusem pełnoprawnego pilota ATA o numerze ewidencyjnym 28. Odtąd przez pięć lat, aż do 1 grudnia 1945 roku, przeprowadziła drogą powietrzną 700 maszyn latających, spędziwszy na niebie ponad 1500 godzin! Swoich sił próbowała na 40 typach samolotów. Stacjonowała w bazie Hatfield pod Londynem, potem na lotnisku Hamble w pobliżu Southampton, a na koniec w Racliffe koło Leicester. Opanowała loty na maszynach prawie wszystkich klas: począwszy od samolotów lekkich, a skończywszy na dwusilnikowych bombowcach lekkich i ciężkich.

Na pierwszy ogień poszły popularne samoloty szkoleniowe Tiger Moth odprowadzane przez Annę z wytwórni Havillanda w Hatfield na szkockie lotnisko Prestwick. Zdarzało się, że przemierzała niebo amerykańskimi awionetkami Fairchild – „powietrznymi taksówkami na krótkich dystansach". Latała też starymi Ansonami, mieszczącymi po dziewięciu pasażerów ze spadochronami. Jej ulubionym samolotem obok myśliwców Hurricane i Spitfire był Mosquito – nowoczesny dwusilnikowy samolot wojskowy, którego główny budulec stanowiło drewno. Okrzyknięty drewnianym cudem brytyjskim uznany został za jeden z najbardziej udanych bombowców Królewskich Sił Powietrznych. Anna nie lubiła natomiast amfibii Walrus i Sea Otter, służących do akcji ratowniczych. „Były na ziemi bardzo niezdarne, ciężkie i brzydkie. Przy starcie

eprasa.pl ceedbe6b4d

z lotnisk trawiastych miało się wrażenie, że się zaraz rozsypią, tak wszystko hałasowało i trzęsło się". Trzeba jednak przyznać, że dzięki nim wyratowano od śmierci wielu rozbitków. Anna przetransportowała tak wiele tych „skrzydlatych potworów", że zyskała przydomek „Królowej Walrusów".

Audiencja u królowej

Miała niezwykłe wyczucie maszyn i potrafiła błyskawicznie reagować na niespodziewane sytuacje, ale miała też wiele szczęścia. Zdarzyło się, że któregoś razu lecąc Mosquito do angielskiego dywizjonu na lotnisko West Malling, wskutek złej widoczności, za wcześnie zmieniła kurs. Tym samym nieświadomie przeleciała przez całą zaporę balonową, którą przemierzały zrzucane na Londyn bomby nieprzyjaciela i która była zarazem terenem polowania na nie angielskich myśliwców. Przyznała, że tylko dzięki korpusowi obserwatorskiemu, wiedzącemu o tym przelocie, nie została zestrzelona przez własną artylerię.

Po zwycięstwie aliantów w szczególny sposób świętowała zakończenie wojny. Doczekała bowiem powrotu z niemieckiej niewoli swego narzeczonego, kapitana lotnictwa Mieczysława Daaba, który w 1939 roku służył w 4. Pułku Lotniczym w Toruniu, a po klęsce wrześniowej przedostał się do Anglii, gdzie został żołnierzem 301. Dywizjonu Bombowego w Hemswell. Trafił do niewoli zestrzelony podczas swojego jedenastego lotu nad Francją (1942). Anna i Mieczysław wzięli ślub 11 sierpnia 1945 roku, po czym wyjechali do Walii, pragnąc wieść spokojne życie jako właściciele mlecznej farmy. Anna jednak szybko zatęskniła za stalowymi skrzydłami i wyjechała do Londynu, aby znaleźć spełnienie w kobiecych oddziałach lotniczych – Women Air Corps.

Nigdy nie zerwała nici łączącej ją z lotnictwem. Po powrocie do ojczyzny w 1977 roku działała w Zarządzie Warszawskiego Klubu Seniorów Lotnictwa, brała udział we wszystkich świętach i zjazdach lotniczych. Jako zasłużona kobieta-pilot czasu wojny została przyjęta przez królową angielską Elżbietę z okazji 50. rocznicy bitwy o Anglię. Ponadto uhonorowano ją m.in.: Srebrnym Krzyżem Zasługi Dowództwa Sił Powietrznych w Londynie (1945), Angielskim Królewskim Medalem (1947), a w Polsce – Medalem za Obronność Kraju. Ostatni raz patrzyła w błękit nieba Warszawy 21 stycznia 1998 roku, zapamiętana na zawsze jako wielka dama polskiego lotnictwa.

Stefania Wojtulanis. Mistrzyni podniebnych akrobacji

„Gęsta mgła uniemożliwiła odnalezienie lotniska. Nawet na wysokości 300 stóp (poniżej 100 metrów) ziemia była niewidoczna, a wskaźnik paliwa szybko zbliżał się do zera. […] Bliska była decyzji o porzuceniu samolotu i awaryjnym skoku ze spadochronem. Po chwili wahania nagle zobaczyła przed sobą zarys pola. Gdy wylądowała, śmigło samo stanęło, a silnik przestał pracować. W baku nie pozostała ani kropla paliwa. W listopadzie 1943 roku […] musiała natomiast zmierzyć się z zaporą balonową. […] Startując z lotniska Eastleigh na południe od Liverpoolu, skupiona na czynnościach chowania podwozia […] wyczuła nagle ciążący nad jej głową masyw balonu, którego stalowa linka połyskiwała na kursie kolizyjnym z lewym skrzydłem jej samolotu. Gwałtowny skręt w prawo uratował samolot od niechybnego oderwania płatu". To powietrzne igranie ze śmiercią na niebie ogarniętej wojną Anglii stało się właśnie udziałem Stefanii Wojtulanis (1912–2005), Polki w służbie ATA.

Zaraz po maturze w 1933 roku weszła w poczet miłośników awiacji Aeroklubu Warszawskiego. Od razu objawiła niepospolity talent lotniczy, zdobywając kolejne licencje i trofea w wyścigach powietrznych. Najpierw były to balony. Na polskim niebie zaistniała jako pierwsza kobieta-pilot, która pokonała balonem 280 km. Była też pierwszą Polką, która odważyła się wykonać skok spadochronowy i pierwszą, która zdobyła certyfikat instruktora spadochroniarstwa. W 1936 roku wstąpiła na Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej, chcąc zostać inżynierem i konstruktorem samolotów. Opanowawszy sztukę pilotażu nowoczesnych polskich maszyn RWD-5, RWD-8, RWD-10, RWD-13, RWD-17, także jako pierwsza Polka ukończyła kurs akrobacji samolotowej. Swoje umiejętności w tym zakresie zademonstrowała publiczności już latem 1939 roku nad lotniskiem w Rumi. Mistrz polskiego pilotażu Witold Rychter w swych „Skrzydlatych wspomnieniach" pisał z podziwem, że Stefania „dała taki koncert akrobacji, jakiego nie powstydziłby się sam por. Andrzej Włodarkiewicz, as nad asy na RWD-10. Nie tylko kolejność była bez zarzutu, ale każda figura wykonana spokojnie, pewnie i prawidłowo, przy czym wyraźnie dawało się zauważyć wielkie zacięcie sportowe, radość życia wyładowującą się w lataniu. Ani jednego błędu, ani jednej niedokładności!". Nic więc dziwnego, że Stefania zrobiła tam furorę, a „miejscowi piloci z uznaniem kręcili głowami, dziwując się, jak to Aeroklub Warszawski potrafił wyszkolić »babsko« w akrobacji".

Wzbiła się w powietrze tuż przed lejami

Gdy rozpoczęła się II wojna światowa, trwała w gotowości do działania na mokotowskim lotnisku. Czuła, że może być tam potrzebna, i wcale się nie pomyliła. 3 września 1939 roku do Aeroklubu Warszawskiego zadzwonił oficer Naczelnego Dowództwa Lotniczego,

eprasa.pl ceedbe6b4d

prosząc, by jeden z wolnych pilotów cywilnych poleciał do Dęblina z ważnymi rozkazami. W związku z tym, że w aeroklubie było pusto, bo wszyscy piloci już dawno dołączyli do swoich jednostek wojskowych, to właśnie Stefanii powierzona została niecierpiąca zwłoki misja wojskowa. Do wyboru miała dwa samoloty – RWD-8 i RWD-5. Zdecydowała się na ten pierwszy. Choć wolniejszy i mniej zwrotny, był bardziej stabilny przy starcie i lądowaniu, a Stefania nie wiedziała przecież, co czeka ją w Dęblinie. Okazało się, że niszczycielskie Dorniery i Heinkle dotarły tam przed nią, pozostawiając krajobraz iście apokaliptyczny – port zrównany z ziemią, hangary w gruzach, płyta lotniska poprzerywana lejami po bombach… Ona natomiast podeszła do lądowania ślizgami w dół, zatrzymując się tuż nad gigantyczną wyrwą. Wokół nie było żywego ducha. Nagle, jakby spod ziemi, wyłonił się żołnierz. Major, zaskoczony widokiem kobiety w stroju pilota, odebrał od niej przywiezione rozkazy, informując, że dostarczenie paliwa lotniczego dla Brygady Pościgowej jest niemożliwością, gdyż Niemcy wysadzili w powietrze wszystkie cysterny i beczki. Otrzymawszy odpowiedź, Stefania z pomocą dwóch podchorążych, którzy trzymali maszynę za skrzydła, zwiększyła obroty silnika i wzbiła się w powietrze tuż przed lejami. Tak rozpoczęła swoją służbę w Eskadrze Sztabowej Dowództwa Lotnictwa.

Misja specjalna w Rumunii

Tymczasem złowieszcze Messerschmitty, Dorniery i Heinkle dopełniały dzieła zniszczenia, bombardując kolejne polskie lotniska. Piloci podjęli się ewakuacji zagrożonych maszyn – z podwarszawskiego Powsina odstawiali je na lotniska Świdnik i Sucharów pod Lublinem, następnie do Krasnegostawu, potem do Ławrowa pod Łuckiem, wreszcie do Trybuchowic w okolicy Buczacza. Tam dopadła ich straszna wieść o napaści Armii Czerwonej na Polskę. W obliczu nadciągającej hekatomby Stefania wyruszyła samolotem RWD do Rumunii. Nie miała mapy ani specjalnej nawigacji, więc wykorzystała swoje wcześniejsze doświadczenie lotu balonem Syrena nad tymi terenami i kierując się korytem rzeki Prut, dotarła do rumuńskiej granicy. W Bukareszcie wraz ze swoimi koleżankami pilotkami – Wandą Modlibowską i Zofią Szczecińską – otrzymała od płk. Bolesława Stachonia zadanie specjalne, polegające na tym, by w przebraniu kobiet szukających swoich bliskich rozpoczęły trudną misję docierania do obozów internowania polskich pilotów, zbierania danych, fotografii i dokumentów w celu sporządzenia wiz tranzytowych dla żołnierzy, którym już jako cywilom należało umożliwić ucieczkę na Zachód. Stefania samotnie podróżowała więc do najodleglejszych zakątków Rumunii, kontaktowała się z internowanymi w miejscach odosobnienia, przewoziła ze sobą duże sumy pieniędzy przeznaczonych także na łapówki, by wydostać z obozów jak największą liczbę polskich żołnierzy. Bez znajomości tutejszego języka i panujących obyczajów przemierzała góry, dotarła do miejscowości Govora i Kalineszti, a także w malaryczne okolice Babadag. W końcu została aresztowana w pociągu. W porę zdążyła jednak zniszczyć obciążające ją materiały – wykazy ewidencyjne, odbitki fotograficzne, ukradkiem prześwietliła w ubikacji kasety z niewywołanymi filmami. Dlatego też nie znaleziono przy niej niczego kompromitującego, wyszła zatem na wolność.

„Od października do początku grudnia 1939 roku – podkreśla Anna Rudnicka-Litwinek – kilka tysięcy osób z polskiego personelu lotniczego opuściło Rumunię, z niemałą pomocą trzech polskich pilotek wykonujących niebezpieczną misję kurierską". Z Rumunii los rzucił Stefanię do Francji, gdzie została mianowana podporucznikiem czasu wojny i w mundurze lotniczym rozpoczęła pracę urzędniczą w biurze Dowództwa Lotnictwa. W Paryżu jej serce zabiło mocniej dla oficera Stanisława Karpińskiego, asa lotnictwa, współtwórcy skrzydlatej potęgi II RP, śmiałka, który odważył się okrążyć samolotem Europę i poszybować na Bliski Wschód. Młodzi, zaręczeni w tajemnicy, rozdzieleni zostali przez wojnę.

W powietrzu ujarzmiała nawet bombowce

Do Wielkiej Brytanii Stefania Wojtulanis płynęła wraz z Anną Leską na pokładzie „Batorego", nie wiedząc jeszcze, że niebawem przyjdzie jej podjąć wieloletnią misję lotniczą na niebezpiecznym niebie Anglii. Stefania jako pierwsza cudzoziemka została przyjęta do ATA, a jako pierwsza Polka w czasach II wojny światowej wylatała na maszynach bojowych ponad 1000 godzin (w tym 898 na Wyspach Brytyjskich). Przez 48 miesięcy służby w ATA przetransportowała 830 samolotów. Ujarzmiała w powietrzu słynne Spitfire'y i Mustangi. Doskonale radziła sobie na dwusilnikowym bombowcu Lockheed Hudson. Niebywałego wysiłku fizycznego wymagało od niej prowadzenie takiego olbrzyma, jak ciężki bombowiec Wellington, co sprawiało jej jednak ogromną satysfakcję. Za swoje wojenne wyczyny lotnicze była wielokrotnie odznaczana, w tym m.in.: Krzyżem Komandorskim i Kawalerskim Orderu Zasługi RP, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Czynu Bojowego PSZ na Zachodzie, War Medal i Defence Medal. Swą życiową przystań odnalazła ostatecznie w Stanach Zjednoczonych, gdzie wyemigrowała wraz z mężem Stanisławem w 1958 roku. Przez wiele lat za oceanem była przewodniczącą „Skrzydeł Pacyfiku" – Stowarzyszenia Lotników Polskich w Kalifornii.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Jadwiga Piłsudska. Najmłodsze „skrzydła" ATA

Była trzecią Polką, którą przyjęto w szeregi lotniczej brytyjskiej służby pomocniczej, a zarazem jedną z najmłodszych pilotek ATA. Ta jasnowłosa dwudziestodwulatka o niebieskich oczach, studentka architektury na uniwersytecie w Cambridge, obdarzona ścisłym umysłem i od dziecka marząca o lataniu, to Jadwiga (1920–2014), młodsza córka marszałka Józefa Piłsudskiego i Aleksandry Szczerbińskiej. Choć Naczelnik był przeciwnikiem lotnictwa, Jagodę od najmłodszych lat pociągały wszelkie machiny zdobywające niebo. Mając 12 lat, złożyła swój pierwszy model samolotu, a jako siedemnastolatka odbyła kurs szybowcowy na Sokolej Górze koło Krzemieńca. W ciągu dwóch lat zdobyła wszystkie kategorie szybowcowe. W 1939 roku była najmłodszą w kraju posiadaczką licencji najwyższej kategorii D. Latała wszędzie, gdzie tylko się dało – na wołyńskiej Sokolej Górze, na holu w Katowicach, w Aeroklubie Warszawskim. Odważyła się na szybowcu Delfin przelecieć z Bezmiechowej w Bieszczadach do Łukowa na Podlasiu, przebywając 270 km powietrznej trasy, o czym rozpisywały się ówczesne gazety. Planowała rozpocząć studia na politechnice, na wydziale mechanicznym ze specjalizacją lotniczą, by w przyszłości zostać budowniczym samolotów. Wojna pokrzyżowała jej plany.

Wraz z matką i siostrą Wandą zostały ewakuowane z Kowna przez Rygę do Sztokholmu, a stamtąd do Anglii. Jadwiga bardzo chciała wrócić do Polski, ale nie było to już możliwe. Nowe perspektywy działania otwarły się przed nią z chwilą, gdy po dwóch latach starań została przyjęta do ATA. Testy przeszła pomyślnie i po krótkim przeszkoleniu rozpoczęła służbę w White Waltham, na centralnym lotnisku ATA. „Nie mogliśmy latać w nocy i byliśmy zależni od pogody – opowiadała. – Latało się bez radia. […] W górę nie wolno było wchodzić, nie wolno było wylatywać w chmury, prowadzić na ślepo, na przyrządach, zależało się od widoczności. Latanie szybowcowe okazało się bardzo pomocne. Latało się »na teren« i bez kontaktu z ziemią. Na własną odpowiedzialność". Początkowo Jagoda nabierała wprawy lotniczej na powietrznych taksówkach, odwożąc pilotów do macierzystych lotnisk. Do tego służyły jej szkolne dwupłatowce z otwartą kabiną. Za sterami czuła się coraz pewniej i próbowała swoich sił na coraz trudniejszych maszynach. Już na początku 1943 roku miała wylatanych blisko 100 godzin. Dostała się do Szkoły Pilotażu Zaawansowanego i szybko zdobyła uprawnienia pilota drugiej, a potem trzeciej klasy. Uwielbiała pruć powietrze na niezwykle zwrotnym, czułym i prędkim Spitfirze – najsłynniejszym samolocie bojowym czasów II wojny światowej. „Spitfire chodził za ręką […]. To było jak latanie szybowcowe, byłam wolna, nikt nie dyktował przez radio, co robić. Miałam zegar, busolę i mapę, sama decydowałam o trasie, a w powietrzu, w odróżnieniu od szybowca, miałam do pomocy jeszcze silnik" – zachwycała się lotem i upajającą wolnością porucznik pilot Jadwiga Piłsudska, która doskonale dawała sobie także radę w amerykańskim Harvardzie z silnikiem Wasp, w bombowcu Fairey czy w myśliwcu Hurricane. Po konferencji w Teheranie, która skazywała Polskę na pozostanie w strefie wpływów sowieckich, Jadwiga podjęła decyzję o odejściu z ATA. W ten sposób zamanifestowała swoją niezgodę na oddanie losów Polski w ręce Stalina i komunistów oraz włączenie części polskich ziem do ZSRS. Pozostała w Wielkiej Brytanii wraz z mężem Andrzejem Jaraczewskim, w czasie wojny kapitanem ścigacza artyleryjskiego. Za swoje dokonania wojenne została odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Powróciła do ojczyzny w 1990 roku.

***

O fenomenie trzech polskich lotniczek służących w ATA świadczy anegdota przekazana przez Ryszarda Witkowskiego w artykule „Where's the pilot?". Jej bohaterką jest Anna Leska, która „przyleciała pewnego dnia do angielskiego dywizjonu RAF nowiuteńkim dwusilnikowym myśliwcem nocnym typu Beaufighter. […] Samolot ten budził szacunek i respekt. Zgodnie z poleceniem wieży kontrolnej pani Anna odkołowała Beaufightera do ziemnego schronu, tam opuściła kabinę, zabrała spadochron i podręczną torbę, i rozpoczęła marsz ku barakom. Wtedy nadjechał jeep z dowódcą dywizjonu, który obcesowo zapytał: – Halo, girl! Where's the pilot? Hej, dziewczyno! Gdzie jest pilot? W głowie dumnego Anglika nie mogło się pomieścić, że pilotem groźnego, szybkiego myśliwca nocnego mogła być śliczna, młoda polska dziewczyna!".

W zdumienie wprawiać musiał widok trzech Polek – Anny Leskiej, Stefani Wojtulanis i Jadwigi Piłsudskiej – za sterami Beaufighterów, Spitfire'ów i Hurricanów. Podziw obcych i rodaków budziły ich odwaga, zapał i lotnicza wirtuozeria, dzięki którym wywalczyły sobie w świecie mężczyzn-żołnierzy pozycję oficerów-pilotów lotnictwa wojskowego. Do ojczystej historii przeszły zaś jako skrzydlate dziewczęta, które ocierały się o śmierć w chmurach, ryzykując własne życie w imię wolności Polski. ■

Źródła: A. Rudnicka-Litwinek, „Dziewczyny na skrzydłach. Polskie lotniczki, które zdobyły niebo", Kraków 2020; „Wspomnienia Anny Leskiej-Daab", maszynopis autorski, Warszawa 1980.

eprasa.pl ceedbe6b4d

ANGIELSKI MIECZ NA DETERMINIZM HISTORYCZNY

Tomasz Gromadka

Mówi się, że Cesarstwo Rzymskie na Zachodzie upadło. Jest to jednak półprawda. Prawdą jest to, co pisał Hilaire Belloc, że imperium przekształciło się w Christianitas – w krąg polityczny i kulturowy, znany dziś pod nazwą cywilizacji łacińskiej. Sto lat po tym, jak zniknęła na Zachodzie władza cesarska, cywilizacja ta nie tylko wciąż istniała, lecz także szykowała się do odbicia utraconej prowincji. Rozkaz podboju znów padł w Rzymie, a wydał go następca Cezara, który był jednocześnie następcą Rybaka. Zamiast legionistów do Brytanii popłynęli mnisi, jakby w myśl słów: „Schowaj swój miecz, Piotrze". Na ich czele stał Augustyn, opat benedyktyńskiego klasztoru św. Andrzeja w Rzymie.

FOT. ARCH

eprasa.pl ceedbe6b4d



Każdy, kto zbliża się łodzią do Brytanii, widzi jej białe brzegi. Pierwsi mieszkańcy Albionu nie musieli używać łodzi – przybyli tam suchą stopą w czasach, gdy Kanał La Manche nie istniał, bo cały ogrom jego wód więziły w sobie lodowce Północy. Tysiące lat później, gdy chłody plejstocenu ustępowały, morze odcięło Brytanię od kontynentu i stała się ona wyspą. Jej duchowe dzieje przypominają dzieje geograficzne – co najmniej dwakroć Brytanii odbierano religię katolicką, skutkiem czego oddzielała się ona od łacińskiej Europy. Co najmniej dwakroć religia tam powracała.

Orły i słonie nad Tamizą

Najpierw jednak wyspa musiała stać się częścią tej łacińskiej Europy – a w zasadzie jej zalążka, to znaczy cywilizacji rzymskiej. Odbyło się to dzięki mieczom i słoniom. Choć Juliusz Cezar stanął na jej ziemi po raz pierwszy już w 55 roku przed Chrystusem, minął jeszcze prawie wiek, nim Rzymianie zgięli harde karki Brytów. Stało się to za panowania Klaudiusza, cesarza-historyka, a inwazją dowodził senator Aulus Plaucjusz, którego żona, Pomponia Grecyna, chyba rzeczywiście – jak chciał Sienkiewicz – była chrześcijanką, jedną z pierwszych w Wiecznym Mieście. Zwycięstwo, choć nie natychmiastowe, ukazało Brytom straszliwą potęgę i majestat Cesarstwa – na wyspę przeprawił się sam boski Klaudiusz, prowadząc ze sobą słonie bojowe. Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie musiały wywołać wrażenie zwierzęta te wśród rolników znad Tamizy. Nie tylko one. Gdy potem ulicami Rzymu prowadzono zakutego w łańcuchy króla brytońskiego Karakatusa, ten, zachwycony rzymską architekturą, spytał: „Skoro macie to wszystko, dlaczego zazdrościcie nam naszych nędznych chat?". Nie był to koniec walki. Rzymianom przyszło jeszcze stłumić wybuchające w kolejnych dziesięcioleciach powstania, z których najsłynniejszym przewodziła wojownicza królowa Boudika.

Minęło trzy i pół wieku, a chyląc się ku upadkowi, przynajmniej na Zachodzie, Cesarstwo wycofało swe legiony z Brytanii. Prowincję opuścili również najważniejsi urzędnicy. Jaka była reakcja spadkobierców dzielnych Karakatusa i Boudiki? Otóż napisali oni do cesarza list, w którym błagali go o powrót wojsk rzymskich na wyspę. Wiadomość zwrotna nie zachowała się, streścił ją jednak pisarz Zosimos: „Honoriusz wysłał listy do miast w Brytanii i ponaglił je, by sobie radziły same". Pokolenie później mieszkańcy Albionu wciąż nie ustali w nadziei na powrót rzymskiego panowania. Napisali do Aecjusza, ostatniego wielkiego wodza imperium na Zachodzie, pogromcy Hunów. List ich – rozpaczliwy w treści – świadczy o stopniu desperacji: „Do Agitiusa, trzykrotnego konsula, błagania Brytyjczyków […] Barbarzyńcy spychają nas do morza, morze pcha nas z powrotem na barbarzyńców. W środku my, między dwoma rodzajami śmierci, możemy albo utonąć, albo trafić na rzeź" (ten i inne cytaty z kroniki Gildasa na podst. Ch.A. Snyder, „Brytowie", Warszawa 2015).

Co takiego stało się z psychiką Brytów? Czy Rzymianie przeobrazili ich w tchórzy? A może kupili ich, niczym Putin, który budując w Groznym centra handlowe w miejscu ruin, kupił część czeczeńskich elit? Po części tak – sam Tacyt przyznaje, że uciechami rzymskiej cywilizacjami (jak łaźnie i biblioteki) ujarzmiono ducha Brytów. Tym jednak Rzymianie różnili się od Rosjan, że – chcąc czy nie chcąc – przekazywali podbitym narodom także wielkie wartości, które sami posiedli. Cywilizacja rzymska była najlepszym, co mógł zrodzić pogański świat – podsumował Chesterton.

Wspomniany Tacyt opisał działania namiestnika Brytanii, Juliusza Agrykoli: „Chcąc bowiem, żeby ludność rozproszona, nieokrzesana i dlatego do wojen pochopna przyzwyczaiła się drogą rozrywek do spokoju i bezczynności, napomina ich Agrykola osobiście, wspiera oficjalnie, aby budowali świątynie, rynki i domy, chwaląc ochoczych, a ganiając opieszałych; tak rywalizacja w zaszczycie zastępowała przymus. Nadto synów naczelników kazał kształcić w sztukach wyzwolonych i przenosił talent Brytańczyków nad pilność Galów, tak że oni, którzy dopiero co odtrącali język Rzymu, zapragnęli jego wymowy. Potem też zdobył szacunek nasz strój i częsta stała się toga […]".

Choć nie szerzenie filozofii wśród Brytów było celem podboju, choć wynikał on z zupełnie innych pobudek, takie właśnie przyniósł skutki, że wnuki brytońskich wojowników porzuciły dzidy i zaczęły czytać Cycerona. Romanizacja wyprzedziła zresztą w swych początkach inwazję, już wcześniej bowiem rzymskie zwyczaje przenikały do elit Brytanii, zwłaszcza do tych plemion, które miały status klientów czy sojuszników Cesarstwa. Po podboju hojnie szafowano obywatelstwem rzymskim, które stanowiło wówczas symbol życiowego sukcesu (por. Dz 22, 27–29). Niejaki Kogidubnus, jeden z brytońskich władców, którzy stanęli po stronie imperium, a następnie zachowali ograniczoną władzę jako trybiki w jego machinie, stał się Tyberiuszem Klaudiuszem Kogidubnusem.

Jednakże cywilizacja rzymska dała Brytom coś więcej – coś, co przewyższało ją samą – Dobro, które przyszło spoza świata. O chrześcijaństwie w Brytanii jako pierwsi wspomnieli, zupełnie mimochodem, Orygenes i Tertulian na przełomie II i III wieku, choć – jak pisałem – istnieją podejrzenia, że do Kościoła należa-

eprasa.pl ceedbe6b4d

ła już Pomponia Grecyna, żona pierwszego namiestnika nowo podbitej prowincji. Chrześcijaństwo przeobrażało świat nie ustawami i edyktami, lecz w pierwszej kolejności przemianą serc, jaka dokonywała się pod wpływem Ewangelii. (O tym, jak Kościół odmienił los niewolników, pisał Jacek Rutkowski w artykule „Kim jest Gulo?", „Nowe Państwo", XI 2024). Szczególnie przysłużył się temu ów wspaniały, choć trzeba przyznać, niedoceniany dziś wynalazek, jakim jest konfesjonał.

Miecze dzieci Wodana

W 449 roku przez Morze Północne przypłynęły do Brytanii trzy łodzie pełne germańskich wojowników pod wodzą braci Hengista i Horsy, pochodzących podług legendy z rodu boga Wodana (w Skandynawii znanego jako Odyn) – tak napisał trzy wieki później św. Beda Czcigodny, doktor Kościoła i pierwszy angielski historyk, autor „Kościelnej historii ludu Anglii", najstarszej angielskiej kroniki. Angielskiej, podkreślmy, a nie brytońskiej – na tych trzech legendarnych statkach przybyli bowiem ludzie, od których rozpoczęły się dzieje narodu angielskiego.

Hengista i Horsę oraz ich drużynników wezwał na pomoc wódz Brytów, który zjednoczył ich po odejściu legionów. Brytoński kronikarz Gildas nazywa go Vortigernem, w istocie jednak nie jest to imię, lecz tytuł, który tłumaczyć można jako „najwyższy władca". Vortigern przez długi czas stawiał opór nacierającym z północy Piktom (mieszkającym w dzisiejszej Szkocji), temu właśnie ludowi, o którym w liście do Aecjusza mieszańcy wyspy napisali: „Barbarzyńcy spychają nas do morza, morze pcha nas z powrotem na barbarzyńców". Już Rzymianie nie mogli uporać się z Piktami i wznieśli chroniący przed nimi mur oraz sieć strażnic, znanych jako wał Hadriana (jego pozostałości przetrwały do dziś). Archeologia sugeruje, że wał wykorzystywano jeszcze kilka dekad po odejściu legionów, aż do połowy V wieku. Być może przerwanie linii fortyfikacji, a z drugiej strony brak pomocy ze strony Cesarstwa, skłoniły Vortigerna do wezwania na pomoc germańskich najemników, pochodzących z ziem dzisiejszej Holandii, północnych Niemiec i Danii, spośród plemion Fryzów, Jutów, Sasów i Anglów.

I choć nie ulega wątpliwości, że najemnicy tacy docierali do Brytanii już dużo wcześniej, jeszcze z inicjatywy Rzymian, tym razem ich sprowadzenie pociągnęło za sobą nieoczekiwaną lawinę wydarzeń, przybysze bowiem poradzili sobie co prawda z Piktami, wyczuli jednak równocześnie słabość tubylców i poczęli ściągać z kontynentu najpierw swych kompanów, a później całe rodziny. Do otwartego buntu doszło, gdy zażądali wyższego żołdu, a Brytowie nie chcieli bądź nie mogli im ustąpić. Jak prawie wiek po tych wydarzeniach pisał kronikarz Gildas, „wszystkie większe miasta padły pod ciosami wrogich taranów; padli też od błyskających mieczy i wśród szalejących płomieni wszyscy mieszkańcy – przywódcy kościelni, księża i zwykli ludzie. […] Nie było pogrzebów, ciała znalazły miejsce spoczynku w ruinach domów lub w brzuchach dzikich zwierząt i ptaków".

Rozproszony po klęsce lud zebrał wódz imieniem Ambroży Aurelian, który około 475 roku powiódł go do zwycięskiej bitwy (nie wiadomo, gdzie do niej doszło). Kolejny sukces tubylców zdarzył się w bitwie pod Mons Badonicum (ang. Badon Hill) jakąś dekadę później, a dowodzić Brytami miał król Artur. O jego postaci wspomina jednak dopiero źródło z IX wieku. Prawie że współczesny tym wydarzeniom Gildas, który – jak sam napisał – urodził się w roku tej bitwy – przemilczał niestety imiona dowódców. Czy Artur rzeczywiście istniał? Z pewnością taki, jakim opisywali go kilkaset lat później średniowieczni dziejopisarze i poeci, to jedynie wytwór literatury. Wobec rzeczywistego Artura historyk jest bezradny. „Musi on – jak napisał Christopher Snyder, badacz dziejów Brytów – przynajmniej na razie pozostać równocześnie w sferze tajemnicy i rzeczywistości".

Wspólnoty ukryte w lesie

Mimo chwilowych zwycięstw Brytowie ulegli, częściowo zepchnięci na zachodnie krańce wyspy – do Kornwalii i Walii, a częściowo zmuszeni do ucieczki na drugą stronę Kanału, gdzie założyli kolonię w galijskiej Armoryce – Bretanię. W odebranym im kraju zapanowali germańscy przybysze, których zwykło się w historiografii określać mianem Anglosasów (słowo to ma więc dziś dwa znaczenia). Pobitym Brytom najeźdźcy nadali nazwę Walijczyków, pochodzącą od germańskiego „walh", „wealh", oznaczającego obcych, posługujących się łaciną lub którymś z języków celtyckich. (Na Wschodzie słowo to zostało przejęte od Germanów przez Słowian. Polacy znają je w formach Włochy i Wołoszczyzna).

Nie ulega wątpliwości, że Anglosasi po prostu zasymilowali liczne grupy Brytów. Pozycja takich ludzi w zdominowanym przez najeźdźców społeczeństwie była bardzo niska. Istnieje wiele poszlak i dowodów na koegzystencję, która kończyła się wchłonięciem żywiołu brytońskiego przez anglosaski. Wiele mówi toponimika miejscowości star-

eprasa.pl ceedbe6b4d

szych niż podbój, nader często oparta na etymologii celtyckiej lub łacińskiej. Wymienić tu trzeba w pierwszej kolejności Londyn, ale warto też wspomnieć o całym szeregu miejscowości, zawierających w nazwie łacińskie słowo „castra", oznaczające obóz wojskowy lub fort. Pamiątką po takich miejscach stacjonowania legionów są choćby Manchester, Lancaster czy Wincester. Ktoś musiał germańskim wojownikom te nazwy przekazać! (Pragnącym innych dowodów polecam „Brytów" Ch.A. Snydera).

Gildas skomentował sytuację swego ludu słowami psalmu: „Wydałeś nas jak owce na rzeź i rozproszyłeś między poganami". Istotnie, chrześcijaństwo ocalało jedynie tam, gdzie Brytowie wciąż istnieli jako zwarte społeczeństwo. Skryte w gęstych lasach Walii katolickie wspólnoty wydały w V i VI wieku setki świętych. Żyli wówczas święta Non i jej syn, św. Dawid, patron Walii, święci Dubrycjusz i Illtud z Glamorgan, Samson z Dol, Kadok z Llancarvon, Tathana, Helena z Caernarfon i setki innych, o których świat zapomniał po katastrofie reformacji. Nad Tamizą Kościół został jednak zniszczony. Świadectwo panowania pogaństwa stanowi choćby taka błahostka, jak nazwy dni tygodnia w języku angielskim. Przeciętny Anglik jest nieświadomy tego, że umówił się do dentysty w dniu boga Thora (thursday) ani też, że jest właśnie dzień Wodana (wednesday), gdy w środowe popołudnie podczas wizyty w bibliotece przy Thurmon St. dopada go ochota na kawałek sfermentowanego twarogu i kufel ciemnego piwa.

Non Angli, sed angeli

„Non Angli, sed angeli, si forent Christiani" – „Nie będą Anglami, lecz aniołami, jeśli zostaną chrześcijanami". To właśnie rzec miał papież Grzegorz Wielki (590–604), gdy na targu niewolników w Rzymie ujrzał jasnowłosych chłopców, a zapytawszy o ich narodowość, usłyszał, że są to Anglowie. Widząc – być może po raz pierwszy – członków tego pogańskiego ludu, dostrzegł w nich dusze, które potrzebują nawrócenia, i zdecydował, że wyśle do Brytanii misję chrystianizacyjną.

Mówi się, że Cesarstwo Rzymskie na Zachodzie upadło. Jest to jednak półprawda. Prawdą jest to, co pisał Hilaire Belloc, że imperium przekształciło się w Christianitas – w krąg polityczny i kulturowy, znany dziś pod nazwą cywilizacji łacińskiej. Sto lat po tym, jak zniknęła na Zachodzie władza cesarska, cywilizacja ta nie tylko wciąż istniała, lecz także szykowała się do odbicia utraconej prowincji. Rozkaz podboju znów padł w Rzymie, a wydał go następca Cezara, który był jednocześnie następcą Rybaka. Zamiast legionistów do Brytanii popłynęli mnisi, jakby w myśl słów: „Schowaj swój miecz, Piotrze". Na ich czele stał Augustyn, opat benedyktyńskiego klasztoru św. Andrzeja w Rzymie.

Już wcześniej Opatrzność przygotowywała grunt pod chrystianizację Anglii – jeden z królów anglosaskich, Etelbert, władca Kentu, ożenił się z księżniczką Bertą z dynastii Merowingów, władców Franków. Frankowie – podobnie jak Anglosasi – również byli germańskiego pochodzenia, dotarli jednak na tereny rzymskie wcześniej niż tamci i wcześniej też – o jakieś 100 lat – przyjęli katolicyzm. Berta pokazała swemu mężowi, że chrześcijaństwo jest nie tylko religią pokonanych Brytów, lecz także – a może przede wszystkim – religią wielkich władców z kontynentu. Musiała mu opowiedzieć historię nawrócenia swego pradziada, Chlodwiga, który przyjął chrzest w zamian za zwycięstwo nad Alemanami dane przez Boga. Gdy Augustyn przybył na dwór Etelberta i przedstawił mu doktrynę Kościoła, odniósł pełen sukces. Ochrzcił króla Kentu, a jako pierwszy przywódca Kościoła angielskiego otrzymał od niego ziemię w miejscowości Canterbury.

Historia ta potoczyła się w sposób nieoczekiwany dla ówczesnych ludzi. Gildas pisząc, że jego lud rozproszył się między poganami, pewnie nie spodziewał się, że poganie ci staną się przykładnymi katolikami. On i jemu współcześni widzieli przyszłość chrześcijaństwa w Brytanii w mrocznych barwach – katastrofa, jaka ich dotknęła, zdawała się nieodwracalna. Pomylili się. Znajomy ateista powiedział mi kiedyś, że koniec Kościoła jest nieuchronny. Jego żona, obecna przy rozmowie, wyraziła przekonanie, że organizacja, mająca 2 tys. lat historii, nie zniknie po prostu ot tak, z roku na rok, a jej rozkład potrwa długo, niemniej pełna ulgi zgodziła się z tym, że upadku nie da się uniknąć. Wielu katolików ma podobne przewidywania, choć oczywiście napełniają ich one najgłębszym smutkiem. Uważają oni obecny kryzys Kościoła za coś absolutnego, czego nie da się zatrzymać. Skąd jednak ta pewność? Historia uczy pokory wobec siebie – tyle razy zaskakiwała nagłymi zwrotami akcji. Największym katalizatorem tych zwrotów akcji jest wolna wola człowieka. Tylko ona (oprócz ukrytych działań Opatrzności) determinuje dzieje świata – tworzą je czyny ludzi, takich jak św. Grzegorz Wielki, Etelbert i cała rzesza, o której nie napisano w kronikach. Gdyby w języku staroangielskim istniało słowo oznaczające determinizm historyczny, król Etelbert bez dwóch zdań zakazałby jego używania pod karą śmierci – miałby do tego największe prawo jako żywy dowód na to, że determinizm nie istnieje.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Śmierć kruka

Chrystianizacja Anglii tym się różniła od chrystianizacji Polski, że Anglosasi nie tworzyli jednego państwa i – z tego powodu – konwersja Etelberta nie oznaczała tego, co konwersja Mieszka. Przybyli na wyspę w małych grupach pod komendą wielu niezależnych wodzów, którzy stworzyli na podbitym terenie bliżej nam nieznaną liczbę niewielkich królestw. Ostatecznie wykrystalizowało się siedem państw anglosaskich, określanych zbiorczo mianem heptarchii (z greckiego heptá „siedem", arch „władza"). Potrzeba było kilkuset lat, by z tej mgławicy wyłoniła się monarchia angielska.

Kent, gdzie rządził Etelbert, był jednym z tych królestw. Córka tego władcy, Etelburga, wyszła za Edwina, pogańskiego króla Northumbrii – państwa o wiele większego niż Kent, położonego na północy ziem Anglosasów. Z Etelburgą na dwór jej męża przybył kapelan – benedyktyn imieniem Paulin, którego niegdyś Grzegorz Wielki posłał z Rzymu do Kentu jako wsparcie dla misji św. Augustyna.

Droga Edwina do wiary była dość skomplikowana (zainteresowanych nią odsyłam do „Chrześcijańskich korzeni Europy" Dumézila), ostatecznie jednak zakończyła się tym, że władca uwierzył w Chrystusa, otrzymawszy od Niego upragnionego dziedzica i zwycięstwo nad wrogiem. Nie uzależnił jednak od swego nawrócenia decyzji o chrystianizacji ludu, ale zwołał w Yorku wiec, na którym Paulin mógł przedstawić doktrynę Kościoła zebranej elicie królestwa. W czasie zgromadzenia misjonarz nie tylko wykładał dogmaty, lecz także rozkazał zabić kruka – symbol Wodana, którego pojawienie się zebrani Anglosasi uznali za ostrzeżenie ze strony ich boga. Jak komentuje to wydarzenie Bruno Dumézil, zakonnik wykazał tym samym, „że zwierzę, które nie potrafi przewidzieć własnej śmierci, nie może dysponować zdolnościami profetycznymi".

Dzięki św. Bedzie, którego kronika jest jednym z podstawowych źródeł opisujących wiec, powstałym, gdy wciąż żyli jego świadkowie, wiadomo, że wielki udział w nawróceniu Northumbrii miał najwyższy z pogańskich kapłanów, imieniem Coifi. Żywo zainteresowany wykładem Paulina i zadający wiele pytań, przyjął jego argumentację i uwierzył w Chrystusa, a o szczerości jego konwersji świadczy to, że choć do stracenia miał najwięcej, zdecydował się wszystko to poświęcić – własnoręcznie zniszczył główną pogańską świątynię. Coifi stał się odległą zapowiedzią przyszłych konwersji Anglików z XIX i XX wieku, w których kluczową rolę odegra – naturalnie oprócz łaski Bożej – rozum. Przetarł szlak św. Janowi Henrykowi Newmanowi, ks. Bensonowi, G.K. Chestertonowi i wielu innym.

Pamiętnego roku 627 Paulin ochrzcił w Yorku króla Edwina i elity jego królestwa na czele z Coifim. Katolicka Anglia, która wówczas się rodziła, trwać miała przez prawie tysiąc lat, dopóki – jak powiedział kard. Manning, jeden z wielkich konwertytów XIX wieku – jej ludowi nie skradziono jego religii. Postać kard. Manninga sama w sobie jest jednak dowodem na to, że nawet wtedy, w czasach Tudorów, katolicyzm nie wycofał się z Brytanii na zawsze. Dziś kościoły anglikańskie, z których wież powiewają smutno tęczowe flagi, świecą pustkami, za to oratoria w Birmingham i Oxfordzie, gdzie odprawia się tradycyjna, łacińska Msza, pękają w szwach. Przyszła historia Anglii i świata jest nieustalona – czeka nas wiele miłych niespodzianek.

Walijski epilog

Choć oba kraje przez całe wieki łączyła religia i przynależność do tej samej, łacińskiej cywilizacji, mijający czas nie goił ran – wprost przeciwnie. Anglicy ostatecznie podbili Walię, naród walijski jednak przetrwał, a nieustanne zagrożenie ze strony Londynu i poczucie osaczenia paradoksalnie pomogły rozkwitnąć jego kulturze, która wobec utraty państwowości stała się ostoją walijskości – coś podobnego miało miejsce w Polsce pod zaborami. W XII wieku poeta Hywel ab Owain Gwynedd pisał: „Kocham to, czego nienawidzą Anglicy".

Nie wszyscy jednak Walijczycy nienawidzą Anglii, nie każdy też Anglik pogardza swymi zachodnimi sąsiadami. J.R.R. Tolkien jeszcze jako dziecko zafascynował się językiem walijskim, tak różnym od angielskiego. Pociągnęło go jego piękno. Początkowo nie wiedział nawet, co to za język – widywał po prostu na wagonach z węglem egzotycznie brzmiące napisy, takie jak Nantyglo, Senghennydd, Blaen-Rhondda, Penrhiwceiber, Tredegar… Lata później, będąc wielkim filologiem, Tolkien wiedział już, że nieuświadomiony zachwyt językiem walijskim jest częsty wśród Anglików. Jakże mogłoby być inaczej, skoro przed wiekami Anglosasi zasymilowali tak duże grupy Brytów, a to oznacza, że wraz z krwią wchłonęli ogrom brytońskiej tradycji, kultury, pamięci i tęsknot. Z tego powodu – pisał Tolkien – walijski „jest to nasz [tj. Anglików] przyrodzony język, do którego pragniemy powrócić w półświadomych pragnieniach". Być może na fundamencie tego odkrycia da się zbudować trwałe pojednanie obu nacji. W 1958 roku wyznał Tolkien: „Kocham Walię […], a szczególnie język walijski". ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Tomasz Łysiak

Zostawcie to Polakom!

Hiszpańscy archeolodzy odkopali w zamku Buitrago del Lozoya szczątki 38 żołnierzy napoleońskich. Fragmenty ich umundurowania sugerują, że mogli to być uczestnicy bitwy pod Somosierrą z 30 listopada 1808 roku. Czy są wśród nich polscy szwoleżerowie, którzy słynną szarżą wywalczyli dla Napoleona zwycięstwo? Somosierra weszła do polskiego imaginarium narodowego – wizja 3. szwadronu zdobywającego hiszpańskie armaty zadomowiła się w sercach i duszach Polaków poprzez dzieła literatury i malarstwa.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl ceedbe6b4d

W czasie drugiego ataku 2. Korpusu Polskiego na pozycje niemieckie wokół Monte Cassino (17/18 maja 1944 roku) w polskiej bazie, w Campobasso, po raz pierwszy zabrzmiała pieśń „Czerwone maki". Autorem słów był Feliks Konarski. Jedna ze zwrotek tej pieśni odnosiła się do dwóch słynnych szarż z polskich dziejów – „Runęli przez ogień straceńcy,/ Nie jeden z nich dostał i padł…/ Jak ci, z Samosierry, szaleńcy,/ Jak ci, spod Rokitny, sprzed lat!". Konarski zrobił tu niechcący, dość pospolity jeszcze przed wojną, błąd, pisząc „Samosierra", a nie „Somosierra", ale najważniejszą sprawą jest to, że użył najbardziej rozpoznawalnych dla pokolenia przedwojennego historyczno-kulturowych nawiązań. Rokitna – szarża 2. szwadronu II Brygady Legionów – była wymieniana jednym tchem przez każdego ucznia szkoły w dwudziestoleciu międzywojennym, wraz z Wiedniem i Somosierrą właśnie, jako przykład ataku kawaleryjskiego o pewnej wyjątkowej, iście polskiej właściwości.

Rosyjskie okopy i hiszpańskie baterie

Notabene istniały faktycznie pewne podobieństwa między szarżą z 30 listopada 1808 roku w Hiszpanii a tą z 13 czerwca 1915 roku na pograniczu Besarabii i Bukowiny. Polscy ułani z 2. szwadronu legionowego do paradnych mundurów nosili czapki anachroniczne już wtedy, lecz wzorowane na tych z epoki napoleońskiej – miało to być bezpośrednie nawiązanie do legendy szwoleżerskiej spod Somosierry. Pod Rokitną ułani losowali między sobą, kto ma wykonać atak na cztery umocnione linie rosyjskich okopów i rowów strzeleckich. Wygrał szwadron drugi. Rotmistrz Dunin-Wąsowicz przed przekroczeniem rzeczki uniósł się w strzemionach i palnął krótką przemowę, w której odwołał się do Wiednia i Somosierry. Żołnierze poszli do ataku i zdobyli w istocie rosyjskie cztery okopy, tak jak wiek wcześniej szwoleżerowie napoleońscy – cztery z rzędu baterie hiszpańskich armat. Teren bitwy był pagórkowaty, ale nie były to góry, jak w Hiszpanii. Choć przypomnieć tu trzeba, że Somosierra wcale nie była szarżą we wnętrzu skalistego, najeżonego turniami wąwozu, tak jak go przedstawiali niektórzy malarze. Wokół owego ukształtowania terenu, jak i innych spraw dotyczących Polaków szarżujących hiszpańskie baterie, narosło wiele mitów. Jak choćby ten dotyczący dowodzenia szarżą, które leżało w początkowej fazie, owszem, w rękach pułkownika Jana Kozietulskiego, ale szybko się to zmieniło, gdyż na pierwszej baterii padł koń pułkownika. Zacznijmy jednak od ukształtowania terenu, a także od słowa „wąwóz", które może całkowicie wprowadzać w błąd.

Kossak ogląda teren bitwy

W listopadzie 1808 roku wojska Napoleona zmierzały w stronę Madrytu od strony północnej, od Burgos. Bonaparte wybrał drogę najkrótszą, przez góry Sierra Guadarrama i wieś Somosierra. W okolicach wsi zaczynała się przełęcz górska, przejście określane przez Francuzów słowem defilé – czyli taki szlak, którym można poruszać się po jakimś jednym wytyczonym torze. Tutaj stanowiła go droga idąca z północy na południe w stronę gór i wioski. Po obu stronach, owszem, znajdowały się zbocza górskie, lecz opadały one nie tak gwałtownie, jak to widać na przykład na słynnym obrazie Januarego Suchodolskiego. Przeszkodę stanowiły raczej nierówności terenu ukryte pod trawami, głazy, koryta wyschłych strumyków, kolczaste krzewy, nagłe doły i uskoki kamieniste: teren trudny do poruszania się dla piechoty, a co dopiero dla kawalerzystów. Najlepiej pasowałoby więc tutaj nie słowo „wąwóz", lecz „przesmyk" – które proponują w jednej z nowszych monografii Somosierry Jan Laske i Rafał Małowiecki.

Pod koniec XIX wieku na miejsce bitwy wybrał się, szykujący się do malowania szarży, Wojciech Kossak. Pisał o wątpliwościach dotyczących słowa „defilé" tłumaczonego jako „wąwóz", a w swoich pełnych emocji wspomnieniach z wyprawy porównał hiszpański teren bitwy (by polski czytelnik łatwiej mógł sobie go wyobrazić) do Doliny Kościeliskiej w Tatrach. „Formacja gór mniej dzika od tatrzańskiej – pisał – za to jodeł i świerków nie ma wcale, tylko kępki limby, góry zawalone głazami, jałowe, jak Czerwone Wierchy". Drogę idącą do Somosierry przyrównał do tej idącej do Kuźnic, wskazując, że od wejścia do wąwozu do szczytu siodła są cztery kilometry. Gdy ją widział, zamknięta była po obu stronach murkami kamiennymi, i być może takie murki okalały ją w czasie szarży szwoleżerskiej…

Wyprawa Kossaka zaowocowała szkicami i świetnymi obrazami, które teren pokazują o wiele lepiej niż inne malarskie wersje. Przeszedł on drogą, którą atakowali w 1808 roku polscy szwoleżerowie, szukając po kolei miejsc, w których rozgrywały się najważniejsze wydarzenia, zakrętów, na których stały kolejne baterie. Podobnie czynili potem historycy i badacze bitwy. Robert Bielecki, znakomity autor książek o historii 1. pułku szwoleżerów, także dokonywał osobiście takich oględzin. „Ocalały na wielu odcinkach kamienne ciosy, wkopane w ziemię, ograniczające szerokość drogi i zabezpieczające wozy przed runięciem do urwiska – pisał. – Dzięki temu właśnie moż-

eprasa.pl ceedbe6b4d

na zorientować się, że w 1808 roku droga była wąska – w najszerszym miejscu miała sześć metrów".

Bitwa zaczęła się we mgle

Te wszystkie trudności terenowe postanowił wykorzystać dowodzący obroną hiszpańską gen. Benito de San Juan. Miał on do dyspozycji słabe, liczące zapewne około 8 tys. ludzi oddziały hiszpańskie, a także maksymalnie 16 dział (choć ich liczba nie jest pewna). San Juan ustawił je tak, by miały najlepsze pole rażenia – na zakrętach drogi czy też (jak w przypadku ostatniej, najsilniejszej baterii, kilkaset metrów przed wioską) w miejscach, skąd najłatwiej można by strzelać. Każda bateria, chroniona koszami z ziemią, miała znakomite pole ostrzału wzdłuż drogi. Do tego piechota czekała ukryta dobrze za głazami i murkami okalającymi pastwiska.

Bitwa zaczęła się o świcie 30 listopada 1808 roku. Początkowo rozpoznania dokonał francuski pułk strzelców konnych, zaczęto ostrzał artyleryjski z dwóch dział. Jednak oddział szaserów został odegnany ogniem z pierwszej baterii i cofnął się za rów przegradzający drogę. Na szczęście ziemię spowijała gęsta mgła, która kryła wojska napoleońskie przed ogniem nieprzyjaciela. Francuska piechota ruszyła do przodu, lecz także ona musiała się wycofać. Mgła się podniosła, co umożliwiło atak kawalerii.

Wbrew pozorom szarża kawaleryjska na armaty nie stanowi (jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka) „szaleństwa", które często jest przypisywane podobnym operacjom. Jest na odwrót. Piechota posuwa się wolno, jest zatem narażona na największe straty. Jeźdźcy natomiast korzystają z prędkości, i nawet przy stosunkowo dużych stratach (jak na swoje oddziały), są w stanie w dynamiczny sposób zdobywać kolejne pozycje artyleryjskie. Na zasięgnięcie języka (czyli zdobycie jeńca) ruszył Niegolewski ze swoim plutonem. W tym czasie Napoleon, rozsierdzony wycofywaniem się oddziałów piechoty, rozkazał dowódcy straży przedniej, gen. Louisowi Montbrunowi, by przeprowadził uderzenie za pomocą polskiego „szwadronu służbowego". „Laissez faire aux Polonais!" („Zostawcie to Polakom") – rzucił cesarz do swego adiutanta, majora Filipa de Ségura. Tym szwadronem oddanym cesarzowi z 1. pułku był szwadron trzeci, dowodzony tymczasowo przez pułkownika Kozietulskiego. Składał się z dwóch kompanii, trzeciej i siódmej, i to one wykonały słynną szarżę. Nie dowodził nią rzecz jasna Montbrun, jak chciał dziejopis francuski Adolphe Thiers, bazujący na biuletynie armijnym. Czym innym wydanie rozkazu, a czym innym dowodzenie szarżą. Pisał o tym w swoich pamiętnikach szwoleżer Józef Załuski, kontrując wersję Francuza.

Cesarz patrzy

Atak rozpoczął się od okrzyku Kozietulskiego: „Naprzód! Niech żyje cesarz!" (choć według niektórych przekazów słowa miały brzmieć „Naprzód, psiekrwie, cesarz patrzy!", a wedle innych adiutant zawołał jedynie: „Lekka jazda kłusem! Puszczamy się kłusem!"). Szwoleżerowie ruszyli… Było ich nie więcej niż stu dwudziestu. Szarżowali w kolejnych grupach, po czterech w rzędzie. Gdy zbliżali się do pierwszej baterii, Hiszpanie wystrzelili salwę. Z kwikiem i jękiem padały na ziemię pierwsze konie. Także Kozietulski stracił konia, więc dowodzenie przejęli kapitanowie Jan Dziewanowski i Piotr Krasiński. I tu należy postawić kolejne ważne pytanie – co działo się dalej? Gdyż spory dotyczą (i dotyczyły) nie tylko tego, kto zdobył i kto kierował szarżą w momencie ataku na ostatnią, czwartą baterię (Niegolewski? Łubieński?). O to spierali się sami weterani, jeden drugiemu zarzucał przypisywanie sobie zasług. Chodzi również o to, czy mieliśmy do czynienia z jedną szarżą, czy z ponawianymi po sobie trzema kolejnymi natarciami. Spór toczył się w tej sprawie również między Polakami i Francuzami. Oto Tomasz Łubieński, dowódca 1. Szwadronu, przekonywał, że to on wykonał trzecie, decydujące natarcie (w liście do żony z 30 listopada pisał: „Możemy się pochwalić, że rozstrzygnęliśmy los tej bitwy za trzecim, raz po raz, uderzeniem na wroga"). Niezależnie od wszystkiego – Polacy dokonali rzeczy niesamowitej. Przelecieli po umocnionych pozycjach hiszpańskich jak huragan (taki tytuł dał zresztą swej powieści z czasów napoleońskich Wacław Gąsiorowski).

Cześć najdzielniejszym z dzielnych!

Zginął Krzyżanowski. Dziewanowski został ciężko ranny – kula armatnia urwała mu nogę. Zmarł kilka dni po bitwie. Na ostatnim fragmencie drogi objął dowodzenie Niegolewski – strzelali do niego piechurzy hiszpańscy. Gdy upadł ranny, podbiegli do niego i kłuli go bagnetami. Na czwartej baterii, jako ostatni, zginął rotmistrz Wiktor Roman. Ciężko poraniony Niegolewski sądził, że umiera. Kiedy pochylił się nad nim dowódca jazdy gwardii marszałek Jean-Baptiste Bessières, wyszeptał: „Monseigneur, umieram, oto armaty, które zdobyłem. Powiedz o tym cesarzowi!". Na szczęście przeżył. Polskie straty wyniosły 57 ludzi, w tym 22 poległych. 1 grudnia pułk szwoleżerów stanął w szyku bojowym przed Napoleonem. Korsykanin zdjął kapelusz i zawołał: „Honneur aux braves des braves!" („Cześć najdzielniejszym z dzielnych!"). Somosierra zapisała się zaś na wieki w sercach dumnych Polaków. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

Piotr Lisiewicz

Gdy myślimy o współpracy obozu niepodległościowego w Polsce z administracją Donalda Trumpa, poniższy artykuł może dać nam wiele do myślenia. 11 stycznia 1917 roku Ignacy Jan Paderewski w Memoriale przekazanym prezydentowi Stanów Zjednoczonych Thomasowi Woodrowowi Wilsonowi przedstawił koncepcję utworzenia Stanów Zjednoczonych Polski. Polska miała zostać odbudowana jako państwo federacyjne, w skład którego miały wejść Królestwo Polski, Królestwo Litwy, Królestwo Polesia, Królestwo Galicji-Podola oraz Królestwo Wołynia. Idea Stanów Zjednoczonych Polski nie została zrealizowana, jednak wpłynęła na poglądy prezydenta Wilsona w sprawie odtworzenia państwa polskiego. 8 stycznia 1918 roku w orędziu do Kongresu Wilson przedstawił program pokojowy zapamiętany jako „Czternaście punktów Wilsona". Trzynasty z nich mówił o utworzeniu niepodległego państwa polskiego. Jakimi metodami działał Paderewski? Jak użył Ameryki do wywarcia nacisku na państwa europejskie? Poniżej przedruk fragmentów artykułu, jaki ukazał się w szczególnym piśmie i w szczególnych okolicznościach. Mianowicie w 1941 roku w dodatku „Ku wolnej Polsce" do czasopisma „Polska", wydawanego dla Polaków z armii Andersa na Bliskim Wschodzie. W ówczesnych warunkach rozegranie sprawy polskiej w stylu Paderewskiego było za trudne. A jak będzie dziś?

Paderewski. Gra z Ameryką w imię niepodległości Polski

Nigdy w dziejach Stanów Zjednoczonych Polska nie była tak znana, jak w czasie Wojny światowej dzięki wysiłkom Paderewskiego. Jednym z najznakomitszych posunięć Paderewskiego było nawiązanie kontaktu osobistego z prezydentem Woodrowem Wilsonem. Znajomość ta przekształciła się wkrótce w przyjaźń, której Polska, jak i cała Europa, zawdzięczają bardzo wiele.

Muzyka i polityka – to dwie z gruntu sprzeczne, diametralnie odległe sfery działalności ludzkiej. Usiłowanie zharmonizowania antynomii istniejących między tymi dwiema dziedzinami to zasadnicza treść życia Ignacego Jana Paderewskiego. Jeżeli ten wielki Polak zdołał, stąpając po grudach i wykrotach polskiej rzeczywistości, pogodzić cele sztuki i polityki, to wyłącznym czynnikiem, który umożliwił mu osiągnięcie tego celu, był niezłomny patriotyzm, cechujący każde jego poczynanie.

Jako wirtuoz fortepianu, Paderewski rozniósł sławę polskiego imienia po obu półkulach i nawiązał stosunki zażyłej przyjaźni z wpływowymi czynnikami świata politycznego i intelektualnego. Królowie wstawali z swych miejsc, gdy Paderewski wchodził na estradę ministrowie, artyści i potentaci świata gospodarczego ubiegali się, by zechciał przyjąć ich zaproszenie. Było to doskonałe przygotowanie terenu do działalności politycznej, gdyż zadzierzgnięte w ten sposób stosunki otwierały mu niejednokrotnie drzwi, zamknięte dla zawodowych polityków i dyplomatów […]

Jego nazwisko synonimem Polski

Wybuch wojny w 1914 roku zastał Paderewskiego w Szwajcarii. Dom jego w Riond Bosson użyczał gościnnego przytułku wielu polskim uchodźcom i działaczom. Gospodarz tego domu był głęboko przekonany, że wybiła godzina wyzwolenia Polski z okowów niewoli, i w służbę tego ideału oddał wszystkie swe siły i środki. Nawiązawszy bliższy

eprasa.pl ceedbe6b4d

kontakt z Komitetem Narodowym, który pod kierunkiem Romana Dmowskiego reprezentował orientację pro-aliancką. Objął w 1917 roku funkcję delegata Komitetu na Stany Zjednoczone Ameryki. Tytuł oficjalnego delegata Komitetu był jednak sam przez się niczym, natomiast osoba Paderewskiego – wszystkim. Trudno było o lepszego rzecznika sprawy polskiej w Ameryce, gdzie Paderewski był jednym z najpopularniejszych ludzi i miał osobistych przyjaciół wśród najwyższych osobistości. Nazwisko Paderewskiego stało się dla społeczeństwa amerykańskiego synonimem Polski. Nigdy w dziejach Stanów Zjednoczonych Polska nie była tak znana, jak w czasie Wojny światowej dzięki wysiłkom Paderewskiego. Jednym najznakomitszych posunięć Paderewskiego było nawiązanie kontaktu osobistego z prezydentem Woodrowem Wilsonem. Znajomość ta przekształciła się wkrótce w przyjaźń, której Polska, jak i cała Europa, zawdzięczają bardzo wiele. Człowiekiem, który wprowadził Paderewskiego do Białego Domu, był najbliższy przyjaciel prezydenta, pułkownik Edward Mundell House. Już po pierwszej rozmowie Paderewski uzyskał sobie przychylność House'a, który spotkanie to zakończył słowami: „Przekonał mnie pan i może być pan pewien, że będę mógł to zrobić. Pewien jestem, że będę panu pomocny". Słów tych pułkownik House w całości dotrzymał zarówno wobec Paderewskiego, jak i Polski.

Z początkiem 1917 roku Paderewski opracował na wezwanie pułkownika House'a memorandum w sprawie polskiej, które stało się podstawą do deklaracji Wilsona z 22-go stycznia 1917 r. Było to pierwsze po stu z górą latach oświadczenie oficjalne kierowniczego męża stanu o potrzebie nowej Polski. „Wszędzie – brzmiało ono – mężowie stanu są zgodni, że będzie Polska zjednoczona, niepodległa i niezależna".

Była to zapowiedź słynnych Czternastu Punktów, ogłoszonych 8-go stycznia 1918, wśród których w Punkcie Trzynastym sformułowany był postulat niepodległej Polski z swobodnym i bezpiecznym dostępem do morza. Wilson stał się gorącym rzecznikiem sprawy polskiej dzięki argumentacji Paderewskiego, który go przekonał nie tylko o politycznej, ale i etycznej konieczności wyzwolenia Polski. Purytańska umysłowość Wilsona była takim argumentom specjalnie dostępna. Raz przekonany, Wilson uczynił z Punktu Trzynastego artykuł swej wiary.

▶ Dwie strony nie mogły istnieć jedna bez drugiej

Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Paderewski nie zaniedbał wysiłku na odcinku wojskowym. Powstały dwa polskie obozy wojskowe […] Chociaż naczelny wódz amerykańskich sił zbrojnych generał Pershing był przeciwny utworzeniu autonomicznej armii polskiej, Paderewski przeforsował swój program dzięki poparciu ministra wojny Newtona Hakera, który był jego osobistym przyjacielem. Tym sposobem można było armię generała Józefa Hallera zasilić ochotnikami amerykańskimi, a tym, który ułatwił transport tych oddziałów do Europy, był nie kto inny, jak ówczesny wiceminister marynarki, a przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, Franklin Delano Roosevelt.

Gdy listopad 1918 roku przyniósł zawieszenie broni, Paderewski uznał, że misja jego w Ameryce jest ukończona i nadszedł czas powrotu do oswobodzonej ojczyzny. W drodze do Kraju zatrzymuje się w Paryżu i Londynie, by odbyć narady, zarówno z członkami Komitetu Narodowego, jak i z stojącymi u steru rządów Francji i Anglii. Wspólnie z Romanem Dmowskim opracowuje memorandum, definiujące stanowisko polskie wobec zbliżającej się Konferencji Pokojowej. W toku rozmowy z angielskim ministrem spraw zagranicznych, Arturem Balfourem, z którym łączyła go dawna znajomość, dowiaduje się, że „koniunktura dla Polski jest teraz szczęśliwa i jednocześnie bardzo niepomyślna". Wszyscy zgadzają się na niepodległą Polskę, ale rząd J. K. Mości nie uznał ani Komitetu Narodowego, ani rządu pod przewodnictwem Jędrzeja Moraczewskiego powołanego przez Józefa Piłsudskiego – za odpowiedzialne przedstawicielstwo odrodzonego de facto Państwa Polskiego. Żywotny interes Polski wymagał, aby była reprezentowana, i to mocno reprezentowana na Konferencji Pokojowej, która miała decydować o jej losach. Termin Konferencji zaś zbliżał się, a Polska nie była uznana de iure za suwerenne państwo. Piłsudski miał Kraj w ręku i przez przeważającą część społeczeństwa był uznany za wodza narodu. Komitet Narodowy miał zaś poparcie Aliantów. Te dwie strony nie mogły istnieć jedna bez drugiej. Paderewski wyczuł powagę sytuacji i podjął się ciężkiej i odpowiedzialnej roli parlamentariusza, który miał przerzucić most porozumienia między Krajem a jego nieoficjalnym przedstawicielstwem w Paryżu, między rządom warszawskim a Komitetem Narodowym, między Józefem Piłsudskim a Romanem Dmowskim.

▶ Przed Paderewskim stało trudne zadanie

[…] Generał Szeptycki zaproponował Paderewskiemu w imieniu Naczelnika Państwa utworzenie gabinetu. Paderewski przyjął powierzoną mu misję i w utworzonym gabinecie objął stanowisko premiera i ministra spraw zagranicznych, będącego równocze-

eprasa.pl ceedbe6b4d

śnie pierwszym delegatem Polski na Konferencję Pokojową. Nominacja Paderewskiego wywołała bezzwłoczny, a zbawienny skutek w stosunkach Polski z zagranicą. Wielka Brytania, Francja, Stany Zjednoczone i Włochy uznały wkrótce odrodzone państwo i jego rząd. Inne państwa poszły niedługo za przykładam mocarstw.

Przed nowo mianowanym Premierem piętrzyły się zagadnienia, przygniatające swoim rozmiarem i ciężarem. Trzeba było kłaść zręby pod egzekutywę i ustawodawstwo, powołać do życia Sejm Ustawodawczy, spośród przedstawicieli społeczeństwa, które zatraciło tradycję własnego życia politycznego, tworzyć armię, leczyć rany kraju wyniszczonego czteroletnią wojną i okupacją, a równocześnie opracować i uzgodnić postulaty wobec Konferencji Pokojowej.

Były to zadania na miarę Tytana, przerastające normalne możliwości ludzkie, a narodowa skłonność do łatwej krytyki rzucała dalsze grudy pod nogi premiera-artysty. W dniu 6 kwietnia 1919 r. zjawił się Paderewski w Paryżu w charakterze pierwszego delegata Polski. Sytuacja nie była dla nas zbyt korzystna. Dmowski przedstawił sprawę polską, żądając przyznania Polsce ziem z większością polską, Gdańska i szerokiego pasa Kresów wschodnich. Wilson i Clemenceau skłaniali się do przyjęcia tych postulatów, natomiast Lloyd George kategorycznie oponował – czy to z racji politycznych, czy też z powodu osobistej niechęci do Dmowskiego. Przed Paderewskim stało trudne zadanie wznowienia pertraktacji co do wielu – zdawałoby się – już przesądzonych zagadnień kwestii polskiej. Jego wpływ osobisty mógł zadecydować i zadecydował też o takim czy innym rozwiązaniu szeregu problematów. Przeszedłszy do przekonania, że w przepełnionej zakulisowymi intrygami atmosferze Konferencji Pokojowej stosunki oficjalne i argumenty prawne nie na wiele się zdadzą, postanowił zwrócić się przede wszystkim do Clemenceau, który jako przewodniczący Konferencji Pokojowej wywierał na jej bieg ogromny wpływ. W pierwszej już z nim rozmowie zdołał Paderewski stopić lody, jakie wytworzyły się dookoła imienia Polski.

Wilson, którego wiara w ideały ludzkości przeradzała się wśród targów paryskich w stopniową rezygnację, zapewnił polskie go premiera, że jego stosunek do Punktu Trzynastego nie uległ zmianie. Nawet Lloyd George nie oparł się osobistemu urokowi Paderewskiego i choć często nadal oponował, przyjął stanowisko bardziej pojednawcze. Paderewski mając dostęp do Clemenceau, Foch'a, Wilsona, House'a, Balfoura i innych mężów stanu, spotykał się z nimi poza salami obrad i niezależnie od rokowań w sprawach polskich. Wielu z wybitnych polityków zawodowych pytało nieraz Paderewskiego o zdanie i zabiegało o jego interwencję. Nawet „stary tygrys" Clemenceau prosił go czasem, by nieoficjalnie wytłumaczył amerykańskiej delegacji francuski punkt widzenia, a Wilson używał go również za mediatora w stosunku do innych uczestników Konferencji. Wszystko to sprawiło, że po paru tygodniach wytężonych zabiegów nikt z przedstawicieli mniejszych państw prócz jednego Venizelosa nie cieszył się takim autorytetem jak Paderewski.

Fakt odrodzenia Ojczyzny

W wiele lat po zawarciu Traktatu Wersalskiego pułkownik House ocenił rolę Paderewskiego w następujących słowach: „Na ogół uważano przybycie Paderewskiego do Paryża za niedorzeczne, chętniej widziano by go na estradzie, niż przy stole obrad nad urządzaniem skłóconego i zrujnowanego świata. Do czasu, kiedy opuszczał Paryż, zdanie o nim radykalnie się zmieniło, wszyscy koledzy cenili go, jako prawdziwego męża stanu, jako nieporównanego mówcę, i wiedzieli, że zna lepiej historię Europy od najbardziej wyrobionego polityka z ich grona. Gdyby reprezentował wielkie mocarstwo, stałby się niezawodnie jednym z potentatów których postanowienia figurują w Traktacie Wersalskim. Ale i swoją rolę odegrał szlachetnie, dając światu przykład patriotyzmu i odwagi...".

W innym miejscu House mówi: „Paderewski w Paryżu był jednym z niewielu, szerzej na świat patrzących, niżli z punktu widzenia interesów narodowych. Walcząc o Polskę i jej potrzeby, tak zrozumiane, by mogła stać się silnym państwem, walczył jednocześnie o Europę, by mogła żyć w pokoju... Gdyby rady Paderewskiego zostały wprowadzone w czyn przez czynniki decydujące, zapewniłyby mocniejszy, pewniejszy pokój nie tylko Polsce, ale całemu kontynentowi Europy. Patrzył jasno na świat i na daleką metę, mając odwagę zwalczania opinii publicznej we własnym kraju i w obcych krajach".

Dzień 28-y czerwca 1919 był niewątpliwie jednym z najpiękniejszych w życiu Paderewskiego. W stylowym pałacu Wersalskim nastąpiło podpisanie Traktatu Pokoju. Gdy premier i minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej zbliżył się do stołu, by złożyć podpis na oryginale Traktatu, zerwała się burza oklasków. Na oczach przedstawicieli całego świata wielki patriota umocnił swoim podpisem fakt odrodzenia Ojczyzny.

M.L.L.

Tytuł oryginału: „Paderewski jako mąż stanu", przedruk za: „Ku wolnej Polsce", 157 (263), 2 lipca 1941.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl ceedbe6b4d

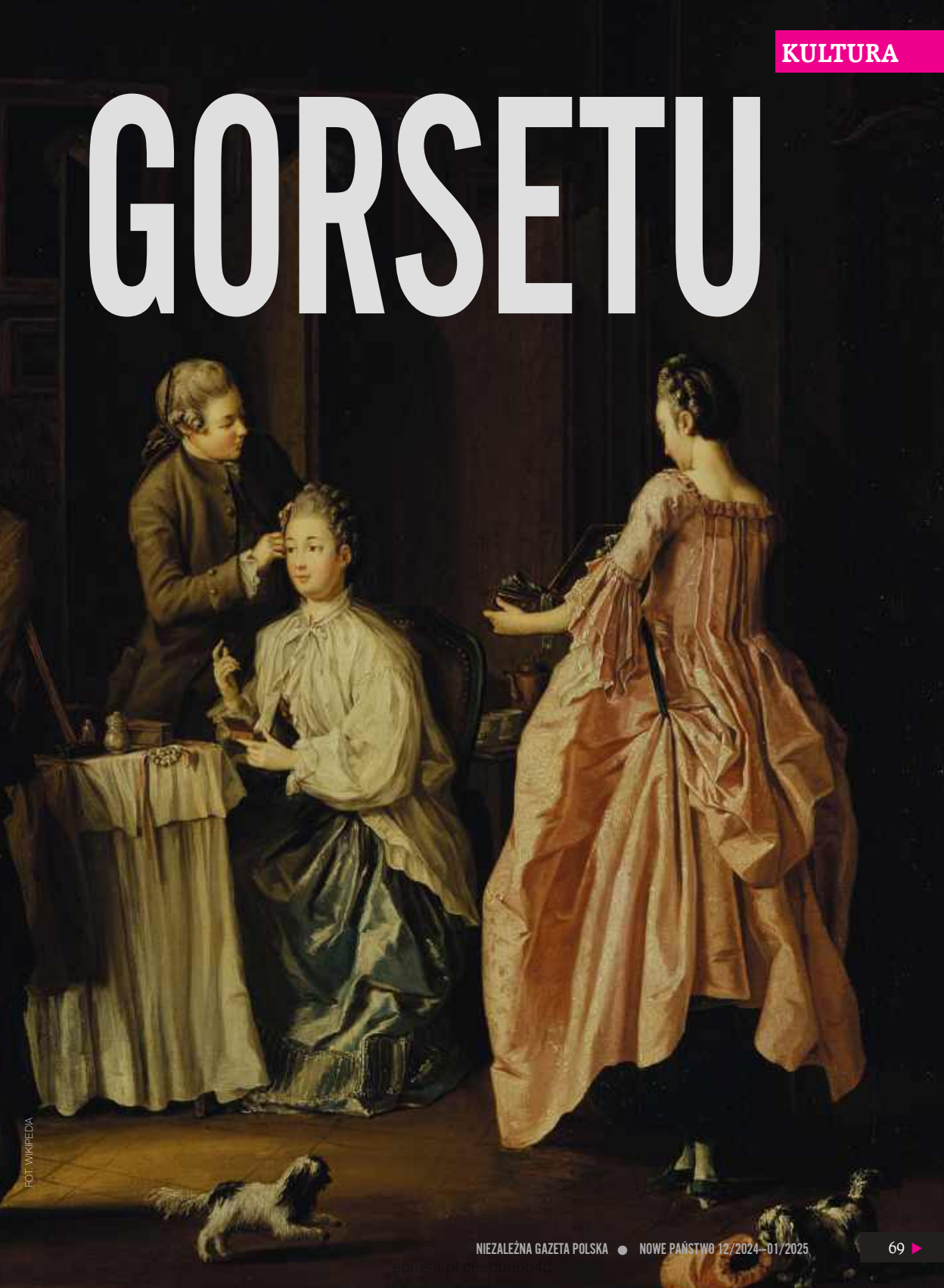
W uścisku

Łukasz Czarnecki



Epoka wiktoriańska nieodmiennie budzi fascynację ludzi XXI wieku. Jedni postrzegają ją jako czas elegancji, rozwoju nauki i wielkiej literatury, dla innych to era wyzysku człowieka przez człowieka, kiedy jednostka niemającą szczęścia urodzić się w bogatej rodzinie wiodła nędzną egzystencję jako trybik wielkiej maszyny rewolucji przemysłowej. Prawda jak zwykle leży pośrodku. Pod wieloma względami ówczesne społeczeństwo było z naszego punktu widzenia przerażające. Nie powinniśmy go jednak demonizować, podobnie jak wystrzegać się musimy romantycznego patrzenia na wiek XIX przez różowe okulary. Nasi przodkowie byli po prostu inni niż my, a jak słusznie zauważył pewien historyk, do ludzi z przeszłości należy podchodzić niczym do przedstawicieli egzotycznych kultur. Żyli w określonych realiach i to one kształtowały ich sposób myślenia i postępowania.

GORSETU



FOT. WIKIPEDIA

Nasza dzisiejsza opowieść dotyczyć będzie jednego z najbardziej zmitologizowanych aspektów ery wiktoriańskiej – życia ówczesnych kobiet. Jest to temat rzeka, wywołujący przy tym skrajne emocje. Dla setek tysięcy rozsianych po świecie czytelniczek romansów czasy, gdy Wielka Brytania rządziła światem, kojarzą się z pięknymi sukniami, uroczystymi balami i rycerskimi dżentelmenami starającymi się o względy swoich wybranek. Dla pań stroniących od tego typu literatury XIX wiek to epoka sztywnych gorsetów, które, jak przekonują nas od czasów „Przeminęło z wiatrem" filmy historyczne, dosłownie miażdżyły kobiece wnętrzności. Aktorki grające w każdej produkcji o akcji osadzonej w tamtych czasach, wędrując w ramach promocji po telewizjach śniadaniowych, opowiadają przerażonym gospodarzom tychże, jak straszliwe męki cierpiały, wtłaczając się w gorsety. Jak jednak było naprawdę? Nie damy tu rady odpowiedzieć na wszystkie pytania i wątpliwości, ale postaramy się uchylić choć rąbka tajemnicy dotyczącej tego, jak wyglądały kobiece sprawy w czasach, gdy na tronie najpotężniejszego imperium w dziejach świata zasiadała królowa Wiktoria. W trakcie naszej podróży w przeszłość odwiedzimy buduar zamożnej damy z wyższej klasy średniej i przyjrzymy się kilku bardzo prozaicznym, acz bardzo ciekawym kwestiom związanym z jej życiem codziennym.

Ten straszny gorset

Na początku zmierzmy się z najstraszniejszym wedle potoczonej opinii garderobianym potworem epoki wiktoriańskiej. Mowa tu o gorsecie, rzecz jasna! W rozmowach na temat XIX wieku często ów element bielizny jest przywoływany jako koronny argument za okrucieństwem tego okresu. Każdy słyszał chyba historie o nieszczęsnych kobietach, których wnętrzności zostały zdeformowane wskutek ciasnego wiązania gorsetu, a gdzieniegdzie można się wręcz natknąć na opowiastki twierdzące, że ówczesne elegantki były w stanie usuwać sobie chirurgicznie żebra, byleby uzyskać możliwość jeszcze węższego ściśnięcia się w tali. Sęk w tym, że nikt jakoś nigdy nie potrafi (zwłaszcza w drugim przypadku) wskazać źródeł, z których czerpał tę informację. Dlatego powiedzmy sobie wprost, bardzo wiele (jeśli nie większość) tego, co wydaje się Państwu, że wiecie o gorsetach, jest nieprawdą, mitem powstałym w okresie międzywojennym, gdy młode pokolenie, które odrzuciło modę matek i babek, naigrywało się okrutnie z ubrań poprzednich generacji. Co prawda już w XIX wieku odzywały się głosy przeciwne gorsetom, tak się jednak osobliwie składa, że dochodziły one głównie od strony mężczyzn, przez większość stulecia kobiety pozostawały im wierne. Nawet sufrażystki i emancypantki nie sprzeciwiały się noszeniu tego rzekomego symbolu ucisku.

Wszyscy pamiętamy słynną scenę, gdy Scarlett O'Hara z pomocą służącej zawiązuje sobie gorset, sznurując go tak ciasno, że ostatecznie traci przytomność z braku tlenu. Mimo iż, jak zapowiedziałem, zajmować będziemy się tu raczej życiem dam z elit (do których bohaterka kultowego filmu się zaliczała), to warto mieć świadomość, że niewiasty, których los nie obdarował bogatymi ojcami lub mężami, a także czeredą gotowej na każde skinienie służby, również nosiły gorsety. Wizja, którą do głów wbiło nam Hollywood, wedle której by wtłoczyć ciało w obręb tego specyficznego elementu bielizny, potrzebna była pomoc, to przekłamanie powstałe na bazie tekstów i rysunków satyrycznych, których autorzy stosowali groteskowe wyolbrzymienia, chcąc ośmieszyć zbyt czułe na punkcie swego wyglądu elegantki. W rzeczywistości wiązanie tak ścisłe, że aż niebezpieczne do zdrowia uchodziło w czasach królowej Wiktorii za zachowanie chorobliwe – można chyba przyrównać je do zbytniej obsesji na punkcie swojej wagi, która niejedną młodą dziewczynę z XXI wieku wpędziła w poważną anoreksję.

Co do asysty, to jeśli nasza bohaterka rzeczywiście należała do klasy wyższej, mogła w czasie porannego ubierania się liczyć na pomoc pokojówki, co znacznie ułatwiało sprawę. Większość kobiet jednak radziła sobie z tym sama, przecież nawet robotnice pracujące w fabrykach nosiły gorsety, operacja ta nie była aż tak skomplikowana, jak nam usiłuje wmówić współczesna popkultura. W części modeli użyto rozwiązań znacznie ułatwiających samodzielne ubieranie się, sytuując wiązania nie na plecach, lecz z przodu ubrania, niekiedy też zastępowano je łatwiejszymi w obsłudze haczykami.

Główną częścią gorsetu były, jak wiadomo, sztywne fiszbiny wykonane zgodnie ze swą nazwą z fiszbin wielorybach lub stali. Faktem jest, że ograniczały w pewien sposób mobilność noszącej ową konstrukcje damy, jednak nie w stopniu, który uniemożliwiałby normalne życie. Żeby zaś nie było, że oto na łamach prasy o wygodzie historycznej damskiej bielizny wypowiada się mężczyzna, chciałbym podkreślić, że źródłem informacji, z którego korzystałem, zgłębiając ów temat, były dostępne na YouTube materiały filmowe nakręcone przez amerykańską kostiumolog i popularyzatorkę historii Bernadette Banner. Zainteresowanym polecam jej kanał, a zwłaszcza odcinki poświęcone gorseciarstwu. Panna Banner, która z racji skoliozy jako nastolatka nosiła

eprasa.pl ceedbe6b4d

gorset ortopedyczny, w jednym ze swych programów porównała doświadczenia okresu dorastania (w którym, jak twierdzi, gorzej się czuła, gdy musiała ów gorset zdjąć, niż gdy go nosiła) z wrażeniami, jakich dostarcza spędzenie dnia w typowym gorsecie wiktoriańskim. I jakkolwiek może wydawać się to dziwne, uznała ową część garderoby za całkiem wygodną. Dla tych, którzy czują się nieprzekonani, dodam, że do podobnych wniosków doszła nasza polska historyk ubioru i twórczyni internetowa Karolina Żebrowska, w ramach eksperymentu również przez jeden dzień nosząca gorset. Pamiętajmy, ten rodzaj bielizny zakładały na siebie także kobiety z klasy robotniczej, ciężko pracujące na swoje utrzymanie w fabrykach – ewidentnie nie przeszkadzał im on w pracy fizycznej.

Warto podkreślić jeszcze jedną kwestię ważną dla zrozumienia całości. Gorset był konstrukcją sztywną i założony na nagą skórę rzeczywiście mógłby sprawiać ogromy dyskomfort. Tyle że takiego rodzaju noszenia nikt nie praktykował! Kobieta ubierając się rankiem, najpierw zakładała na siebie rodzaj bielizny, który dziś uznalibyśmy za halkę, i dopiero na niej zapinała gorset. Na to nakładano kolejne warstwy bielizny, wieńcząc dzieło odzieniem wierzchnim.

Czas wszechobecnego brudu

Dlaczego jednak ówczesna kobieta ubierała się „na cebulkę"? Wynikało to z panujących podówczas zasad higieny, o czym za chwilę szerzej będzie mowa. A trzeba wiedzieć, że w epoce wiktoriańskiej walka o czystość (w każdym razie tę dosłowną, bo w tym stuleciu działały też w USA, Europie i na ziemiach polskich ruchy walczące także o tę moralną) była zadaniem iście heroicznym, a do tego skazanym na porażkę.

XIX stulecie to czasy nieprawdopodobnego wręcz brudu. W epokach wcześniejszych nasi przodkowie z higieną również byli często na bakier (do tego stopnia, że w XVII wieku zakochani czule iskali sobie nawzajem wszy z głów), jednak na rządy królowej Wiktorii przypadła rewolucja przemysłowa, która nadała pojęciu brudu i zanieczyszczenia środowiska siłę iście powalającą na łopatki. Właśnie wtedy nasza cywilizacja zaczęła opierać się na paliwach kopalnych, stanowiących podstawowe źródło energii służącej do napędzania wszelkiego rodzaju maszyn. Ogromne ilości węgla spalane były też w prywatnych domach i mieszkaniach celem ich ogrzania. Efekty były zatrważające, wielkie metropolie, takie jak Londyn, zasnuwała mgła toksycznych oparów, a ulice pokrywał węglowy pył.

Na tym jednak nie koniec – oprócz zanieczyszczeń z kominów na ulicach zalegały też olbrzymie sterty końskiego łajna. Samochody, jak pamiętamy, wynaleziono dopiero pod koniec epoki i wiele czasu musiało jeszcze upłynąć, zanim stały się podstawowym środkiem miejskiego transportu, w czasach panowania Wiktorii tę rolę pełniły wozy konne. Być może w Londynie żyło więcej tych pożytecznych zwierząt niż ludzi! Wyobraźmy sobie niezliczone rzesze koni ciągnących ulicami wszelkie ładunki. By mieć na to siłę, musiały sobie dobrze podjeść, a wówczas… Co ciekawe, na początku XX wieku jeden z ówczesnych uczonych, podpierając się statystyką i matematycznymi wzorami, bezsprzecznie udowodnił, że do lat 60. nowego stulecia ludzką cywilizację czeka zagłada, bowiem… utonie ona w końskim nawozie.

Problematyczne suknie

Powróćmy jednak z zanieczyszczonych wszelkimi obrzydliwościami ulic w cztery ściany mieszkania dobrze sytuowanej damy. Jakim sposobem mogła ona zachować czystość (dosłowną, nie moralną) w tych wypełnionych brudem czasach? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta – nie mogła.

Bardzo ciekawym zabytkiem epoki są noszone przez ówczesne kobiety trzewiki. Z naszego punktu widzenia przypominają one rodzaj zbroi w kształcie obuwia, ściśle przylegały do stopy, były wykonane z mocnej skóry i często miały drewnianą podeszwę. Do tego zawsze robiono je w ciemnym kolorze. Musiały tak wyglądać, biorąc pod uwagę wszystko, w co ich właścicielka mogła wdepnąć, przeszedłszy zaledwie kilka kroków od swoich drzwi.

O wiele gorzej wyglądała sprawa sukni. Gdy nasza bohaterka maszerowała ulicą, spódnica często ciągnęła się za nią po ziemi, zwłaszcza kłopotliwe było to w czasach, gdy za szczyt mody uważano treny. Jeśli natknęła się na kałuże nieczystości, których nie mogła ominąć, nie wdepnąwszy w jeszcze większe bajoro, to musiała albo zawrócić, albo przebrodzić przez obrzydliwą breję, mocząc w niej brzeg sukni. O podciągnięciu spódnicy nie mogło być mowy, takie ekstrawagancje robiły tylko aktorki w teatrach i prostytutki, przecież dama ukazałaby kostkę, a nie dajcie bogowie – łydkę! Wybuchłby skandal towarzyski, a nieszczęsna kobieta byłaby skończona. W tej sytuacji panie wymyślały różne sprytne sposoby chronienia swoich kreacji przed zabrudzeniem. Ciekawy wynalazek to zamiatarka, dół sukni obszywano specjalną warstwą frędzli, które miały chronić materiał od bezpośredniego kontaktu z ulicą.

eprasa.pl ceedbe6b4d

No dobrze, a dlaczego żadnej z tych wielkich dam nie przyszło do głowy, żeby po prostu uprać ubrudzone ubranie? Powód jest bardzo prosty – ówczesny damski ubiór wierzchni był tak skomplikowanej budowy, że wypranie go przy pomocy wiktoriańskich metod czyszczenia odzienia było po prostu niemożliwe. Wszystko, co dziś robią za nas pralki, w tamtych czasach wykonywano ręcznie i nawet przy maksymalnym ograniczeniu liczby pranych ubrań zajmowało to tyle czasu, że potrafiło trwać nawet dwa dni, angażowało wszystkich domowników i całkowicie dezorganizowało życie. Ponownie odsyłam do internetowego programu Bernadette Banner, gdzie można znaleźć materiał, w którym panna Banner robi pranie w stylu XIX wieku… Abstrahując od niedogodności związanych z pracochłonnością procesu, warto wspomnieć o jeszcze jednej ważnej kwestii – konserwacji koloru. W czasach królowej Wiktorii sztuka farbowania tkanin osiągnęła wyżyny, jakie nie śniły się nikomu w dawnych stuleciach, ale nadal daleko jej było do dzisiejszej. Przy ówczesnych technikach pralniczych, wykorzystujących substancje chemiczne, na których zakup dziś trzeba uzyskać specjalne pozwolenie, większość barwników puszczała. Jeśli więc nasza bohaterka chciała, żeby jej ulubiona suknia zachowała swą barwę, musiała zrezygnować z prania…

Sposoby na odorek

Noszenie nigdy niepranego ubrania nie brzmi zachęcająco, prawda? Jednak i na to sprytni ludzie epoki wiktoriańskiej znaleźli proste rozwiązanie. Jak pamiętamy, XIX-wieczna dama rano zakładała na gorset kilka warstw bielizny. Dlaczego to czyniła? Po to, by odgrodzić swoją suknię od bezpośredniego kontaktu z ciałem. W ten sposób pot wsiąkał w bieliznę, nie docierając do ubioru wierzchniego, dzięki czemu nie pojawiały się na nim plamy. Bieliznę prano już regularnie, starając się utrzymać ją w czystości.

Spory problem stanowił w owych czasach zapach ludzkiego ciała. Pierwszy dezodorant został wynaleziony dopiero w latach 80. XIX wieku, do tego czasu, delikatnie rzecz ujmując, w epoce panował lekki zaduch. Co tu dużo mówić, z naszego punktu widzenia poddani królowej Wiktorii i ziomkowie Stanisława Wokulskiego cuchnęli niemożebnie. Zapewne nie czuli tego tak mocno, jak poczulibyśmy naszymi wydelikaconymi zmysłami my, ale nawet przytępione wiktoriańskie nosy wyczuwały, że coś jest nie tak. A sytuacja ta była bardzo stresująca zarówno dla dam, jak i dżentelmenów, którzy za cel honoru stawiali sobie udowodnienie światu, że „Fizjologia? To nie o mnie". W sukurs naszym przodkom przychodziły perfumy. W przeciwieństwie do dzisiejszych kompozycji, w większości lekkich, w tamtych czasach stosowano ciężkie mieszanki, z których oprócz woni kwiatów przebijał wyraźnie alkohol. Woda kolońska czy toaletowa musiała po prostu mieć na tyle przytłaczający zapach, żeby zdusić woń potu. A i tak gdyby ktoś z nas spotkał pannę Łęcką, to pewnie uznałby, że uroda owej damy blednie przy jej smrodzie.

Dlaczego jednak nie sięgnięto po najprostsze rozwiązanie problemu, czyli dbanie o czystość ciała i częste kąpiele? Pamiętajmy, że aż do końca XIX wieku wodę do domu przynoszono ze studni, kanalizacja pojawiła się późno i bywało, że budziła ostry sprzeciw (kiedy w Warszawie powstała sieć wodociągów i kanałów odprowadzających nieczystości, na rynek wydawniczy trafiła broszura dowodząca, że stanowią one część żydowskiego spisku mającego zniszczyć polskie rolnictwo). Jeśli kobieta chciała wziąć kąpiel, musiała nakazać służącej kilkakrotnie obrócić do pompy i z powrotem, a potem pozostawał jeszcze problem podgrzania zawartości balii. W efekcie kąpiele przemieniły się w istne kampanie wymagające szczegółowego planowania.

O wiele częstszy sposób dbania o higienę stanowiło obmywanie. Nasza bohaterka chcąc zmyć z siebie brud, zamykała się w łazience lub swojej sypialni, gdzie rozbierała się do naga. Następnie brała miskę wypełnioną zimną wodą z odrobiną octu, maczała w niej gąbkę, po czym energicznie się nią szorowała. Takie nacieranie uważano za bardzo zdrowe, miało one skutkować żywszym krążeniem krwi. Inna rzecz, że procedura taka nie należała do najprzyjemniejszych i oddająca się jej czyścioszka przez całą operację trzęsła się z zimna, bo mieszkania tej epoki, nawet należące do ludzi zamożnych, były kiepsko ogrzewane i z naszego punktu widzenia panował w nich ziąb.

Odrobinę łatwiej było umyć włosy, jednakże starano się tego nie robić zbyt często. Co miało trochę sensu, biorąc pod uwagę, że jako szamponu używano… roztworu amoniaku. Całkiem możliwe, że niejedna młoda dama, którą uważano za suchotniczkę, w rzeczywistości zniszczyła sobie płuca, wdychając trujące opary. Najbezpieczniejszy sposób dbania o owłosienie głowy stanowiło szczotkowanie. Codziennie wieczorem przed snem kobiety brały specjalną szczotkę o miękkim włosiu i długo czesały nią włosy. Celem było jednak nie ułożenie fryzury, lecz usunięcie wszelkiego brudu, który mógł się w ciągu dnia osadzić na głowie wiktoriańskiej damy. Co więcej, zabieg ten rozprowadzał po włosach naturalny tłuszcz, który nadawał im miękkość.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Być jak bóstwo

Na koniec zajmijmy się kwestią fundamentalną dla wielu pań – czyli jak najlepiej zaprezentować światu swą urodę. XIX-wieczne damy miały do powiedzenia w tym temacie całkiem sporo, aczkolwiek stosowane przez nie rozwiązania były często głupie lub przerażające, a z pewnością szkodliwe dla zdrowia.

Jak wiadomo, największym wrogiem kobiety jest czas. W XXI stuleciu otaczający nas kult młodości sprawia, że współczesne damy gotowe są na wiele, byleby tylko się nie zestarzeć. Niewiasty epoki wiktoriańskiej nie różniły się pod tym względem od swoich dzisiejszych sióstr, a nawet znajdowały się w sytuacji gorszej – czas o wiele szybciej odciskał na nich swe piętno, niż dzieje się to w czasach obecnych. Zła dieta, zanieczyszczenie środowiska, ciągłe porody – to wszystko wyniszczało kobiety błyskawicznie. Dziś trzydziestolatka uważana jest za młodą dziewczynę, tymczasem w XIX wieku postrzegano ją jako damę mocno przejrzałą, pamiętajmy, że określenie „wiek balzakowski", którym dziś opisujemy panie czterdzieści plus, pierwotnie odnosiło się właśnie do trzydziestolatek! Zresztą owo szybkie starzenie dotyczyło nie tylko kobiet, wystarczy spojrzeć na dawne zdjęcia mężczyzn.

W walce z upływającym czasem sięgano po różne sposoby. Niektóre Francuzki idąc spać, obwiązywały twarz surową wołowiną. Z kolei do rangi symbolu urosła żona generała Józefa Zajączka – Aleksandra, która całe swoje życie poświęciła zachowaniu młodości i urody. Pani Zajączkowa spała zatem w nieogrzewanej sypialni, brała zimne kąpiele, jadła same warzywa, non stop ćwiczyła. Ponoć dało to jakieś efekty i wyglądała wyjątkowo dobrze (do tego stopnia, że jako kilkudziesięciolatka miała rzekomo romans z pewnym młodym oficerem), o czym wiemy choćby od Balzaka, który spotkał ją w drodze na spotkanie z panią Hańską (inna rzecz, że Balzak był mitomanem), ale nawet jej skóra w końcu pokryła się zmarszczkami, czego próżna kobieta nie mogąc znieść, zaczęła pokrywać twarz i dekolt woskiem. Z kolei pewna angielska arystokratka z końca epoki wiktoriańskiej poszła jeszcze dalej i wstrzyknęła sobie wosk pod skórę. Efekty były przerażające, a oblicze pięknej Angielki uległo deformacji, przez którą skryła się w swej willi i już nigdy więcej nie wyszła na świat.

Dziś, gdy jakaś dama w wieku średnim chce odmłodnieć, udaje się do kliniki medycyny estetycznej. Co może zaskakiwać, w XIX wieku również istnieli specjaliści oferujący tego typu usługi. Hit epoki stanowił zabieg tzw. glazurowania, w którym twarz pacjentki pokrywano… bielą ołowianą. W efekcie skóra stawała się lśniącą i następowała redukcja zmarszczek. Ale zanim, Drogie Czytelniczki, zaczniecie szukać gabinetów świadczących ową operację, od razu wyjaśniam, nie znajdziecie ich, w naszych czasach człowiek, który spróbowałby glazurowania, poszedłby natychmiast siedzieć. Biel ołowiana stanowi bowiem silną truciznę, która powoduje m.in. uszkodzenie nerwów wskutek zatrucia ołowiem, mogącego prowadzić nawet do śmierci. W XIX stuleciu wielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak niebezpieczny jest zabieg oferujący zdesperowanym kobietom namiastkę młodości, i przestrzegało przed uleganiem pokusie. W książkach i czasopismach z epoki odnajdziemy opisy ponurej ceny, jaką przyszło zapłacić damom poddającym się glazurowaniu, część z nich doznała paraliżu twarzy, zdarzały się też przypadki śmiertelne.

Obok upływu czasu wiele pań (ale również panów) martwi się swoją wagą. Zewsząd atakują nas choćby reklamy przedstawiające skrajnie szczupłe modelki. Za panowania królowej Wiktorii również ideał urody wynosił na piedestał kobietę szczupłą. Podobnie jak dziś, wiele osób desperacko walczyło ze zbędnymi kilogramami, pragnąc zmieścić się w ówczesnych kanonach piękna, nieważne jak nierealistyczne by one były. W tym celu chcące schudnąć, damy sięgnąć mogły po rozmaitego rodzaju specyfiki, które były dostępne bez recepty i których zakup nie sprawiał najmniejszego problemu. I tak na rynku funkcjonowały m.in. tabletki odchudzające. Co zawierały? Szybki rzut oka na opakowanie i odkrywamy, że… spisu składników brak. W tamtych czasach nie istniały urzędy kontrolujące jakość sprzedawanych produktów i ich bezpieczeństwo dla zdrowia, a producenci nie musieli ujawniać receptur swoich towarów. Co w przypadku tabletek na odchudzanie było bardzo wygodne, bo zdarzało się, że zawierały one… strychninę. Ma to pewien sens, bo jak wiadomo, trupy nie mają apetytu. Porzucając zaś ten mroczny humor, to inny popularny sposób na schudnięcie stanowiło połknięcie pastylek z… larwami tasiemca. Pasożyt rozwijał się w ciele żywiciela i co prawda je wyniszczał, ale przy okazji, zakłócając trawienie, pomagał w redukcji masy ciała. Oczywiście po zakończonej kuracji trzeba było się go jakoś pozbyć, więc należało kupić (najlepiej u tego samego producenta) tabletki odrobaczające.

Cóż, kończy się już ranek, a nasza bohaterka umyta, ubrana i skropiona perfumami schodzi na śniadanie. Tu wypada nam się z nią pożegnać. Może jeszcze kiedyś się spotkamy, warto by bliżej poznać stosunki panujące w jej małżeństwie czy liczne zasady etykiety, do których musi się stosować. Dziś jednak ograniczmy się tylko do wizyty w jej buduarze, jak się przed chwilą bowiem przekonaliśmy, nawet te krótkie odwiedziny stanowiły asumpt opowieści o rzeczach drobnych, lecz fascynujących. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Krzysztof Karnkowski

O „Napadzie", który się nie udał

3 marca 2001 roku Polską wstrząsnęła informacja o brutalnym napadzie w niedawno otwartym oddziale Kredyt Banku. Początkowo mowa była o trzech ofiarach – młodych pracowniczkach placówki. W toku śledztwa odnaleziono ukryte na terenie oddziału zwłoki czwartej ofiary – ochroniarza, będącego pierwszym podejrzanym. Policja długo nie mogła znaleźć winnych, a gdy już ich znalazła, brak było dowodów. Dziś do tych wydarzeń odwołuje się film „Napad" Michała Gazdy. Czy udanie?

„Napad" czyni więcej złego niż dobrego, zarówno na płaszczyźnie artystycznej, jak i – nie bójmy się tego słowa – moralnej.

Romantyzacja złego czasu

W pierwszych dniach po premierze na Netfliksie „Napad" cieszył się dużym zainteresowaniem widzów i był najchętniej oglądaną produkcją na platformie. Trudno się dziwić, z pozoru mamy do czynienia z klasycznym kryminałem, mającym w sobie dodatkowo element rozliczeniowy, krytyczny wobec polskiej transformacji ustrojowej, pełen dramatycznych wydarzeń i takich też losów bohaterów. Z ciekawą postacią starego esbeka, dobrze graną przez Olafa Lubaszenkę, i kilkoma młodymi aktorami i aktorkami, z których grą jest już, powiedzmy, różnie. Jest też mroczny klimat i spora dbałość o szczegóły w odtwarzaniu epoki. Od kilku lat trwa u nas moda na tzw. duchologię, nazwaną tak przez Olgę Drendę nostalgią za czasem chaotycznego przełomu, tandetą i niepewnością początku lat 90. Czasu, gdy z jednej strony mnóstwo ludzi gwałtownie zbiedniało, a (o wiele mniej) równie szybko się wzbogaciło, lecz wśród tej pogoni za pieniądzem był jednak również element zachłyśnięcia się światem wcześniej niedostępnym. „Napad" w dużym stopniu próbuje to uchwycić w scenografii, akcji, losach i decyzjach bohaterów. Tyle że łatwo jest przy tym wpaść w niejedną pułapkę. Po pierwsze, następuje specyficzna romantyzacja złego czasu, a w ślad za nią również złego postępowania, finalnie chyba nawet jego usprawiedliwienie. Po drugie, trudno jest odróżnić czasem, czy mamy do czynienia z dbałością o szczegóły, czy przesadą, zamieniającą na pierwszy rzut oka wiarygodnie wyglądające mieszkania i biura w skansenowe ekspozycje. Twórcy „Napadu" polegli według mnie w obu tych kwestiach.

eprasa.pl ceedbe6b4d

O ile jednak nad wyglądem lokacji można przejść do porządku dziennego, gorzej z wymową filmu. Zanim jeszcze miałem okazję go obejrzeć, spotkałem się z zarzutem, że to kolejna polska produkcja, która pokazuje w pozytywnym świetle starego pracownika PRL-owskiej bezpieki. Tadeusz Gadacz (ciekawe, czy zbieżność nazwiska z krakowskim ekspijarem, filozofem i drugoligowym politykiem najpierw Nowoczesnej, a później Platformy Obywatelskiej jest przypadkowa, a jeśli nie, jakaż myśl za nią stała) jest negatywnie zweryfikowanym esbekiem, którego ofiary robią karierę polityczną w III RP, a on żyje w biedzie, w na pół zrujnowanym domu. Gdy dochodzi do mordu na bankowych kasjerkach, okazuje się, że policja potrzebuje właśnie jego, inaczej za nic śledztwa nie dokończy. Skuszony obietnicą ponownej weryfikacji, a może nawet przywrócenia do służby, Gadacz bierze się za robotę i śledztwo faktycznie dość szybko rusza. Jego postać jest dość zgorzkniała, być może nawet w jakimś stopniu świadoma swoich przewin, ale też profesjonalna. „Nowi" radzą sobie dużo gorzej. Tyle że po wszystkim okazuje się, że to pochylenie się nad dawnym komunistycznym bandziorem jest i tak najmniejszym problemem tego filmu, twórcy robią bowiem rzeczy dużo bardziej szkodliwe.

Fabuła a rzeczywistość

Akcja „Napadu" umiejscowiona jest wcześniej niż wydarzenia, które stały się dla Gazdy inspiracją. To nie początek nowego stulecia, a pierwsze lata III RP. Wychodzi jeszcze „Kurier Polski", z którego jeden z drugoplanowych bohaterów czerpie informacje o wyścigach. To przesunięcie w czasie sprawia, że sprawcy zbrodni zostają zderzeni z całym bagażem transformacji. Walka o przetrwanie, problemy z utrzymaniem się na powierzchni stają się motywem, a zarazem w jakimś stopniu usprawiedliwieniem okrutnego czynu. Im głębiej wchodzimy w film, tym bardziej mamy i w nich widzieć ofiary, trzech chłopaków z podwarszawskiej miejscowości, którzy po prostu przestają sobie radzić. Co gorsza, najbrutalniejszemu z nich dopisano tu jeszcze inną, głębszą motywację, co służyć ma udramatycznieniu akcji, a służy raczej romantyzacji i relatywizacji potwornej zbrodni. Oczywiście można bronić się, że dramat przy ulicy Żelaznej w Warszawie był tylko luźną inspiracją. Kłopot w tym, że choć opowieść rozjeżdża się z prawdą na płaszczyźnie motywów i emocji, to równocześnie z dramatu w Kredyt Banku bierze zbyt dużo, by widz miał wątpliwości, że właśnie o tym próbuje się mu opowiedzieć. Opowiedzieć na nowo, czyniąc postaciami godnymi współczucia starego esbeka i młodych zbrodniarzy. Przy czym o ile weterana bezpieki w prawdziwej opowieści nie było zdaje się w ogóle, o tyle młodzi mężczyźni z Łochowa i owszem – a ich motywacje były dużo bardziej przyziemne i tak mało chwalebne, jak uzależnienie od narkotyków prowodyra grupy. Co więcej, w prawdziwej wersji zdarzeń napastnicy planowali mord na kasjerkach, zabijali je z premedytacją, chcąc najpierw wymusić na nich dopuszczenie do sejfu. W filmie dziewczyny giną niejako przypadkiem, gdy w trakcie napadu nie wszystko idzie tak, jak miało pójść (i w filmie, i w rzeczywistości w sejfie nie było spodziewanej kwoty i sprawcy zrabowali tylko 100 tys. złotych), sprawcy zaczynają się miotać i nagle odkrywają, że w banku nie są już sami. Planowany na zimno mord staje się właściwie zbrodnią w afekcie.

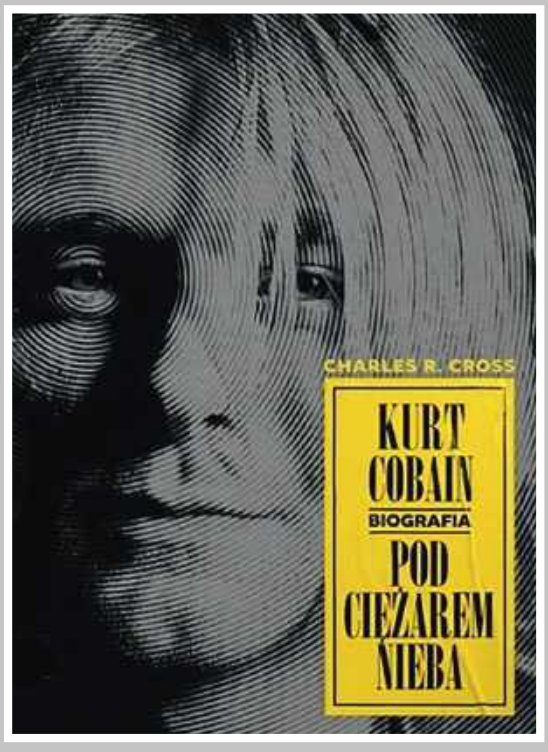
Ta filmowa opowieść budzi sprzeciw

Jest wreszcie w „Napadzie" jeszcze jeden wątek, który zrobił na mnie spore wrażenie, jednak nie swoją głębokością, a całkowitą niewiarygodnością. Gdy wraz z policjantami poznajemy historię głównego sprawcy, odkrywamy, że jego matka została pochowana poza murami cmentarza jako samobójczyni. Samobójcom katolickiego pochówku w murach cmentarza poza szczególnymi wyjątkami nie odmawia się od wielu dekad, w Polsce episkopat ostatecznie dopuścił takie pogrzeby pod koniec lat 70., a w 1983 roku sprawę zamknął katechizm Kościoła katolickiego. Być może przeciętny widz nie będzie kojarzył tych dat, ale zapewne zauważy, że coś tu nie gra. Mam nadzieję, że ta refleksja dotyczyć będzie również wymowy całego filmu. Ponieważ nie jest to dokument, określenie „odkłamanie" może być za mocne. Napiszę więc inaczej – chodzi o przywrócenie proporcji. Pomocne w nim będzie obejrzenie również dostępnego na Netfliksie odcinka serialu „Tajemnice polskich morderstw", poświęconego właśnie temu, co wydarzyło się w banku na Żelaznej. Obawiam się tylko, że kto pozna lub odświeży sobie szczegóły tamtej sprawy, na „Napad" spojrzy dużo bardziej krytycznym okiem.

Wszystkie te wątpliwości odbierają przyjemność z oglądania „Napadu" po prostu jako kryminału. Szkoda, bo przecież Gazda ma spore gatunkowe doświadczenie, na koncie mając współpracę przy serialowych „Odwróconych" czy, nie tak dawno, netfliksowego „Zachowaj spokój", przy którym zresztą popełnił dość podobne błędy. Warto przy tym zauważyć, że musi cieszyć się zaufaniem medialnego giganta, skoro to właśnie jemu Netflix powierzył realizację swojej sztandarowej produkcji, ubiegłorocznego remake'u „Znachora". Prawdziwy napad nie spełnił oczekiwań uczestników zbrodni, ofiarom przynosząc niewspółmierne do wątpliwego zysku cierpienia i śmierć. Filmowa opowieść budzi sprzeciw, zdejmując ze zbrodniarzy dużą część odpowiedzialności, co wątpliwym czyni też zawarte w obrazie rozliczenia z przełomem ustrojowym. O tamtych latach warto opowiadać uczciwie, reżyserowi Michałowi Gajdzie i scenarzyście Bartoszowi Staszczyszynowi to niestety się nie udało. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl ceedbe6b4d



Charles R. Cross, „Kurt Cobain. Pod ciężarem nieba”, tłum. Maciej Machała, In Rock, Czerwonak 2024

Krzysztof Wołodźko



Kurt Cobain. Wstęp do sławy i śmierci

Rockandrollowy samorodny talent i chciwa zysków machina show-biznesu; pragnienie akceptacji i miłości i gen autodestrukcji. Głośno wyśpiewany pokoleniowy hymn i chorobliwa chęć skrajnej izolacji. Po latach Kurt Cobain, lider Nirvany, wciąż intryguje, choć grunge, muzyka outsiderów ze Seattle, dawno już został zdetronizowany na listach przebojów.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Prasę muzyczną zacząłem kupować w szóstej lub siódmej klasie podstawówki, czyli w czas przełomu ustrojowego. Pamiętam „Magazyn Muzyczny" z Brucem Dickinsonem na okładce, czytany z przejęciem neofity, który odkrył ciekawsze brzmienia niż zbiór winyli i pocztówek muzycznych rodziców i krewnych. Później było jeszcze lepiej: „Tylko Rock" i „Metal Hammer" z wczesnych lat 90. Gdy pojawiło się „Bravo", krzywiłem wzgardliwie usta. A fakt, że publikowali tam czasem wizerunek Kurta Cobaina, okraszony uładzonymi ploteczkami – tłumacząc niewtajemniczonym fankom New Kids On The Block, jak powinni ubierać się fani Nirvany, tylko pogarszał mój odbiór grunge'u. Trudno było wytrwać przy nastoletnich uprzedzeniach, słuchając „Nevermind" i „In Utero" Nirvany, a później „Superunknown" Soundgarden. W redakcyjnej kanciapie szkolnej gazetki w katolickim liceum po samobójczej śmierci Kurta Cobaina powiesiłem jego plakat, właściwie dlatego, że ojciec rektor nie chciał się zgodzić na poster „Master of Puppets" Metalliki. A trochę czasu minęło, nim zorientował się, że powieszony przeze mnie na ścianie artysta utonął w narkotykach.

Czasem jak requiem dla Cobaina słuchałem Nirvany bez prądu, ale z MTV. Świat szedł szybko swoją drogą, rock w tamtych czasach tracił już rząd dusz, zdetronizowany przez rap, obyczajowość i stylistykę hip hopu. Kilka lat później miałem wrażenie, że śmierć Magika z Kalibra 44 i Paktofoniki była dla wielu moich rówieśników o wiele ważniejszym doświadczeniem; źródłem pytań i przyczyną poczucia emocjonalnej straty. Śmiertelne zejście Cobaina wydawało mi się długo raczej wydarzeniem sezonu niźli dramatem na miarę legend o Janis Joplin. Był to błąd – nie tylko ze względu muzykę Nirvany i globalne znaczenie amerykańskiej popkultury muzycznej, która uległa czarowi outsiderów łaknących sławy. Cobain był prorokiem końca amerykańskiego snu, świadkiem i świadectwem czasu kryzysu i buntu, który dotknął całe pokolenie dorastających pod koniec XX wieku nastolatków. Niewiele w tym względzie zmienia fakt, że kryzys i bunt zostały zmonetyzowane przez show-biznes. Że z każdej emocji i dźwięku wyciśnięto pieniądze jak sok z cytryny. Więcej: to jeszcze podkreśla dramatyzm sytuacji.

▶ Lekcja odrzucenia przez najbliższych

W tym roku ukazało się w Polsce drugie wydanie głośnej biografii Kurta Cobaina „Pod ciężarem nieba", pióra Charlesa R. Crossa. Lider Nirvany zmarł 30 lat temu, a pierwsze światowe i polskie wydanie „Heavier Than Heaven" to 2001 rok. Mamy do czynienia ze wznowieniem, które ma dotrzeć nie tylko do podstarzałych fanów i fanek rocka, pamiętających śmierć Cobaina ze swoich nastoletnich lat. Choć szeroko rozumiany rock od dekad jest w odwrocie, to nie znaczy, że kompletnie wypadł z łask także młodszych roczników. Grunge, grające na wielu emocjach nieślubne dziecko punka i heavy metalu, wciąż potrafi kusić młodszych. Nie tylko jako muzyka, lecz także jako egzystencjalna opowieść o niedopasowaniu, dojrzewaniu, uczuciach, klęskach, dyskomforcie życia w społeczeństwie. Nie wykluczam, że dla dzisiejszych polskich nastolatków amerykański grunge może być nawet czytelniejszy niż dla mojego pokolenia, które nie wiedziało aż tyle o rozwodach, wyścigu szczurów, samookaleczeniach, używkach, socjofobii, rozczarowaniach, samobójstwach, samotności w tłumie, wykluczeniu i rozwarstwieniu ekonomicznym, presji pieniądza i znaczeniu prestiżu dla wyznaczania miejsc w społecznej hierarchii.

Dziś modne są teorie, że rozpad więzi rodzinnych i patchworkowe relacje między najbliższymi to dla dorastających dzieciaków wspaniała życiowa przygoda. Nastoletnie lata Kurta Cobaina to zatrważająca lekcja odrzucenia przez najbliższych, życia w skrajnej emocjonalnej niepewności. Po rozwodzie rodziców, Donalda Cobaina i Wendy z domu Fradenburg, syn zasmakował goryczy odrzucenia. Ojciec skupił się na nowej rodzinie, jej oczekiwaniach i poczuciu bezpieczeństwa. Matka – na alkoholu i romansach. A przecież wszystko zaczęło się niemal sielankowo. W latach 60. robotnicze miasto Aberdeen (Washington DC) dawało dorosłym pracę i nadzieję na współudział w amerykańskim śnie.

Urodzony w połowie tamtej dekady Kurt Cobain pierwsze lata życia spędził w kupionym przez rodziców za blisko 8 tys. dolarów piętrowym domu, a nie w przyczepie pracujących ubogich. Dzielnica nie była najlepsza, po latach muzyk nazwał ją rewirem „biedoty o mieszczańskich aspiracjach". Ale rodzice byli razem, zarabiali i troszczyli się o dzieci, nie pili i nie ćpali. Charles R. Cross opisuje zachowaną fotografię państwa Cobainów z dziećmi z tamtych lat: „To portret wspaniale prezentującej się rodziny. Amerykańskie pochodzenie podkreślają detale: czyste włosy, bielutkie zęby i starannie odprasowane ubrania, dobrane z takim smakiem, z taką dbałością o modę, jakby wycięto je z katalogu Searsa z wczesnych lat 70.".

Kilka lat później, na początku 1976 roku, Wendy zażądała od Donalda rozwodu. Wtedy na dobre miały zacząć się psychosomatyczne problemy Kurta, który nigdy nie pogodził się z rozstaniem rodziców. Najpierw zamieszkał z ojcem, który niebawem ożenił

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl ceedbe6b4d

się po raz kolejny. Matka związała się z mężczyzną, który miał pieniądze i ciężką rękę. Jednego i drugiego używał jako argumentu wobec Wendy. Trzy lata później dorastający Kurt miał już za sobą narkotykową inicjację – brał czasem LSD i w nadmiernych ilościach palił marihuanę. W 1982 roku wyprowadził się od ojca i macochy i zaczął „żyć własnym życiem". Następnie „na drodze czteroletniej tułaczki czekały go dwa roczne przystanki, zaliczył wtedy dziesięć rozmaitych domostw, znajdując schronienie u tyluż rodzin – w żadnym jednak z tych miejsc nie czuł się jak u siebie". Zamiast domu – przyczepy kempingowe, obcy kąt u ludzi, którzy go nie chcieli; sen w kartonowych pudłach pod ciężarem nieba.

Portret amerykańskiej rodziny

Głośny film dokumentalny z 2015 roku „Kurt Cobain: Montage of Heck" („Kurt Cobain: Życie bez cenzury") poświęca sporo miejsca jego dorastaniu, narkotycznym i seksualnym inicjacjom, pełnym wewnętrznego niepokoju zapiskom w dziennikach (zapełnił przez kilkanaście lat ponad 20 kołonotatników). Pragnienie i zdolność do artystycznej ekspresji, narastający pociąg do mitomanii, poczucie doznanych krzywd, świadomość wewnętrznego mroku przeobrażają się i dojrzewają jak jego ciało – promiennie uśmiechnięty dzieciak wyrasta na poranionego nastolatka, wyrzuconego z dziecinnej arkadii na grząski grunt życia, dla którego rockowa muzyka i narkotyki stają się narzędziem ucieczki, przyjemności, ekspresji. I krytyki wszystkiego i wszystkich.

Nie chcę przesadnie epatować czytelników tym, co siedziało w głowie Cobaina, ale warto mieć świadomość, że pełnego szyderstwa buntu nie wymyślili dla niego potentaci muzycznego rynku z Geffen Records. Wszechstronnie utalentowany Kurt tworzył komiksy. Jeden z nich nosił tytuł „Jimmy. Chłopiec z Prerii Sprzedający Kiełbaski". Tytułowy bohater to najpewniej alter ego rysownika. Komiksowy ojciec mówi: „Dawaj mi tu dziewięciomilimetrowy klucz, ty parszywy mały gnojku. Jeśli masz zamiar tu mieszkać, musisz przestrzegać moich zasad, a te są tak poważne, jak moje wąsy: uczciwość, lojalność, poświęcenie, honor, męstwo, surowa dyscyplina, Bóg i ojczyzna – oto, co stawia Amerykę na pierwszym miejscu". A komiksowa matka woła: „Rodzę ci syna i wyskrobuję córkę. Zebranie komitetu rodzicielskiego o siódmej, kurs garncarstwa 2.30, boeuf Strogonow, pies do weterynarza 3.30, pralnia, tak, tak, mmm, kochanie, w pupę jest tak przyjemnie, mmm, kocham cię".

Możemy czuć się zgorszeni, zbyć sprawę emocjonalnymi problemami pogubionego nastolatka, wierzyć solennym zapewnieniom jego rodziców, macochy i bliskich, że naprawdę kochali tego nadwrażliwego dzieciaka, tylko nie mieli jak się nim zająć. Ale sprawa była już przesądzona. Także jako zarzewie dobrze sprzedającego się później buntu. Na marginesie – warto pamiętać, że nieco później niż muzyka Nirvany pojawił się pierwszy album Marylin Mansona, zatytułowany „Portrait of an American Family" – z prowokacyjną okładką, która gorszyła zatroskanych dorosłych z National Parent Teacher Association i Parents Music Resource Center. Nierozstrzygnięty spór: czy amerykańska popkultura psuła dobre obyczaje i konserwatywne wartości; czy była przede wszystkim kroniką coraz bardziej radykalnych zmian, które – z dzisiejszej perspektywy – stanowiły preludium dla amerykańskich kłopotów z narkotykami, niespójnością społeczną, chorobami psychicznymi, kryzysem rodziny. Lata 90. w USA to również czas, gdy zdecydowanie zaczął pogarszać się los klasy robotniczej, za to show-biznes miał do zaoferowania coraz bardziej intratne kontrakty gwiazdom znoszącym złota jaja.

Antyidol pokolenia X

Grunge, o czym przypomina Piotr Jagielski w „Bękartach z Seattle", miał być tym nurtem, który wskrzesi rocka, przywróci mu niezależność i wigor. Zespoły z podupadającego Seattle „miały odebrać rock and rolla handlarzom muzyki, którzy kupczyli nim przez minione dziesięciolecia, i oddać w ręce ludu". Grunge miał być symbolem buntu pokolenia, „które w gazetach, telewizjach i stacjach radiowych uparcie nazywano straconym, pokoleniem X. Pokoleniem obiboków, dryfujących przez życie i pozbawionych jakichkolwiek wartości". Idolem takiego pokolenia mógłby być tylko antyidol. Nic więc dziwnego, że „Pod ciężarem nieba" nie jest laurką dla Kurta Cobaina. Świadectw i znaków nieobyczajności, przekroczeń prawa, ekscesów, coraz bardziej destrukcyjnego egoizmu, deprawacji wywołanej nałogiem i narcystycznego samouwielbienia gwiazdora jest w tej biografii aż nadto.

A równocześnie to opowieść o coraz bardziej świadomym siebie i swojej wartości artyście, inteligentnym i utalentowanym mężczyźnie, który – targany wewnętrznymi demonami – znalazł drogę do niebotycznego sukcesu. I wraz z kumplami stworzył zespół, którego logo stało się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli muzyki rockowej końca XX wieku. Choć Soundgarden, Pearl Jam, Alice in Chains czy zapomniane już nieco Mudhoney także odcisnęły swoją pieczęć na grunge'u, to zabrakło im nieszczęśnika tej miary co heroinista z Aberdeen.

eprasa.pl ceedbe6b4d

A nazwa zespołu? Charles R. Cross jest zgryźliwy: gdy grupa powstała w 1987 roku, „Kurt uważał się za buddystę, lecz jedyne jego doświadczenie z tą wiarą polegało na obejrzeniu pewnego razu w telewizji nadanego późną nocą programu na ten temat".

Są autorzy, którzy piszą byle jakie biografie gwiazd popkultury, żeby dobrze je sprzedać. Są tacy, którzy chcą też lepiej zrozumieć rzeczywistość i pomóc w tym innym. Zmarły w sierpniu tego roku Cross jest przedstawicielem tej drugiej grupy; przez dekady należał do elity amerykańskiego dziennikarstwa muzycznego. Przed laty był redaktorem „The Rocket", gazety ze Seattle, która w 1989 roku jako pierwsza umieściła na okładce podobiznę Nirvany. W słowie wstępnym autor „Pod ciężarem nieba" mówi jasno: wydarzenia takie jak samobójcza śmierć Cobaina „prowokują pytania dotyczące duchowości, roli szaleństwa w artystycznym geniuszu, spustoszeń, jakie w osobowości człowieka może poczynić narkomania, a także dążenie do uchwycenia istoty przepaści dzielącej wnętrze człowieka od tego, co widać gołym okiem. Podobne zagadnienia nurtują każdą niemalże rodzinę dotkniętą tragedią nałogu, depresji czy samobójstwa".

Grunge miał być symbolem buntu pokolenia, „które w gazetach, telewizjach i stacjach radiowych uparcie nazywano straconym, pokoleniem X. Pokoleniem obiboków, dryfujących przez życie i pozbawionych jakichkolwiek wartości". Idolem takiego pokolenia mógłby być tylko antyidol.

„Nienawiść do wszystkich istot ludzkich"

Przyspieszenie było naprawdę duże. Nirvana swój pierwszy oficjalny koncert pod tą nazwą dała 21 grudnia 1988 roku; 11 stycznia 1992 roku „Nevermind" znalazł się na pierwszym miejscu Billboard 200, spychając w dół jeden z najsłynniejszych albumów w historii popu, czyli „Dangerous" Michaela Jacksona. 5 kwietnia 1994 roku Kurt Cobain postrzelił się śmiertelnie w głowę. Sześć, siedem lat w drodze na artystyczny szczyt. I niecałych 30 lat życia coraz bardziej nieznośnego; tak spustoszonego nałogami, że jedynym antidotum okazała się autodestrukcja. Czy sława osłodziła mu śmierć? Czy żyłby długo i (niezbyt) szczęśliwie jako robotnik przemysłu drzewnego w podupadającym mieście w hrabstwie Grays Harbor? Czy doczekałby osiemnastych urodzin córki, gdyby nie uciekł z popularnego wśród gwiazd rocka centrum terapii odwykowej Exodus w Los Angeles? Czy uratowałaby mu skórę armia dobrze płatnych terapeutów? A może to kwestia łutu szczęścia, jak w przypadku każdego śmiertelnika, który igra z ogniem? Nie każdy może być cholernym Ozzym Osbourne'em.

Charles R. Cross skrupulatnie prowadzi nas przez kolejne lata życia artysty – aż do fatalnych, ostatnich dni jego życia. Niala Stimson, ekspert od nadużywania substancji odurzających, którego przydzielono liderowi Nirvany w ośrodku rehabilitacyjnym Exodus, twierdził, że muzyk „absolutnie zaprzeczał, że ma jakiekolwiek problemy z heroiną". Konfrontowany z bolesną rzeczywistością, piosenkarz szedł w zaparte: „Chcę się tylko wyczyścić i spadać stąd".

U szczytu sławy Cobain znalazł się w matni. Problemy wizerunkowe i awantury z opiniotwórczymi mediami nakładały się na konflikt z Kevinem Kerslakiem, pierwotnym reżyserem teledysku „Heart-Shaped Box", który pozwał go w tamtym czasie o autorstwo wielu pomysłów użytych w wideo. Do tego konflikty z ćpającą równie ostro Courtney Love, żoną i matką ich jedynego dziecka, Frances Bean Cobain. Zawiedzeni, zwaśnieni przyjaciele. W liście do fanów, napisanym jeszcze w ośrodku, zapewniał: „Od zbyt wielu już lat nie odczuwam uniesienia – czy to słuchając bądź tworząc muzykę, czy też czytając lub pisząc. […] Powiodło mi się, i to bardzo dobrze, jestem za to wdzięczny, ale od siódmego roku życia zacząłem odczuwać nienawiść względem wszystkich istot ludzkich". Kolejne linijki listu są próbą usprawiedliwienia niszczycielskiej drogi, z której nie chciał i nie umiał już zejść. Jeśli miał być idolem pokolenia X, dał mu najbardziej parszywą lekcję na przyszłość, jaką można sobie wyobrazić. I muzykę, którą wciąż można traktować jak ścieżkę dźwiękową do lepszych i gorszych dni. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Antoni Rybczyński

„DZIŚ UKRAINA, JUTRO AZJA”

Zbójecki sojusz Kima z Putinem

Zwrot Rosji ku Korei Północnej nie wynika tylko z chęci uzyskania pomocy w wojnie z Ukrainą czy z chęci budowy koalicji państw zdeterminowanych wspólnie walczyć z Zachodem. To również naturalne następstwo geostrategicznego zwrotu ku Azji, dokonanego przez Putina po powrocie na Kreml w 2012 roku. Zwrotu, którego punktem centralnym jest rzecz jasna zacieśniający się sojusz Rosji z Chinami.



„Rosyjska armia i naród z pewnością odniosą wielkie zwycięstwo w świętej walce o ukaranie wielkiego zła, które rości sobie prawo do hegemonii"

Kim Dzong Un, 14 września 2023

FOT. KCNA/PAP/EPA

Na początku listopada 2024 roku Korea Północna faktycznie włączyła się do wojny Rosji przeciwko Ukrainie. Wcześniej Federacja Rosyjska i Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna wymieniły się wizytami na najwyższym szczeblu, zaś Moskwa zawarła i ratyfikowała strategiczne porozumienie, które oznacza *de facto* obronny sojusz. Minister spraw zagranicznych KRLD Choe Son Hui podczas niedawnej wizyty w Rosji, wyraziła poparcie dla „świętej wojny" prowadzonej przez Rosję, a Pjongjang przeprowadził serię testów pocisków balistycznych i eskaluje napięcie w relacjach z Seulem. Dlaczego Władimir Putin zdecydował się na tak daleko idące przymierze z największym międzynarodowym pariasem? Dlaczego Kim Dzong Un postawił na udział w wojnie w Europie i ścisłą współpracę z Rosją, choć dotychczas jedynym sojusznikiem wojskowym (nie wspominając o gospodarczej zależności) były Chiny? Zanim odpowie się na to pytanie, podkreślić trzeba, że konsekwencje rozmieszczenia wojsk północnokoreańskich na teatrze działań wojennych wykraczają daleko poza pole bitwy na pograniczu Rosji i Ukrainy. Zbliżenie między Koreą Północną a Rosją zagraża długoterminowej stabilności Półwyspu Koreańskiego i szerzej, regionu Azji i Pacyfiku. Korea Północna może wykorzystywać swoje rosnące powiązania z Rosją, aby zmniejszyć zależność od Chińskiej Republiki Ludowej, a tym samym zmniejszyć wpływ Pekinu na reżim północnokoreański. O ile ChRL wykorzystuje go do hamowania awanturniczych zapędów Kima, o tyle Rosja może działać zupełnie przeciwnie. Już widać, że dyktator z Pjongjangu czuje się znacznie pewniej. Od 1961 roku Chiny i KRLD mają umowę, na mocy której Pekin gwarantuje Korei Północnej bezpieczeństwo (jest to jedyny taki traktat między Chinami a innym państwem). W 2021 roku umowa została ponownie odnowiona na kolejne 20 lat. Teraz, oprócz gwarancji od ChRL, Pjongjang otrzymał podobne gwarancje od Rosji.

„Buriaci" Kima i sowiecka amunicja

Pierwsi żołnierze północnokoreańscy pojawili się w Rosji między 8 a 13 października. Było to 1500 żołnierzy sił specjalnych z 11. Korpusu Szturmowego, elitarnej jednostki liczącej 80 tys. żołnierzy. Są dobrze wyszkoleni i silni fizyczni – w przeciwieństwie do zdecydowanej większości 1,2-mln armii Kima, są dobrze odżywiani. Potem do specjalsów dołączyło około 10 tys. piechoty, których podzielono na dwie brygady po 5 tys. Jednak Bloomberg donosi, że łącznie Pjongjang jest gotów wysłać na front 100 tys. żołnierzy, choć nie naraz, ale na zasadzie rotacji. Najpierw Koreańczycy trafili na krótkie szkolenie do baz wojskowych w Krajach Primorskim i Chabarowskim, obwodzie amurskim i Buriacji. Pierwsze oddziały pojawiły się w obwodzie kurskim, w bezpośrednim sąsiedztwie frontu, 23 października. Szef Głównego Zarządu Wywiadu Wojskowego Ukrainy (HUR), gen. Kyryło Budanow, poinformował, że cały północnokoreański kontyngent liczący 12 tys. osób obejmuje 500 oficerów i trzech generałów.

Według wywiadu Korei Południowej wysłani przez Pjongjang do Rosji żołnierze otrzymują miesięczny żołd w wysokości około 2 tys. dolarów, jednak większość tej kwoty zabiera reżim. Według ukraińskiego wywiadu siły północnokoreańskie przeszły jedynie przyspieszone szkolenie w pięciu bazach wojskowych we wschodniej części Rosji. Przybysze noszą rosyjskie mundury z fałszywymi dowodami tożsamości – udawać mają Buriatów i Jakutów. Przechwycona rosyjska komunikacja wykazała zaniepokojenie rosyjskich dowódców niską zdolnością północnokoreańskich żołnierzy do dostosowania się do rosyjskiej kultury dowodzenia i języka. Koreańczycy z Północy u siebie w łańcuchu dowodzenia mają oficerów politycznych, którzy potwierdzają rozkazy dowódcy jednostki. Żołnierz musi poprosić oficera politycznego o pozwolenie na wykonanie jakiejś czynności. Czasami do tego schematu dodawane jest kolejne ogniwo – oficer ze służb specjalnych. Niektóre decyzje wymagają nawet pięciu podpisów.

Po ciągłych zaprzeczeniach zarówno ze strony Rosji, jak i Korei Północnej jako „bezpodstawnych stereotypowych plotek", Pjongjang potwierdził obecność swoich żołnierzy w Rosji dopiero dwa dni przed ich rozmieszczeniem w strefie wojny. Władimir Putin zsynchronizował zaś swoje potwierdzenie ze szczytem BRICS w Kazaniu i po tym, jak Duma Państwowa ratyfikowała nowy pakt bezpieczeństwa z Koreą Północną. Putin powołał się na art. 4 tego traktatu, który stanowi, że w przypadku inwazji na którykolwiek z krajów-stron, drugi zapewni pomoc wojskową. Plan wysłania wojsk Kima na Ukrainę najprawdopodobniej uzgodniony został podczas wizyty Putina w Pjongjangu w czerwcu 2024 roku. Putin jest zdeterminowany, aby utrzymać ofensywę w Donbasie i wypchnąć Ukraińców z obwodu kurskiego, a każdy atak pochłania tony pocisków artyleryjskich i setki istnień ludzkich. Podobnie jak pociągi z amunicją z Korei Północnej są potrzebne, aby uzupełnić rosyjską produkcję krajową, bataliony posłusznych żołnierzy zrekompensują zmniejszającą się rekrutację, która już powoduje ostry niedobór siły roboczej w przemyśle i wywołuje narastające niezadowolenie społeczne. Przy obecnym tempie rosyjskich ofiar, każdego tygodnia należy pozyskiwać 10 tys. nowych rekrutów. Pomoc Korei Północnej zapewnia Rosji przewagę w arse-

eprasa.pl ceedbe6b4d

nale pocisków nad Ukrainą, uniknięcie niepopularnej mobilizacji w Rosji i odciążenie rosyjskich żołnierzy na froncie. Putin nie chce zarządzić drugiej fali mobilizacji, ponieważ ta pierwsza wywołała masową emigrację z Rosji. Dziennych strat rosyjskich (1200 poległych, rannych, jeńców) nie jest już w stanie uzupełnić dobrowolna rekrutacja (mimo coraz wyższego żołdu), więc Kreml musiał sięgnąć po inne źródła mięsa armatniego.

Od lat 60. XX wieku Korea Północna produkuje sprzęt wojskowy na sowieckich licencjach, kompatybilny z dzisiejszym uzbrojeniem armii rosyjskiej. Moskwa importuje około połowy rocznej produkcji pocisków w Korei Północnej, a także stare zapasy amunicji dostarczonej Pjongjangowi przez Sowiety w czasach zimnej wojny. W 2023 roku ilość pocisków dostarczanych do Rosji wzrosła, gdy Europa i Stany Zjednoczone zmagały się z produkcją, zakupem i dostawą pocisków dla Ukrainy. Południowokoreański wywiad szacuje, że Korea Północna dostarczyła dotychczas co najmniej 8 mln pocisków 122 mm i 152 mm, 100 pocisków balistycznych KN-23 i KN-24, pociski przeciwpancerne, karabiny, wyrzutnie rakiet, moździerze i kołowe wozy opancerzone APC M2010. Od połowy 2022 roku do końca sierpnia 2024 roku Korea Północna wysłała do Rosji ponad 13 tys. kontenerów, które mogły pomieścić około 6 mln pocisków artyleryjskich kalibru 152 mm. Podana w raporcie Agencji Wywiadu Obronnego liczba oznacza dwukrotny wzrost od lutego 2024 roku – minister obrony Korei Południowej Szin Won Sik przekazał wówczas, że Pjongjang wysłał do Rosji około 6,7 tys. kontenerów.

Budowa osi Moskwa–Pjongjang

Obecny sojusz Rosji z KRLD jest zwieńczeniem wieloletniej strategii Putina, który w tym wypadku, podobnie jak w wielu innych częściach świata, dąży do odbudowy wpływów i pozycji dawnego ZSRS. Związek Sowiecki był pierwszym krajem, który uznał Koreę Północną w 1948 roku i wspierał ją podczas wojny koreańskiej. Należy zauważyć, że w 1961 roku nie tylko ChRL, lecz także Związek Sowiecki podpisał podstawową umowę o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy z KRLD. Zgodnie z tym porozumieniem Moskwa nie uznawała Korei Południowej aż do 1990 roku. Ale od czasów Gorbaczowa, a także po upadku Związku Sowieckiego, relacje Moskwy z Pjongjangiem do najłatwiejszych nie należały. Wszystko zaczęło się zmieniać po dojściu do władzy Putina w 2000 roku. To właśnie wtedy rozpoczął się okres prawdziwego rosyjsko-koreańskiego renesansu, kiedy strony znacznie zwiększyły poziom współpracy w niemal wszystkich dziedzinach. Putin już w 2000 roku odwiedził Kim Dzong Ila w Pjongjangu, przedstawiając swoją pomoc jako uznanie wspólnych antyzachodnich wartości, które podzielają zarówno Rosja, jak i Korea Północna. W 2014 roku Federacja Rosyjska i KRLD przeszły na handel w rublach, a wszystkie długi Pjongjangu wobec Rosji zostały anulowane. Moskwa przez lata coraz mocniej wspierała KRLD, aż do zawarcia faktycznego sojuszu obronnego w tym roku. Ponadto Rosja od dziesięcioleci pracuje nad promowaniem współpracy między Koreą Północną a Iranem – w ramach strategii budowy koalicji antyamerykańskiej. W tym roku kolejna wysoka delegacja z Pjongjangu odwiedziła Teheran i według analityków nie ma wątpliwości, że jednym z najważniejszych aspektów wizyty, o której niewiele wiadomo, była współpraca w zakresie technologii rakietowej i dronów.

> ChRL jest zainteresowana utrzymaniem stabilnego państwa północnokoreańskiego jako bufora między swoim terytorium a nieprzyjaznymi siłami wojskowymi, takimi jak 28 500 żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Korei Płd.

Rosja poparła sankcje Rady Bezpieczeństwa ONZ przeciwko KRLD w związku z północnokoreańską bronią jądrową i programami rakietowymi w latach 2006–2017, ale w dużej mierze zmieniła kurs od początku pełnoskalowej wojny z Ukrainą. We wrześniu 2022 roku amerykański wywiad po raz pierwszy ostrzegł przed zacieśniającymi się relacjach między Koreą Północną a Rosją, informując, że Moskwa zaczęła kupować „miliony" rakiet i pocisków artyleryjskich z Korei Północnej, aby wesprzeć swoją inwazję na Ukrainę. W listopadzie 2022 roku rzecznik bezpieczeństwa narodowego USA John Kirby stwierdził, że Korea Północna zaczęła „potajemnie wysyłać znaczną liczbę pocisków artyleryjskich" do Rosji. Amerykań-

eprasa.pl ceedbe6b4d

ski wywiad potwierdził, iż Korea Północna dostarczyła amunicję Grupie Wagnera, za którą to dostawę wagnerowcy zapłacili bezpośrednio Pjongjangowi. W lipcu 2023 roku rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu odwiedził KRLD, by wziąć udział w uroczystych obchodach 70. rocznicy zakończenia wojny koreańskiej. We wrześniu 2023 roku Kim Dzong Un przybył do rosyjskiego Kraju Nadmorskiego i spotkał się z Putinem na kosmodromie Wostocznyj w obwodzie amurskim. Północnokoreański dyktator powiedział, że Korea Północna będzie wspierać Rosję w jej „świętej walce z Zachodem". W listopadzie 2023 roku Seul poinformował, że tylko od sierpnia 2023 roku KRLD dostarczyła Rosji około 1 mln pocisków artyleryjskich. W czerwcu 2024 roku Putin odwiedził Koreę Północną, podpisując z Kimem wspólną kompleksową umowę o partnerstwie między Rosją a Koreą Północną. Umowa zawiera klauzulę przewidującą „wzajemną pomoc w przypadku agresji" przeciwko sygnatariuszom. We wrześniu 2024 roku Szojgu znów odwiedził Koreę Północną, już w roli sekretarza Rady Bezpieczeństwa Rosji, i spotkał się z Kim Dzong Unem. W październiku 2024 roku na front wojny z Ukrainą trafiły tysiące żołnierzy KRLD.

walutę, której potrzebuje Korea Północna", oraz że „handel bronią za gotówkę pozwala reżimowi Kima na rozszerzenie relacji z istniejącymi partnerami handlowymi, poszukiwanie nowych klientów, których może wspierać poprzez rozbudowane linie produkcyjne i uzyskanie dostępu do zastrzeżonych technologii". Pomoc taka jak paliwo i żywność może złagodzić problemy zagrażające reżimowi w Korei Północnej i umożliwić państwu przekierowanie zasobów na inne priorytety, takie jak rozwój broni jądrowej. Dane rosyjskiego rządu wykazały, że rosyjski Daleki Wschód i Syberia wyeksportowały tysiące ton mąki i kukurydzy do Korei Północnej w 2023 roku.

Korea Północna zyskuje też poligon doświadczalny dla swego sprzętu wojskowego, a także zaawansowaną technologię wojskową i nuklearną w zamian za udział w moskiewskiej wojnie (Kim jest szczególnie zainteresowany pozyskaniem technologii dla taktycznej broni jądrowej i systemów wystrzeliwania rakiet z okrętów podwodnych), zwiększoną produkcję wojskową w 300 fabrykach amunicji i wzrost eksportu wojskowego. Dodatkowo północnokoreańscy żołnierze uzyskują doświadczenie bojowe. Rosja pomaga też Korei Północnej w omijaniu sankcji. Pjongjang ma nadzieję, że północnokoreański personel wojskowy zdobędzie doświadczenie bojowe w warunkach współczesnej wojny – doświadczenie, które może mieć nadzieję wykorzystać w przyszłych konfliktach. Amerykański wywiad wojskowy (DIA) ocenia, że północnokoreańska strategia, doktryna i taktyka operacji naziemnych pozostały takie same od lat 50. XX wieku i są przeznaczone głównie do walki z Koreą Południową – krajem, który szybko zmodernizował własne wojsko. Korea Północna wcześniej wysyłała małe grupy doradcze i specjalistyczne na zagraniczne konflikty, aby obserwować i zdobywać pewne umiejętności techniczne (wojna Jom Kippur, wojna domowa w Syrii). DIA ocenia, że Korea Północna „rozumie, że charakter wojny zmienił się" od lat 50. XX wieku, i „postrzega swoje wojsko jako w dużej mierze nieprzygotowane do zaangażowa-

Szybki postęp północnokoreańskiego programu rakietowego został prawdopodobnie osiągnięty dzięki rosyjskiej wiedzy i transferowi technologii.

Co na sojuszu z Putinem zyska Korea Północna?

Oczywiście Korea nie wysyła amunicji i żołnierzy na wojnę za darmo. Ideologia ideologią, nienawiść do Ameryki nienawiścią, ale obecna współpraca Rosji z KRLD ma przede wszystkim charakter transakcyjny. O tym, co na niej zyskuje Putin, było wyżej. A co zyskuje lub zamierza zyskać Kim? Pjongjang bierze od Rosji twardą walutę nie tylko za żołnierzy. W badaniu przeprowadzonym przez Fundację Friedricha Naumanna na rzecz Wolności oszacowano wartość obecnych dostaw broni z Korei Północnej do Rosji na kwotę od 1,7 mld do nawet 5,5 mld USD. Jest to znaczne dobrodziejstwo gospodarcze dla Korei Północnej, biorąc pod uwagę, że jej całkowity PKB wynosił około 40 mld USD w 2023 roku (według szacunków Korei Południowej). W raporcie Heritage Foundation stwierdzono, że „Rosja prawie na pewno dostarcza twardą

eprasa.pl ceedbe6b4d

nia się w nowoczesną wojnę". Południowokoreańska agencja NIS ocenia, że Korea Północna jest też zainteresowana nauką pilotażu dronów i integracją operacji dronowych z operacjami ofensywnymi.

Ale szczególnie cenna dla Kima (i groźna dla sąsiadów KRLD oraz USA) jest wiedza rosyjska w obszarze zaawansowanych technologii wojskowych. Być może był to zbieg okoliczności, że Korea Północna z powodzeniem wystrzeliła satelitę szpiegowskiego Malligyong-1 w listopadzie 2023 roku, dwa miesiące po serdecznym spotkaniu Putina i Kima na kosmodromie Wostocznyj. Kolejnym zbiegiem okoliczności może być fakt, że gdy pierwsze oddziały północnokoreańskie przybyły do obwodu kurskiego, Kim zabrał swoją córkę, aby obserwować testowe wystrzelenie ciężkiej międzykontynentalnej rakiety balistycznej Hwasong-19 z regionu Pjongjangu. Przypadki się zdarzają, ale szybki postęp północnokoreańskiego programu rakietowego został prawdopodobnie osiągnięty dzięki rosyjskiej wiedzy i transferowi technologii.

„Dziś Ukraina, jutro Azja"

Jest jeszcze jedna potencjalna korzyść z sojuszu z Rosją – z punktu widzenia Kim Dzong Una. Pjongjang może starać się wykorzystać swoje rosnące powiązania z Moskwą, aby zmniejszyć zależność od Chińskiej Republiki Ludowej, zmniejszając w ten sposób wpływ ChRL na reżim Kima. ChRL jest zdecydowanie najważniejszym partnerem Korei Północnej. Silnie obłożona sankcjami i zubożała gospodarka Korei Północnej jest zależna od handlu z Państwem Środka, który stanowi ponad 90 proc. całkowitego importu i eksportu Korei Północnej. ChRL jest najprawdopodobniej największym źródłem pomocy żywnościowej Korei Północnej, choć dokładne liczby nie są dostępne, i jednym z jej rzadkich źródeł ropy naftowej. Pekin jest także głównym gwarantem bezpieczeństwa Korei Północnej od czasów wojny koreańskiej, kiedy to chińscy komunistyczni „ochotnicy" przekroczyli graniczną rzekę Jalu, ratując reżim Kima przed upadkiem.

Stosunki między ChRL a KRLD są jednak od dłuższego czasu pełne nieufności. Pekin nie raz okazywał niezadowolenie z napięć na Półwyspie Koreańskim prowokowanych przez Pjongjang. ChRL jest bowiem zainteresowana utrzymaniem stabilnego państwa północnokoreańskiego jako bufora między swoim terytorium a nieprzyjaznymi siłami wojskowymi, takimi jak 28 500 żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Korei Południowej. Rosja jako podmiot polityki zagranicznej jest znacznie mniej przewidywalna i mniej ostrożna w kwestii konfliktów niż ChRL. ChRL nie prowadziła wojny od 1979 roku i zdecydowanie woli nie angażować ani nie tracić wojsk i zasobów w konfliktach, które nie służą jej głównym celom. Z tego powodu unikała sojuszy wojskowych, z wyjątkiem tego z Koreą Północną. Pekin jest jedynym podmiotem, który może zniechęcić Putina i Kima do dalszej eskalacji. Zmniejszenie wpływu ChRL na Koreę Północną spowodowane partnerstwem Pjongjangu z Rosją prawdopodobnie zmniejszy stabilność Półwyspu Koreańskiego i zagrozi szerszemu regionowi Azji i Pacyfiku. ChRL wykorzystywała swój wpływ na Koreę Północną przede wszystkim w celu powstrzymania północnokoreańskiej agresji i rozwoju broni nuklearnej, choć z mieszanym efektem. Pragnienie Pekinu, aby zapewnić przetrwanie północnokoreańskiego reżimu, motywowało nie tylko jego zaangażowanie w dwustronny sojusz, lecz także wysiłki mające na celu powstrzymanie „młodszego brata" przed wywołaniem wojny. Z kolei Rosja jest znacznie mniej zainteresowana zapewnieniem stabilności na Półwyspie Koreańskim i może nawet chcieć wykorzystać agresywną Koreę Północną, by zagrozić Stanom Zjednoczonym i przyciągnąć uwagę Zachodu.

Należy pamiętać, że zwrot Rosji ku Korei Północnej nie wynika tylko z chęci uzyskania pomocy w wojnie z Ukrainą czy z chęci budowy koalicji państw zdeterminowanych wspólnie walczyć z Zachodem. To również naturalne następstwo geostrategicznego zwrotu ku Azji, dokonanego przez Putina po powrocie na Kreml w 2012 roku. Zwrotu, którego punktem centralnym jest rzecz jasna zacieśniający się sojusz Rosji z Chinami. Dwa szczyty Putin–Kim w ciągu niecałego roku to sygnał ostrzegawczy dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Gambit Putina w Korei Północnej wzmacnia często powtarzaną w Tokio obawę, że „dziś Ukraina, jutro Azja". Nie jest jednak jasne, czy Rosja byłaby skłonna wysłać wojska do walki z wrogami Korei Północnej. Jest choćby zastrzeżenie w traktacie, że każda ze stron zapewni pomoc wojskową zgodnie z art. 51 Karty Narodów Zjednoczonych i własnymi przepisami krajowymi. Moskwa może argumentować, podobnie jak Pekin, że nie jest zobowiązana do pomocy Korei Północnej w konfliktach inicjowanych przez Pjongjang. Warto zauważyć, że Kim Dzong Un określił nowe relacje między Rosją a Koreą Północną jako „sojusz", podczas gdy Władimir Putin powstrzymał się od użycia tego słowa. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Pusty koszyczek na koniec Adwentu

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia dla wielu z nich nie będą należały do najłatwiejszych. Znaczna część – podobnie jak to zresztą miało miejsce przed rokiem – zapewne nawet ich nie zauważy. Wszak dla nich te dwa dni pod wieloma względami nie będą za bardzo różnić się od wszystkich pozostałych. Trzeba je będzie po prostu przetrwać. Na szczęście już nie w osamotnieniu.

Dwudziesty drugi równoleżnik szerokości geograficznej południowej. Dwa i pół tysiąca kilometrów od równika. Środkowowschodnia Brazylia. Gorące grudniowe Rio de Janeiro. Dziś słupki rtęci będą windować do 28–29 stopni Celsjusza w cieniu. Nocą spadną do „zaledwie" 23 stopni. Znów więc nie będzie czasu na oddech od upału. Znów ciało nie odsapnie. A rano przecież znowu trzeba wstać i szykować się do codziennych obowiązków. Do kolejnego zmagania się o przetrwanie, szukając jakichkolwiek promyków jasności w coraz bardziej mrocznym brazylijskim niebie prozy życia.

Poranek

– O, już jesteś? – Paulo otwierający tego poranka swój sklep jest zdziwiony widokiem Leili stojącej przed kratą. Nie spodziewał się jej o takiej porze.

– Przecież się umawialiśmy… – Dziewczyna obdarza mężczyznę najpiękniejszym uśmiechem, jaki ten mógł sobie tylko wyobrazić.

– Tak, tak… Pamiętam. Miałaś być po szóstej. – Paulo odruchowo spogląda na srebrny zegarek mocno opinający jego lewy nadgarstek. – A jest piąta dwadzieścia osiem… Masz problemy ze snem?

– Widzę, że pomimo wczesnej pory trzymają się ciebie żarty, drogi przyjacielu. – Leila zbyt długo zna Paulo, aby obrażać się na jego specyficzne poczucie humoru. Polubiła już jego sposób żartowania. Zresztą już wie, że pod dość grubiańską maską tego mężczyzny kryje się naprawdę szczere i serdeczne serce.

– Wiadomo… Jak kobiecie zależy, to i przed wschodem słońca wstanie… – Paulo nie zamierza zaprzestać porannych prowokacji wobec przyjaciółki. Ich na wpół złośliwe rozmowy słychać w tej chwili na opustoszałej ulicy pogrążonej we śnie faweli Morro do Dendê dość wyraźnie. Fawela, jak i zresztą cała Wyspa Gubernatora w Rio de Janeiro, pogrążona jest jeszcze w głębokim śnie. Brazylijczycy nie zwykli wstawać tak wcześnie.

– Pewnie, że zależy. I to jeszcze jak! – Dziewczyna nie przestaje się uśmiechać. Ten ostatni żart naprawdę szczerze ją rozbawił. Do tego stopnia, że musi na chwilę zakryć usta, żeby Paulo nie zobaczył, jak szczerze się teraz uśmiecha. – Która inna kobieta stawałaby pod twoim sklepem i wyczekiwała na właściciela. Znasz taką?

– Nie znam. Nawet moja żona się tu nie fatyguje – odpowiedź mężczyzny zagłusza głośny hurgot zwijanych szczęk od bramy zabezpieczającej wejście do sklepu. Paulo otwiera właściwe drzwi, pokazując gestem ręki Leili, aby weszła przed nim.

– Co my tu dzisiaj mamy?... – Dziewczyna zna to miejsce od podszewki. Współpracuje z Paulo od lat. Sama zresztą namówiła go do wzięcia udziału w ich projekcie. Z początku szło jak po grudzie. Mężczyzna nie chciał nawet słyszeć o rozdawaniu jedzenia bezdomnym, ludziom ulicy, alkoholikom czy narkomanom. Leila musiała użyć naprawdę mocnych argumentów. A co najważniejsze, dużo się modlić w tej intencji. Wreszcie jednak się udał. Paulo zdecydował się oddawać fundacji niesprzedaną żywność, która zachowała jeszcze wartość spożywczą. Od tamtej pory widują się z Leilą regularnie.

– Dziś?... – Mężczyzna ślamazarnie drapie się po głowie, bezceremonialnie ziewając. – Tam masz pomarańcze. Wytrzymają jeszcze ze dwa-trzy dni. Możesz brać wszystkie. Obok odłożyłem pieczywo. W tym tygodniu dużo mi zeszło, więc będziesz miała nieco mniej niż zwykle. A dalej standardowo: mięso, jajka i sery. To, co leży, możesz brać.

– Wiesz, że jestem ci dozgonnie wdzięczna, prawda? – pakując do samochodu kolejne skrzynki jedzenia Leila, znów obdarza mężczyznę jej popisowym uśmiechem.

– Wiem… Co ci innego pozostaje? – Tym razem nawet zaspany Paulo delikatnie się uśmiecha.

Po 20 minutach noszenia skrzynek wypakowany po sam sufit maleńki berlingo z hukiem silnika odjeżdża spod sklepu. Paulo jeszcze przez chwilę obserwuje, jak znikający punkt chowa się za wspinającą się coraz wyżej uliczką. Zostaje sam. Może wrócić do sklepu i przygotować się na kolejny dzień. Dostawca ze świeżym pieczywem powinien nadjechać lada moment.

Bez dyrygenta

„Abro os meus olhos já é de manhã. À noite é menor cada dia. Os dias às vezes parecem iguais…" – już pierwsze wersy ukochanej przez Leilę piosenki sprawiają, że dziewczyna zdecydowanym ruchem pogłaśnia samochodowe radio. O tej godzinie przyda się jej kilka nieco pobudzających rytmów. Gdy zbliża się refren, otwiera szerzej okno i zaczyna śpiewać razem z radiem. „Olho pros céus com os joelhos no chão. Abro os braços pra graça divina. Peço forças. Pra continuar" („Patrzę w niebo, klęcząc na ziemi. Otwieram ramiona na Bożą łaskę. Proszę o siłę. By trwać"). Leila bardzo lubi ten utwór popularnego w Brazylii zespołu Oficina G3. Tym bardziej teraz, gdy tak bardzo wpisuje się w jej sytuację.

Samochód jest już prawie na miejscu. Pod kaplicą świętego Franciszka stoją już ludzie. Leila trąbi z daleka na przywitanie. Uwielbia ten moment. Zaraz wszystko się zacznie. I potrwa aż do wieczora. Kolejny poniedziałek cudów.

– Masz wszystko? – Luis, potężnych gabarytów chłopak, pomaga dziewczynie wyciągać kolejne paczki z samochodu.

– Tak, powinno wystarczyć dla każdego. Owoce, warzywa, tam jest pieczywo… – zaczyna wyliczać

eprasa.pl ceedbe6b4d



Dla większości dzieci z brazylijskiej faweli nawet najmniejszy prezent na święta jest na wagę złota.

dziewczyna. – Dziś dodatkowo dostaliśmy jeszcze mięso i sery.

– Nie wiem, jak ty to robisz… – Uśmiecha się pod nosem mężczyzna.

– Luis, to nie ja… – Leila odpowiada uśmiechem na uśmiech.

– A niby kto to wszystko ogarnął, załatwił i przywiózł, nie wydając ani reala?

– Sam dobrze wiesz, że bez Niego nic byśmy tutaj nie zrobili – mówiąc to, dziewczyna na moment poważnieje. Po chwili jednak spogląda na zegarek. – Dobra, nie ma co marnować czasu na pogaduszki! Trzeba wypakować rzeczy i przygotować paczki. Prędko!

W jednej chwili samochód zaczyna rozpakowywać kilkoro ludzi. Tak naprawdę nie wiadomo, skąd wszyscy naraz się pojawili. W dodatku każdy z nich dokładnie wie, co ma robić. Panowie ustawiają się przy aucie, wyjmując kolejne pakunki. Wprawnymi ruchami ustawiają je w kuchni. Tam czeka już pięć kobiet. Ubrane są w fartuchy. Za chwilę będą szykować gorącą zupę. W powietrzu czuć atmosferę podniecenia i radości. Ktoś zaczyna nucić piosenkę. Jeszcze inny pogwizduje. W pewnej chwili do kuchni wchodzi Leila. Wypakowywanie towarów nieco ją zmęczyło. Zdejmuje więc bluzę, odsłaniając tym samym brązowy T-shirt z wizerunkiem Jezusa Miłosiernego.

– Dzień dobry wszystkim! – krzyczy radośnie na powitanie. – Jak dobrze, że jesteście!

– O, nasza Leila! Cześć! – odpowiada kobieta, która na moment odwraca się od blatu, na którym właśnie kroi czosnek. – Byłaś już w kaplicy?

– Nie, a mam pójść?

– Ksiądz João prosił, żebyś zajrzała. Przygotował figurę i koszyk.

– Ojej, zapomniałem! Już pędzę!

Dźwięk obijanej kłódki

Kaplica świętego Franciszka usytuowana jest w bardzo charakterystycznym miejscu Morro do Dendê. To właśnie tutaj na faweli rozpoczyna się tzw. strefa no-go. Powyżej budynku mają wstęp wyłącznie mieszkańcy tamtejszych domów oraz członkowie ganku patrolującego Morro do Dendê. Pozostali raczej nie powinni się tam zapuszczać.

Zbliżając się do kaplicy, Leila słyszy dźwięk obijanej kłódki. Przyspiesza kroku. Czyżby ktoś majstrował przy zamku? Już za chwilę powinna się przekonać.

– Oi, Leila! Super, że już jesteś! – księdzu João właśnie udało się zdjąć kłódkę, z którą walczył przez ostatnie kilkanaście sekund.

– A to ksiądz… – uśmiecha się dziewczyna. – Nie spodziewałam się, że zastanę tu księdza o tej porze.

– Ksiądz, kaplica… Chyba zupełnie logiczne połączenie, czyż nie? – żartuje duchowny, by po chwili już bez śmiania się dodać. – Chciałem sprawdzić te karteczki pod figurą Matki Bożej.

eprasa.pl ceedbe6b4d

– Te, które podczas wczorajszej Mszy świętej wysypaliśmy do koszyczka? – Leila zaczyna szybko kojarzyć fakty. – Ja właśnie w tej sprawie. Przysłali mnie z kuchni Domu Miłosierdzia, żebym to skontrolowała.

– No, widzisz, jak podobnie myślimy – uśmiecha się marianin, gestem ręki zapraszając dziewczynę do środka kaplicy.

W środku panuje przyjemny półmrok. Zamknięte przez całą noc okna oraz drewniany strop sprawiają, że wewnątrz kaplicy nieco ciężej się oddycha. Nad ołtarzem widać wizerunek Jezusa Miłosiernego. Przed nim zaś po prawej stronie stoi przepiękna figura Matki Bożej. Odziana w błękitny płaszcz Maryja spogląda w kierunku ławek dla wiernych. Zaledwie kilkanaście godzin temu siedziało w nich kilkudziesięciu mieszkańców faweli. Podczas ogłoszeń parafialnych usłyszeli o nowym pomyśle, na jaki wpadł ksiądz João razem z prowadzoną przez siebie wspólnotą Domu Chleba.

Koszyczek

– Idą święta Bożego Narodzenia… – zaczął powoli duchowny. – A to, jak wiemy, dla wielu z naszych parafian trudny czas, jeśli chodzi o domowy budżet. Trzeba zakupić nieco więcej żywności, a co tu dopiero myśleć o prezentach, na które czekają dzieci. Mamy więc pomysł. W naszej parafii mamy około 170 dzieci, które bez naszej pomocy na pewno żadnych prezentów w te święta nie dostaną. Pod figurą Matki Bożej postawiliśmy więc koszyczek. A w nim karteczki z wypisanymi imionami i nazwiskami tych dzieci. Jeśli ktoś z was jest zdania, że stać go, aby w tym roku kupić jednemu z tych dzieci upominek na te święta, niech przed wyjściem z kaplicy weźmie ze sobą jedną wylosowaną karteczkę. A za kilka tygodni przyniesie prezent niespodziankę dla wylosowanego dziecka. Może w ten sposób uda się nam pomóc tym najbiedniejszym z naszej parafii?

Wczoraj po Mszy świętej ksiądz João nie podchodził już do koszyczka. Nie chciał peszyć modlących się jeszcze w kaplicy wiernych. A zarazem pragnął dać im wolność wyboru. Tutaj już nic więcej nie dało się zrobić. Informacja została ogłoszona. Teraz można było już tylko zacząć modlić do Ducha Świętego. I czekać.

Teraz, kiedy w kaplicy nie ma już nikogo, Leila wraz z marianinem podchodzą nieśmiało do koszyczka.

– Troszkę ubyło. Chyba… – stwierdza z niepewnością w głosie dziewczyna.

– Tak, na moje oko jakaś jedna trzecia – ocenia ksiądz João. – Do świąt jeszcze trochę czasu. Jeszcze kilka Eucharystii tu będzie. Poczekajmy.

Leila prędko porządkuje kaplicę. Wyciera kurz spod ołtarza, ustawia na nowo ławki. Nie lubi marnować czasu. Później wróci pod adres, gdzie zostawiła swoje berlingo.

Dyniowa z czosnkiem

– Jak idzie? – wita się, gdy znów przechodzi przez kuchnię pełną krzątających się kobiet. – Zapachy czuć aż pod kaplicą św. Franciszka!

– To dobrze, to dobrze! Tak ma być! – odpowiada ze śmiechem najstarsza z pań. Miesza właśnie chochlą w wielkim garnku. Zupa powinna być wkrótce gotowa.

Za kilka chwil zacznie się wydawanie posiłku. Na ulicy stoją już pierwsi bezdomni. Wolontariusze znają ich już doskonale. Pamiętają ich imiona. Zdążyli poznać ich historie. Zazwyczaj bolesne i bardzo dramatyczne. Ucieczki z domów, alkohol, narkotyki. Przeszłość związana z gangami, niespłacone długi, problemy finansowe. Wreszcie zaś choroba, starość czy brak wsparcia u najbliższych. Gdyby zapytać tych ludzi, żaden z nich nigdy nie planował znaleźć się na ulicy. Każdy miał marzenia, każdy miał plany. Rzeczywistość Morro do Dendê szybko jednak rozwalcowała każde z nich. Dziś snują się po brudnych ulicach, szukając po pierwsze kogoś, kto da im trochę pieniędzy. Kto da im kilka reali na jedzenie. Kto da im na alkohol, do którego pcha ich uzależnienie. Ale także szukają ludzi, którzy będą chcieli spędzić z nimi trochę czasu. Którzy będą chcieli ich wysłuchać. Pobyć z nimi.

Przychodzą co poniedziałek w umówione miejsce. Wiedzą, że tutaj zawsze znajdą przyjazne dusze. Założona przez księdza João wspólnota Domu Chleba funkcjonuje w tej części faweli już od lat. Wolontariusze zajmują się kuchnią dla bezdomnych. Organizują produkty spożywcze, szukają sprzedawców, którzy mogliby im pomóc. Oddając niesprzedane resztki żywności, które nie straciły jeszcze swojej daty przydatności do spożycia. A następnie gotują i rozdają najbardziej potrzebującym.

Tego dnia od żadnego z bezdomnych wolontariusze nie wyczują alkoholu.

– To z szacunku do nas – tłumaczy Rita, jedna z członkiń wspólnoty. Dziś będzie prowadzić modlitwę przez posiłkiem. – Wiemy, że w znakomitej większości to ludzie ciężko uzależnieni. Ale wiemy także, jak wiele w nich miłości.

Przed podstawionym pod domem samochodem z przygotowanymi do rozdawania siatkami z posiłkiem zdążyła zgromadzić się już całkiem spora grupka ludzi. Stoją w kolejce. W ciszy i skupieniu. Są wdzięczni, ale także bardzo głodni.

– Pomódlmy się chwilkę, dobrze? – proponuje Rita.

Część bezdomnych jakby tylko czekała na ten sygnał. Podnoszą do góry ręce. Jeden mężczyzna pochyla głowę. Inny rozkłada dłonie.

eprasa.pl ceedbe6b4d



Wielu młodych Brazylijczyków szuka sobie zajęcia, aby choć na chwilę oderwać się od smętnej rzeczywistości.

– Pai Nosso, que estais nos Céus, santificado seja o Vosso nome. Venha a nós o Vosso reino, seja feita a Vossa vontade ssim na Terra como no Céu. O pão nosso de cada dia nos dai hoje… – przy frazie o chlebie powszednim ktoś roni łzę.

Niezwykły obrazek. Kilkudziesięciu ludzi modlących się głośno na ulicy. Między przejeżdżającymi sporadycznie ulicą samochodami. Wśród zgiełku i hałasu faweli. Ludzi bezdomnych i biednych, pozbawionych po ludzku patrząc wszystkiego. A mimo to tak pięknych w tej chwili. Tak pokornych i czystych. Wydających się w tej chwili tak blisko Nieba.

– Zapraszam po zupę! Dziś dyniowa – ogłasza po zakończonej modlitwie Rita.

– Uważajcie, bo sypnęliśmy trochę czosnku – dodaje ze śmiechem Leila.

– Trzeba było sypać, ile wlezie. To samo zdrowie! – odkrzykuje stojący w kolejce mężczyzna w wełnianej czapce. Śmieje się zarazem szeroko do wolontariuszek. I zdradza tym samym brak jedynek w swoim uzębieniu.

▶ Historia Bruna

Wolontariusze ze wspólnoty Dom Chleba rozdadzą tego dnia ponad 120 posiłków. Ale to nie wszystko. Tego dnia wydarzy się coś znacznie ważniejszego. Młodzi spędzą ze swymi podopiecznymi czas. Porozmawiają, wspólnie się pośmieją. Pomodlą. Doradzą. Wysłuchają. Pobędą razem. To właśnie dzięki tym poniedziałkowym posiłkom wielu z tych bezdomnych na nowo zacznie wierzyć. Odzyska nadzieje. Znowu będzie chciało próbować.

Tak było choćby z Brunem. Jego historię najlepiej pamięta Rita. Poznali się któregoś dnia na ulicy. Dziewczyna zaprosiła go na poniedziałkowe Obiady Dla Bezdomnych. Mężczyzna już wtedy był bardzo uzależniony od kokainy. Zgodził się jednak przyjść. Z początku traktował wolontariuszy oraz pozostałych stołujących się tu bezdomnych nieufnie. Jednak z czasem skorupa, którą się otoczył, zaczęła pękać. Świadectwo tej wspólnoty, spotkania z księdzem João czy wreszcie samo obserwowanie, jak dobry Bóg posługuje się tymi ludźmi, sprawiły, że Bruno zgodził się pójść do ośrodka na odwyk. Udało mu się zwalczyć nałóg. Dziś ma rodzinę. Mają gdzie mieszkać. A całkiem niedawno urodził mu się syn.

– Dla takich historii warto tu przychodzić. Choćby nawet wydarzyła się taka jedna na kilka lat. Ale choćby dla tej jednej jedynej… I tak warto – wzrusza się Leila. – Bo to tylko pozór, że my tych ludzi czymś obdarowujemy. Tak naprawdę to oni obdarowują nas.

▶ Garstka ludzi na oceanie biedy

Dzisiejsza Brazylia zmaga się z jednym z największych problemów głodu na południowoamerykańskim kontynencie. Pięć procent mieszkańców tego kraju cierpi na niedożywienie. Oznacza to, że 10 mln ludzi każdego dnia martwi się tym, czy będzie miało okazję cokolwiek zjeść. 12 mln Brazylijczyków żyje za mniej niż 14

eprasa.pl ceedbe6b4d



To właśnie nocą w Rio robi się najniebezpieczniej.

reali dziennie. To mniej niż 12 złotych. Jednocześnie wszystko to dzieje się w kraju, który znajduje się na 11. miejscu w klasyfikacji Międzynarodowego Funduszu Walutowego na najbogatsze państwa świata: z wartością PKB wynoszącą 1 924 134 mld USD (Polska jest w tej klasyfikacji na miejscu 23.). Kraju, którego tempo wzrostu ekonomicznego wynosiło niedawno 7,5 proc. w skali roku, zaś brazylijskie rezerwy walutowe wynosiły 200 mld dolarów. Kraju, w którym żyje aż 30 osób z listy Forbesa na najbogatszych ludzi na świecie. Ludzi, których majątek jest szacowany na co najmniej 1 mld dolarów.

Współczesne Rio de Janeiro. Bieda, głód, bezrobocie, bezdomność. A do tego ponad 6 tys. ludzi ginących rokrocznie w strzelaninach na ulicach miasta. Obraz, który ma prawo wbić w fotel. Przygnębić. Zasmucić. Pomimo to można odnieść jednak wrażenie, że to na przykładzie właśnie tego miasta najpełniej objawiają się dziś słowa św. Pawła z jego Listu do Rzymian: „Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficiej rozlała się łaska". Garstka ludzi. I jeden kapłan. A zatem w sumie zdecydowana mniejszość. Wspólnota trwająca bez jakiegokolwiek finansowania z zewnątrz. Bez grantów. Bez zabezpieczenia. Bez profesjonalnego zespołu ds. promocji. Oparta jedynie na wierze. Na Bogu. I nadziei, że pomimo całego strachu i nędzy warto próbować.

Uśmiech na koniec Adwentu

Niedziela. To już szósty dzień od czasu, gdy Leila wraz z księdzem João nawiedzili wspólnie kaplicę św. Franciszka na faweli Morro do Dendê. Od tamtej pory żadne z nich nie zaglądało do środka. Dopiero dziś. Przed dwudziestoma minutami skończyła się druga Msza święta odprawiana tego dnia – tym razem ta o godzinie 11. Kobieta czuje w sobie silną potrzebę dłuższego niż zwykle dziękczynienia za dar Eucharystii. Klęczy więc w kaplicy, w której zostały ostatnie osoby. Nie zwraca uwagi na krzątających się wokoło niej ludzi. Ktoś się z kimś przywitał. Ktoś przy wyjściu rozpoczął zbyt głośną rozmowę. Jeszcze inny człowiek poszedł z jakąś sprawą w kierunku przebierającego się po odprawionej Mszy księdza João. W tej chwili Leili nic nie przeszkadza. To jeden z tych błogosławionych stanów, gdy czas spędzony przed Bogiem się nie dłuży. Gdy jest się jakby za kurtyną. Za zasłoną codziennych trudów i problemów. Jakby w miejscu niewidocznym dla świata.

– Leila… – dopiero nieśmiały szept dochodzący gdzieś z okolicy ołtarza wybudza rozmodloną dziewczynę.

– Tak? – Leila powoli podnosi głowę. To ksiądz João. Kapłan stoi przy figurze Matki Bożej. Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Spójrz tylko… – gestem ręki zaprasza dziewczynę, by podeszła bliżej.

Leila powoli wstaje z kolan. Po chwili jest już przy marianinie oraz figurze Niepokalanej. Szybko orientuje się, skąd u księdza na twarzy ten uśmiech. Koszyczek u stóp Maryi jest pusty.

– Wyczyścili wszystko! – podnosi z entuzjazmem głos ksiądz João.

– Nieprawdopodobne… ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Watykan–Chiny

Pomimo że sytuacja katolików jest w Chinach coraz gorsza, Watykan zdecydował się kolejny raz przedłużyć umowę z ChRL. Porozumienie po raz pierwszy podpisano w 2018 roku. Potem zostało one prolongowane na kolejne dwa lata w 2020 i 2022 roku. Tym razem umowa ma obowiązywać przez cztery lata. Jej pełna treść pozostaje tajna, ale wiadomo, że Pekin zgodził się, by papież miał prawo głosu w procesie nominowania biskupów w Kościele oficjalnym, tzw. Patriotycznym Stowarzyszeniu Katolików Chińskich, podporządkowanym komunistycznemu rządowi. W zamian za to Watykan uznał biskupów desygnowanych poprzednio przez władze komunistyczne, akceptując także tych, którzy wcześniej zostali ekskomunikowani. W praktyce wygląda to tak, że zgodnie z porozumieniem to Pekin wskazuje Stolicy Apostolskiej kilku kandydatów na biskupa i spośród nich papież wybiera jednego.

Umowa krytykowana jest nie tylko dlatego, że jej tekst jest owiany tajemnicą, lecz przede wszystkim dlatego, iż przyznanie ateistycznemu reżimowi Komunistycznej Partii Chin (KPCh) kluczowej roli w mianowaniu biskupów katolickich doprowadziło do tego, że Watykan musiał zażądać od kilku podziemnych biskupów katolickich w Chinach, którzy byli lojalni wobec Stolicy Apostolskiej, ustąpienia z urzędu na rzecz tych nominowanych przez Pekin. Urodzony w Szanghaju i nazywany „sumieniem Hongkongu" kardynał Joseph Zen określił zawarcie porozumienia przez Franciszka jako zdradę Kościoła w Chinach. „Zabito prawdziwy Kościół w Chinach. Zabito Kościół podziemny. A u władzy w oficjalnym Kościele w Chinach są oportuniści". Porozumienie doprowadziło także do tego, że papież Franciszek nie zajmuje stanowiska w sprawie łamania swobód obywatelskich w Chinach i Hongkongu oraz nie mówi o ludobójstwie Ujgurów w Xinjiangu i zagrożeniach dla Tajwanu – pomimo że Stolica Apostolska jest jednym z niewielu państw utrzymujących oficjalne stosunki dyplomatyczne z wyspą. Papież nie upomniał się też o więzionego (na polecenie Pekinu) od 2020 roku w Hongkongu katolickiego przedsiębiorcy i działacza na rzecz demokracji, 76-letniego Jimmy'ego Laia, i to pomimo doniesień, że Laiowi od grudnia ubiegłego roku odmawia się Sakramentu Eucharystii.

Informacja o przedłużeniu umowy Watykanu z Pekinem zbiegła się z publikacją przez amerykański konserwatywny think tank Hudson Institute (HI) raportu na temat prześladowań biskupów w Chinach. Autorką publikacji jest Nina Shea, dyrektor Centrum Wolności Religijnej w HI. Raport pokazuje, że prześladowania religijne Kościoła katolickiego w Chinach „nasiliły się" od czasu, gdy w 2018 roku po raz pierwszy zawarto umowę między Chinami a Watykanem, i przedstawia losy 10 zatwierdzonych przez Watykan biskupów katolickich w Chinach, których prześladowania „trwają lub się nasiliły" od czasu zawarcia umowy. Wymienieni w raporcie duchowni poddani zostali m.in. długotrwałemu zatrzymaniu bez należytego procesu, dochodzeniom bezpieki, wygnaniu z diecezji lub innym przeszkodom w pełnieniu posługi biskupiej oraz przesłuchaniom i tzw. reedukacji. Kilku z nich było przetrzymywanych nieprzerwanie przez lata, a nawet dekady, podczas gdy inni byli wielokrotnie zatrzymywani, nawet sześć razy od czasu podpisania porozumienia chińsko-watykańskiego.

Rapot Hudson Institute przedstawia także kroki, jakie powinna podjąć administracja Donalda Trumpa w obronie prześladowanego Kościoła katolickiego w Chinach. Trump powinien pójść za przykładem pre-

eprasa.pl ceedbe6b4d

zydenta Ronalda Reagana, który często publicznie upominał się o prześladowanych w Związku Radzieckim, osobiście interweniował u Gorbaczowa w imieniu więźniów sumienia i spotykał się z członkami ich rodzin. Przyszły prezydent USA powinien w ten sam sposób upominać się o prześladowanych w Chinach kapłanów. Kwestie więzionych w ChRL biskupów powinien w rozmowach z Pekinem podjąć także nowy sekretarz stanu USA, a „Departament Stanu i Departament Skarbu powinny w ramach ustawy Magnickiego nałożyć sankcje na Komunistyczną Partię Chin i funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa odpowiedzialnych za przetrzymywanie bez należytego procesu biskupów przedstawionych w raporcie".

Japonia

20 listopada w Japonii odbyło się spotkanie starszych rangą oficerów z sojuszu Pięciorga Oczu (Five Eyes). W skład tego porozumienia instytucji szpiegowskich wchodzi pięć krajów: USA, Kanada, Wielka Brytania, Australia i Nowa Zelandia. Tym razem po raz pierwszy w historii spotkanie przedstawicieli sojuszu zorganizowało państwo niebędące członkiem tej organizacji. Jest to potwierdzenie rosnącej współpracy między Tokio a jego zachodnimi sojusznikami w wyniku obaw dotyczących gwałtownie pogarszającego się międzynarodowego bezpieczeństwa.

„Zdajemy sobie sprawę, że w dniu wybuchu konfliktu będziemy działać razem i będziemy potrzebować sojuszników i partnerów" – powiedział gazecie „Japan Times" starszy chorąży kanadyjskich sił zbrojnych Robert McCann. Wskazał on także, że takie spotkania „oferują nam szansę nie tylko na wspólne posiedzenie, porównanie notatek i uświadomienie sobie, że stoimy przed tymi samymi wyzwaniami, lecz także na stworzenie interoperacyjności z krajami partnerskimi i podobnie myślącymi". McCann powiedział, że jednym z celów takich narad jest ulepszenie sieci wymiany informacji wywiadowczych.

Sojusz Pięciorga Oczu powstał po zakończeniu II wojny światowej. Początkowo w 1946 roku porozumienie obejmowało służby – amerykańską (NSA – National Security Agency) i angielską (GCHQ – Government Communications Headquarters). W 1948 roku do współpracy przyłączyły się służby kanadyjskie (CSEC – Communications Security Establishment Canada), a w 1956 roku – nowozelandzkie (GCSB – Government Communications Security Bureau) oraz australijskie (DSD – Defence Signals Directorate). Każdemu z pięciu państw sojuszu odpowiada nieformalnie zakreślony obszar działań. Amerykanie zajmują się szpiegostwem komunikacyjnym i kontrolują Środkowy Wschód. Brytyjczycy specjalizują się w szpiegostwie klasycznym i działają na terenach Europy kontynentalnej, Afryki i zachodniej części dawnego ZSRS. Australijczykom przypadają Indochiny, Indonezja i południowe Chiny, a Nowozelandczykom – zachodni Pacyfik. O przystąpienie do porozumienia stara się Japonia. W ubiegłym roku w wywiadzie dla gazety „The West Australian" ówczesny ambasador Japonii w Canberrze, Shingo Yamagami, powiedział, że Tokio chce wzmocnić współpracę z Five Eyes w obliczu nasilających się działań militarnych i cybernetycznych ze strony Chin. To właśnie z powodu chińskiego zagrożenia dla Zachodu Japonia, postrzegana jako kraj stojący na pierwszej linii regionalnych wyzwań strategicznych, może zaoferować sojuszowi Pięciorga Oczu swoje możliwości gromadzenia informacji, szczególnie w zakresie nadzoru elektronicznego, a także swoją wiedzę na temat geopolityki azjatyckiej.

Tajwan

Podczas posiedzenia jednej z komisji parlamentarnych minister gospodarki Tajwanu J.W. Kuo ogłosił, że firma Taiwan Semiconductor Manufacturing Corporation (TSMC), największy na świecie kontraktowy producent półprzewodników, planuje uruchomienie na wyspie nowych fabryk w tempie jednej rocznie. Odnosząc się do zagranicznych przedsięwzięć TSMC, a w szczególności do znaczącej obecności firmy w USA, Kuo zauważył, że różnice kulturowe spowodowały, że konieczna jest wymiany siły roboczej. Około 700 amerykańskich inżynierów zostało wysłanych na szkolenie na Tajwan, podczas gdy TSMC wysłało około 600 osób do USA. W tej chwili poza inwestycją w USA, TSMC zakończył już budowę jednej fabryki w Japonii. Ma ona rozpocząć produkcję pod koniec 2024 roku. W Kraju Kwitnącej Wiśni powstaje też drugi zakład tajwańskiej firmy. TSMC rozpoczął także inwestycję w Niemczech. Ma ona być w pełni gotowa do 2027 roku.

Tajwan już jest gigantem półprzewodnikowym. To z Wyspy pochodzi ponad 60 proc. światowej produkcji wszystkich chipów i około 90 proc. tych najbardziej wyrafinowanych. Amerykanie chcą, aby tajwańskie firmy półprzewodnikowe były ważnym elementem łańcucha dostaw układów scalonych dla Zachodu i by ograniczyły swoją współpracę z Chinami. Kilka dni po zwycięstwie Donalda Trumpa już odchodząca administracja Joego Bidena nakazała TSMC zaprzestanie od 11 listopada br. dostaw zaawansowanych układów scalonych dla chińskich klientów. Administracja Bidena w liście do TSMC stwierdziła, że ograniczenie to dotyczy wszystkich chipów o wielkości siedmiu nanometrów lub mniejszych, które mogą być wykorzystywane w sztucznej inteligencji. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



oprac. Antoni Rybczyński

Wojna na Ukrainie. Co zrobi Trump?

Donald Trump zapowiadał, że błyskawicznie zakończy wojnę na Ukrainie. Krytycy odebrali to jako zapowiedź zmuszenia Kijowa do kapitulacji. Niesłusznie – mówią eksperci. Tym bardziej, że nie widać, by Władimir Putin był skłonny do rezygnacji z dzieła życia: podboju Ukrainy. Może się więc okazać, że nowy prezydent USA to problem, a nie szansa dla Kremla.

eprasa.pl ceedbe6b4d

Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich wywołało falę negatywnych emocji wśród amerykańskich zwolenników poparcia Ukrainy. Uczucia te są zrozumiałe. Po pierwsze, Donald Trump nie ukrywał swojej sympatii do Putina, a po drugie, jego uwaga, że zakończy wojnę na Ukrainie w ciągu 24 godzin, skłoniła wielu do założenia, że Trump jest gotowy, z grubsza rzecz biorąc, poddać Ukrainę Putinowi, zmusić ją do pokoju na skrajnie niekorzystnych dla niej warunkach. Jednak motywy działań i przyszłej polityki Donalda Trumpa są dalekie od tak oczywistych, uważają rozmówcy Radia Swoboda. Może on zaskoczyć zarówno swoich zwolenników, jak i krytyków, zwłaszcza jeśli Władimir Putin spróbuje postawić na kontynuację wojny z Ukrainą (Jurij Żigalkin, „Dźwignia. Czy Trump będzie w stanie zmusić Putina do zawarcia pokoju?", Radio Swoboda, 16 listopada 2024).

▶ „Dla Putina Trump nie jest wygodnym partnerem"

Politolog Siergiej Radczenko uważa, że Putin woli kontynuować wojnę niż dogadywać się z Trumpem w sprawie pokoju. „Chodzi o to, że teraz Putin pracuje bardziej dla historii. Zabezpieczył się pod względem utrzymania władzy, nic mu nie zagraża. Rozpoczynając wojnę przeciwko Ukrainie, prawdopodobnie myśli przede wszystkim nie tyle o bezpieczeństwie granic swojej ojczyzny, ile o tym, jak będą go postrzegać przyszłe pokolenia: jako zbieracza ziem, być może jako wielką postać historyczną. Opierając się na tym postrzeganiu, wydaje mi się, że Putin po prostu potrzebuje całej Ukrainy, a przynajmniej jej największej części. […] Zgoda na niektóre kawałki terytorium Donbasu, wydaje mi się, nie wystarczy Putinowi. Próbuję tylko postawić się w sytuacji Putina. Po inwestycjach w wojnę, po stratach, ta wojna musi zostać doprowadzona do zwycięskiego końca, dzięki czemu będzie mógł stanąć przed historią, przed obywatelami Rosji i powiedzieć: Patrzcie, odtworzyłem wielkie imperium" (J. Żigalkin, „Dźwignia. Czy Trump będzie w stanie zmusić Putina do zawarcia pokoju?", Radio Swoboda, 16 listopada 2024).

„Nie sądzę, by dopóki prezydent Putin zasiada na Kremlu, sprawy się ociepliły. Myślę, że to wielki mit, rozdmuchany głównie przez demokratyczną propagandę w USA. Dla Putina Trump nie jest wygodnym partnerem. Biden był dla niego idealnym amerykańskim prezydentem. Biden jasno powiedział, jakie są jego czerwone linie, poza które nie wyjdzie. Dał jasno do zrozumienia, że boi się szantażu nuklearnego, boi się eskalacji, a to odpowiadało Kremlowi. Ale nikt nie wie na pewno, co zrobi Trump. Może faktycznie pójdzie na rękę Putinowi i odda interesy Ukraińców. Wiele osób o tym mówi i obawia się tego. Ale to nie jest przesądzone, ponieważ możliwe jest również dokładnie odwrotne podejście, kiedy Trump, wręcz przeciwnie, będzie naciskał na Putina. I nie jest jasne, czy szantaż nuklearny Putina zadziała na Trumpa, ponieważ Trump może eskalować w odpowiedzi. To właśnie zrobił, gdy był prezydentem. To za Trumpa w Syrii zginęło kilkuset wagnerowców" – przypomina historyk-amerykanista, tłumacz, profesor Ivan Kurilla („Trump jest niewygodny i niebezpieczny dla Putina", „Nowaja Gazieta Ewropa", 11 listopada 2024).

„Trump pokazał poprzez rekrutację swojego gabinetu, że otacza się ludźmi, którzy postrzegają Iran, Rosję i Chiny jako oś zła. Skrytykowali Bidena, mówiąc, że być może nieco zdusił Rosję swoimi sankcjami, ale niczego nie rozwiązał, a jedynie przeniósł pieniądze do Chin. A naszym głównym problemem są Chiny, nie Rosja, Rosja jest słabsza od Chin, musimy walczyć z Chinami. Więc widzą to wszystko razem: to nie są różne konflikty, Iran na Bliskim Wschodzie, w Izraelu, Rosja przeciwko Ukrainie, nie, to wszystko wzmacnia Chiny. Musimy zakończyć te dwie wojny, ponieważ wzmacniają one naszego strategicznego wroga i osłabiają naszych strategicznych partnerów. Rozumiem, że ludzie mają preferencje polityczne, wiele osób jest teraz przygnębionych z powodu zwycięstwa Trumpa i zszokowanych, ale wyciąganie z tego takich wniosków tylko dlatego, że ktoś nie lubi tego czy innego kandydata, nie jest tego warte. Byłem studentem w USA, przeżyłem już kilka wyborów, pamiętam, że kiedy wybrano Busha, wszyscy amerykańscy studenci wokół mnie mówili: To koniec" – mówi Tymofiej Miłowanow, były minister gospodarki Ukrainy, były doradca Zełenskiego (J. Żigalkin, „Dźwignia. Czy Trump będzie w stanie zmusić Putina do zawarcia pokoju?", Radio Swoboda, 16 listopada 2024). Putin musi jednak teraz poradzić sobie z silnym mandatem dla prezydenta, który zdobył trudne doświadczenie polityczne od czasu ich spotkania w Helsinkach w Finlandii w lipcu 2018 roku i będzie miał niewiele ograniczeń w kształtowaniu polityki tej administracji (Pavel Baev, „Zakłopotany Władimir Putin liczy się z wynikiem wyborów w USA", Eurasia Daily Monitor, 12 listopada 2024).

▶ „Rosja postawiła wszystko na tę wojnę"

Pomimo przewagi ilościowej Rosja może zostać pokonana w Ukrainie. Historycznie rzecz biorąc, silniejsze mocarstwa były pokonywane przez słabszych przeciwników. Koalicje oparte na wspólnych wartościach i interesach gospodarczych konsekwentnie były silniejsze od mocarstw nadrzędnych lub jakichkol-

FOT. CNP/PAP/ABACA

eprasa.pl ceedbe6b4d

wiek osi dyktatur. Na przykład Imperium Brytyjskie zostało pokonane w 1783 roku po wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Cesarstwo Niemieckie zostało pokonane w I wojnie światowej w 1918 roku, mimo że kontrolowało ogromne terytoria od Ukrainy na wschodzie po części Belgii i Francji na zachodzie. Po prostu nie było żadnych kompromisów ani przerw dla agresorów. To samo powinno obowiązywać dzisiaj. Nie może być kompromisu. Rosja potrzebuje całej Ukrainy pod swoją polityczną, wojskową i gospodarczą kontrolą i potrzebuje trampoliny do dalszych działań przeciwko Stanom Zjednoczonym i ich europejskim sojusznikom, ponieważ Rosja postawiła wszystko na tę wojnę. To nie tylko kwestia historycznych chimer, ale kwestia politycznego, gospodarczego, a nawet fizycznego przetrwania rosyjskiej elity politycznej (Pavel Luzin, „Nie powinno być porozumienia o zawieszeniu broni z Rosją", Eurasia Daily Monitor, Jamestown Foundation, 15 listopada 2024).

„Myślę, że Putina można powstrzymać, ale wymaga to czegoś więcej niż odwagi ukraińskich wojskowych, wytrwałości ukraińskiego rządu i osobiście Zełenskiego. Wymaga to od Ameryki podejścia do kwestii konfrontacji z Rosją z długoterminową strategią. Trump nie ma takiej długoterminowej strategii. Obiecał swoim wyborcom, że rozwiąże ukraiński konflikt w ciągu 24 godzin. Oczywiście nie będzie w stanie tego zrobić, ale będzie liczył na to, że może w ciągu kilku miesięcy uda mu się stworzyć sytuację, w której Putin będzie siedział przy stole negocjacyjnym i rozmawiał o czymś z Zełenskim, będą mogli się na coś zgodzić. Zakładając, że Putin ma długoterminową strategię, grają w zupełnie inne gry: Trump szuka szybkiego zwycięstwa, podczas gdy Putin szuka długoterminowego zwycięstwa. Aby powstrzymać Putina, Ameryka musi przemyśleć swoją długoterminową strategię i zdać sobie sprawę, że jedyną możliwą opcją rozwiązania tego konfliktu na warunkach, które wzmocniłyby demokrację, wzmocniłyby status Stanów Zjednoczonych jako lidera wolnego świata, jest długoterminowe wsparcie Ukrainy, przez lata, z bronią, może to być nawet determinacja w zakresie bezpośredniej konfrontacji z Rosją" – mówi Radczenko (J. Żigalkin, „Dźwignia. Czy Trump będzie w stanie zmusić Putina do zawarcia pokoju?", Radio Swoboda, 16 listopada 2024).

Obawy, że Trump jest przyjacielem Putina, więc wyda wszystkich, są przesadzone. Nawet jeśli są ku temu podstawy, to niekoniecznie uzasadnione. W rezultacie poparcie dla Ukrainy może nawet wzrosnąć. To Biden bał się dać broń dalekiego zasięgu lub pozwolić Ukrainie na jej użycie, bał się eskalacji, poważnie traktował groźby nuklearne Rosji. A dla Trumpa wszystkie te „czerwone linie" mogą nie istnieć. W odpowiedzi na nuklearny szantaż może powiedzieć: spróbuj. A co w takiej sytuacji zrobi Kreml? Czy będzie kontynuował eskalację, czy pójdzie na ustępstwa? Tego nie wiemy. I sam Kreml tego nie wie. […] Wystarczy spojrzeć na politykę wewnętrzną USA pod rządami Trumpa. Nieustannie stawiał czoła bardzo silnej opozycji, ale dążył do konfliktu, czuł się dobrze w konflikcie. Dokładnie tak zachowa się wobec Putina, jeśli ten zdecyduje się mu czymś zagrozić. A to nie jest dobre dla Kremla, dla polityki Putina („Trump jest niewygodny i niebezpieczny dla Putina", „Nowaja Gazieta Ewropa", 11 listopada 2024). Trump nie zamierza po prostu rzucić ręcznika. Chce, by wojna się zakończyła, ale na tym etapie nie zamierza pozbawiać Ukrainy broni i dostaw – ponieważ jako negocjator wie, że upadek Ukrainy oznaczałby, że Putin przejąłby kontrolę nad negocjacjami. Trump szczyci się tym, że jest mistrzem w zawieraniu umów i nie chce być postrzegany jako osoba, która zawarła fatalne porozumienie. A w trakcie rozmów telefonicznych z Zełenskim i ich niedawnego spotkania w Nowym Jorku „zaszczepił w ukraińskim przywódcy pewność", że nie porzuci Ukrainy (J. Dettmer, „Trump grozi, że w rzeczywistości będzie dobry dla Ukrainy", Politico, 15 listopada 2024).

▶ Kwestia Chin

Widzimy z poprzedniej prezydentury Trumpa, że ma trwały pogląd na Chiny jako główne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych. To za jego rządów rozpoczęła się wojna handlowa z Chinami. A jeśli spojrzeć na wojnę rosyjsko-ukraińską pod kątem oceny perspektyw stosunków USA z Chinami, istnieją dwie opcje. Pierwszą z nich jest to, że Rosja nie powinna zostać zepchnięta do narożnika, w którym są tylko Chiny, w przeciwnym razie z powodu sankcji stanie się ona wasalem Chin, a Chiny staną się silniejsze. Musimy więc dać Rosji więcej szans na zdystansowanie się od Chin. Druga opcja jest, można powiedzieć, odwrotna. Chiny patrzą na wojnę rosyjsko-ukraińską z perspektywy możliwości aneksji lub odzyskania Tajwanu. Liczy się więc dla nich to, czy Putin może zaanektować część Ukrainy, pozostać bezkarnym i odzyskać swoją globalną pozycję. Jeśli mu się to uda, oznacza to, że Chiny mogą również zaatakować Tajwan. Wtedy okaże się, że USA mają motywację do działania w przeciwnym kierunku: aby uniemożliwić Putinowi wygranie wojny. Wtedy być może Chiny będą uważać. Są to różne kierunki działania, ale myślę, że w umyśle Trumpa oba są ważniejsze niż wiadomości z frontu rosyjsko-ukraińskiego („Trump jest niewygodny i niebezpieczny dla Putina", „Nowaja Gazieta Ewropa", 11 listopada 2024).

eprasa.pl ceedbe6b4d

„Po nałożeniu na Rosję sankcji na dużą skalę, których nikt nie zamierza znieść, po spaleniu wszystkich mostów z Europą i Zachodem, po dokonaniu tak kolosalnych inwestycji w kompleks wojskowo-przemysłowy, Putin już czeka na wyniki tej pracy i prawdopodobnie nie zgodzi się na żaden pośredni wynik. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że – jak mu się wydaje – wiatr wieje teraz w jego żagle, sytuacja sprzyja jego imperialnym aspiracjom. Nie widzę więc powodu, dla którego miałby teraz dążyć do porozumienia. Chociaż może pójść na negocjacje. W końcu ciągle powtarza, że Rosja zgadza się na rozmowy, zgadza się na rozmowy pokojowe. Ale ta sztuczka jest wciąż stara, nie tylko rosyjska. Nawet Stalin swego czasu powiedział, że należy wznosić sztandary pokoju, ponieważ sztandary pokoju dają pewne moralne prawo, moralną przewagę. Dlatego mógł nawet pójść na negocjacje. Jak wiemy, negocjacje pokojowe mogą trwać bardzo długo. Trwały latami podczas wojny w Wietnamie, podobnie w Afganistanie" – mówi Radczenko (J. Żigalkin, „Dźwignia. Czy Trump będzie w stanie zmusić Putina do zawarcia pokoju?", Radio Swoboda, 16 listopada 2024).

„Jeśli prezydentowi elektowi USA Donaldowi Trumpowi uda się wypracować porozumienie pokojowe i zakończyć wojnę na Ukrainie, prawdopodobnie nie otrzyma za to żadnych podziękowań – mimo że uwolniłby zachodnie mocarstwa od ich pustych obietnic i uwolnił je od wojny, której nie można wygrać" – pisze Jamie Dettmer na łamach Politico. I dodaje, że „reelekcja Trumpa wyraźnie uwypukliła głupotę Zachodu, który obiecał trwać w tej wojnie, dopóki Ukraina nie powróci do swoich granic z 1991 roku. Niektórzy przywódcy obiecali również szybkie członkostwo w NATO, choć nigdy nie było to prawdopodobne w dającej się przewidzieć przyszłości – jeśli w ogóle – z Trumpem w Białym Domu lub bez niego". Według cytowanego przez Politico republikańskiego eksperta ds. polityki zagranicznej zaznajomionego z Zełenskim i jego kręgiem, Kijów to rozumie. „W najlepszym razie Harris utrzymałaby podejście Joego Bidena – to byłaby jej polityka, a to oznaczałoby powolną śmierć Ukrainy. I już nie tak powolną – tempo rosyjskich zdobyczy jest coraz szybsze" – zauważa źródło Politico. „Wyobraźmy sobie również taką sytuację: Harris wygrywa, a republikanie kontrolują jedną lub obie izby Kongresu. W takich okolicznościach Harris nie byłaby w stanie uzyskać żadnej dodatkowej pomocy za pośrednictwem Kongresu. Przynajmniej teraz, z Trumpem, może on pstryknąć palcami, a republikanie w Izbie zagłosują za większą pomocą bezpieczeństwa dla Ukrainy" – dodaje ekspert (J. Dettmer, „Trump grozi, że w rzeczywistości będzie dobry dla Ukrainy", Politico, 15 listopada 2024).

Dwie pieczenie na jednym ogniu?

Niebezpieczeństwo polega na tym, że Zełenski – również sprzedawca, „największy" w historii według Trumpa – nie ustąpi wystarczająco, a Trump zacznie postrzegać Ukrainę jako problem. „Ukraińcy muszą upewnić się, że Trump nie postrzega ich jako przeszkody na drodze do pokoju i nie powinni być pierwszymi, którzy powiedzą »nie«, nawet jeśli rzucane są im głupie pomysły. Potrzebują, by Rosjanie wciąż mu odmawiali, by Ukraińcy wyglądali na rozsądną stronę. Wtedy Trump dojdzie do wniosku, że jedynym sposobem, aby przyciągnąć Rosjan do stołu, jest pomoc Ukraińcom" – mówi Politico rozmówca z kręgów GOP. Pomimo niektórych doniesień medialnych, Trump nie wyznaczył jeszcze zespołu, który zająłby się inicjatywą pokojową. Jednak Ukrainie mówi się, że będzie musiała poczynić poważne ustępstwa terytorialne, a nagrodą za to będzie 80 proc. kraju, który pozostanie wolny i niezależny, powiedział inny republikanin zaznajomiony z rozmowami prowadzonymi w kręgach MAGA (J. Dettmer, „Trump grozi, że w rzeczywistości będzie dobry dla Ukrainy", Politico, 15 listopada 2024). „Zełenski również to rozumie. W miarę narastania zmęczenia wojną, opinia publiczna w Ukrainie zmienia się, zwłaszcza wśród młodych ludzi, którzy są najbardziej skłonni zaakceptować ograniczone wyniki. Według sondażu przeprowadzonego latem tego roku, tylko 40 proc. osób w wieku od 18 do 25 lat uważa, że Ukraina powinna walczyć, dopóki nie wyzwoli całego swojego terytorium. Inne badanie z początku tego roku wykazało, że 72 proc. respondentów zgadza się, że Ukraina powinna również szukać rozwiązania dyplomatycznego – co stanowi znaczący wzrost w porównaniu z majem 2022 roku. Podobnie, lipcowe badanie przeprowadzone przez ZN.ua wykazało, że 44 proc. Ukraińców uważa, że nadszedł czas na negocjacje pokojowe – ponownie wzrost w porównaniu z poprzednim latem".

Pamiętamy, że podczas swojej ostatniej prezydentury Trump zagroził, że USA wycofają się z NATO. Po tym wydarzeniu Europejczycy zwiększyli swój wkład w NATO. Innymi słowy, Trump osiągnął to, czego nie udało się całej rzeszy amerykańskich prezydentów przed nim. »Wszyscy żądali – i nic nie działało, a Trump osiągnął to swoim szantażem. […] Inwestują więcej we własne bezpieczeństwo. To znaczy, nie wykluczam, że ogłosi, że obetnie pomoc dla Ukrainy – i to zmusi Europejczyków do zastanowienia się, czy są gotowi dołożyć do tego swoje pieniądze, czy też… zrezygnują z Ukrainy«. To także rodzaj szantażu ze strony Trumpa, który może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: zaoszczędzić pieniądze amerykańskich podatników i zmusić Europejczyków do wzięcia odpowiedzialności, do zainwestowania więcej we wspólne bezpieczeństwo. Ale jak to zadziała w praktyce, jeszcze nie wiemy („Trump jest niewygodny i niebezpieczny dla Putina", „Nowaja Gazieta Ewropa", 11 listopada 2024). ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Marcin Wolski

Aby Ameryka rosła w siłę, a obywatele żyli dostatniej

Skowyt, jaki wydały z siebie samozwańcze elity postępowej Ameryki po potrójnej wygranej Trumpa (prezydent, Senat i Kongres), można porównać jedynie z reakcją „wyjątkowych kast" w Polsce przed niespełna dekadą. Tyle że skala kraju inna, więc wycie bardziej donośne. Poza tym dobrotliwy PiS po zwycięstwie nikomu jakiejkolwiek krzywdy nie zrobił, nawet nie zamierzał, a Trump wahać się nie będzie. Otoczył się ekipą twardzieli, którzy nie myślą wyłącznie o tym, jak dotrwać do końca kadencji i zawalczyć o następną, lecz o realizacji planu Ameryki wielkiej, bezpiecznej, dostatniej. Wiedzą, jak to zrobić. Po pierwsze – zablokują nielegalną migrację, po drugie – okiełznają zakusy Chin, choćby przez wprowadzenie ceł zaporowych i odrodzenie własnego przemysłu. Zaniechane zostaną też zabawy w ekoszaleństwo, za pomocą których stara Europa zaciska sobie pętlę na szyi, pozbawiając się wszelkich szans na konkurencyjność i dobrobyt. Przy okazji nastąpi odwrót od akceptacji rozmaitych ruchów anarchistycznych w rodzaju „woke" i Black Lives Matter czy bezmyślnych parytetów i niesprawiedliwej polityki afirmatywnej. Wrócą za to tradycyjne wartości – szacunek dla życia, rodziny, wiary, tradycji, a zwłaszcza wolności słowa, nieograniczanej przez cenzorów ze Sztucznej Półinteligencji. Jestem przekonany, że zadba o to uzupełniony młodszymi konserwatystami Sąd Najwyższy, który zabezpieczy Amerykę na co najmniej ćwierć wieku przed recydywą lewactwa.

W międzyczasie, w ten czy inny sposób, zostanie zdmuchnięty Putin i jego brudna wojna, a Unia Europejska będzie musiała wybrać, czy być w sojuszu z silnymi Stanami, czy wegetować w euro-skansenie przypominającym dom wariatów. Chcę wierzyć, że i tu szybko powieją nowe wiatry. Amerykanie lubią używać zwrotu: „God bless America". Nie bez powodu! W wydarzeniach ostatniego roku – cudowne ocalenie Trumpa z zamachu i odrodzenie Narodu – daje się odczuć działanie Opatrzności, przypominające to, co zdarzyło się pół wieku temu u nas.

I jak tu nie współczuć lewoskrętnym demokratom? Rozpacz celebrytów, którzy bezwarunkowo poparli ich w prawdziwie owczym pędzie, jest tym większa, że do ostatniej chwili wierzyli w sukces. Może poza jednym staruszkiem Bidenem, który brutalnie wykolegowany z gry, może teraz zacierać ręce, widząc, jak jego zastępczyni haniebnie przerżnęła, za to on sam nie przegrał, bo nie startował, więc właściwie wygrał.

Co innego z celebrytami, którzy rwą włosy z głowy i odgrażają się, że opuszczą „strumpizowaną" Amerykę. Tylko dokąd mieliby się udać po rezygnacji z hollywoodzkiego cycka? Może do Korei Północnej, gdzie komuna i dynastia Kimów póki co mają się dobrze?

Co prawda polski przykład dowodzi, że pogróżki pogróżkami, ale jakoś nie doszło do masowego exodusu demokratycznych artystów. Inna sprawa, że za wielką wodą pojawiły się pomysły bardziej ekstremalne, na przykład żeby na znak protestu przeciwko niesłusznemu wyborowi Ameryki golić sobie głowy na zero, a potem ruszyć w łysym proteście na Waszyngton. Recenzenci mogliby określić to zdarzenie jako największy w historii casting do roli „Łysej śpiewaczki" w sztuce Eugeniusza Ioneski. Istnieje jednak obawa, że jakiś przedsiębiorczy Elon Musk zdoła umieścić na tych łysinach baterie słoneczne i wszystko skończy się z korzyścią dla USA.

U nas niedobrowolne golenie pań ma tradycje dużo starsze, więc może lepiej jej nie przypominać, bo a nóż zaskoczy!?

Osobny problem to reakcja naszych elit. Mały Donek przygotowany był na zupełnie inny obrót spraw. Teraz mimo gorączkowych zabiegów czuje, że w nowej Ameryce jest persona non grata, tym bardziej że jego Talley-Radek – a zwłaszcza jego żona, nieustająca w rzucaniu kalumni pod adresem Dużego Donka – nie ułatwiają mu sprawy.

Za to dla takich twardzieli jak kandydat prawicy Karol Nawrocki oznacza to silny powiew wiatru w żagle. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d



Tomasz Sakiewicz

Ta cholerna demokracja

Pewnie nie ma człowieka w Europie, którego do niedawna bardziej kojarzono by z demokracją niż Donald Tusk. To wszak sam pan premier z wyciętym na białej koszuli sercem pokonał PiS-owskich siepaczy i na powrót dał Polsce nadzieję. Zawalczył o przywrócenie praworządności, pozbawiając państwo unijnych pieniędzy. I udało się – jak funduszy z UE nie było, tak nie ma dalej. Praworządności brak tym bardziej.

Donald Tusk nigdy nie był demokratą. Ostentacyjnie prezentuje niechęć do wszelkich form władzy narodu. Owszem, doskonale demokrację wykorzystuje, stara się uzyskać coś, co będzie miało wyglądać na demokratyczny mandat. Jednak jest faktycznie potężnym zagrożeniem dla normalnego państwa.

Uznaje tylko te wyroki i decyzje sądów, które są dla niego korzystne. Kiedy są nie po jego myśli, nie przyjmuje ich w ogóle, przy okazji neguje prawo do istnienia sądów, z którymi się nie zgadza. Kwestionuje też demokratyczne instytucje, jeżeli nie ma na nie wpływu. Taką instytucją jest na przykład prezydent. On ma najsilniejszy demokratyczny mandat ze wszystkich instytucji poza polską konstytucją. Sejm jako całość może mieć nawet większe poparcie wyborców niż głowa państwa, ale to poparcie jest dla 460 posłów. Jeden poseł ma tylko immunitet, co – jak się okazało – w państwie Tuska nic dokładnie nie znaczy – i jeden głos. Prezydent to siła głosów milionów ludzi. Jakiekolwiek miałby uprawnienia, są one maksymalnie mocno osadzone w poparciu wyborców. Odrzucenie przez Tuska uprawnień prezydenta pachnie po prostu zamachem stanu. Na to nie ma zgody również w UE i Waszyngtonie. Widać wyraźnie, że mimo pewnych prób ograniczania praw głowy państwa, w obozie władzy wybór prezydenta uznano za krytyczny dla rozstrzygnięcia sytuacji w Polsce. Jeżeli wygrają, demokracja zostanie sprowadzona do atrapy, choć raczej nie na długo, bo fala zza oceanu i tak tę ekipę zmiecie. Donaldowi Trumpowi nie po drodze z Tuskiem. Jeżeli przegrają, ten obóz się rozpadnie. Liczba ognisk zapalnych rośnie tak szybko, że utrzymanie większości będzie graniczyło z cudem.

Tusk to nie żaden demokrata, lecz postgomułkowski cep w stylu Łukaszenki czy Janukowycza. Różnica polega na tym, że w przeciwieństwie do tamtych ubrano go w europejskie szaty.

Pytanie tylko, czy Tusk uzna wynik wyborów i nie posunie się jeszcze dalej w niszczeniu demokracji? Ale jeśli to zrobi, szybko wszystko straci. Jednak już sam fakt, że w XXI wieku musimy się zastanawiać, czy Tusk nie obali demokratycznie wybranego prezydenta, pokazuje, w jakim miejscu znalazło się polskie państwo.

Tusk to nie żaden demokrata, lecz postgomułkowski cep w stylu Łukaszenki czy Janukowycza. Różnica polega na tym, że w przeciwieństwie do tamtych ubrano go w europejskie szaty. Potworna naiwność wielu naszych rodaków powoduje, że widzą kompletnie coś odwrotnego. Przebudzenie jednak będzie bardzo gwałtowne. ■

eprasa.pl ceedbe6b4d

plus

polsat box

Światłowód + Telewizja



od **19** zł /mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Światłowód S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.

Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. Na obszarach o podwyższonych kosztach instalacji możliwa jest wyższa opłata abonamentowa. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu** smartDOM, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl

eprasa.pl ceedbe6b4d